

**Karol May**

**UPIÓR Z LLANO ESTACADO**

## 1. BLOODY-FOX

Wzdłuż strumienia jechało dwóch konnych, biały i Murzyn. Biały odziany był dziwnie. Jego nogi tkwiły w mokasynach, na sobie miał skórzane spodnie i mocno wytarty surdut z wyłogami, kiedyś zapewne ciemnograny, z bufiastymi rękawami i wypolerowanymi mosiężnymi guzikami. Długie poły surduta, niczym skrzydła ptaka zwisały po obu bokach jego konia. Na głowie miał olbrzymie czarne sombrero, ozdobione imitacją strusiego pióra, żółtego koloru. Uzbrojony był ten mały szczupły mężczyzna w dubeltówkę, nóż i dwa rewolwery. Poza tym widać było jeszcze kilka przytroczonych do pasa woreczków, przeznaczonych zapewne na amunicję i rozmaite potrzebne drobiazgi. Teraz jednak woreczki te wydawały się prawie puste.

Murzyn był duży i barczysty. Obuty był również w mokasyny i miał na sobie jasne spodnie z impregnowanego płótna. Ubiór od pasa w dół nie odpowiadał wszakże strojowi górnej części jego ciała, którym była kurtka munduru francuskiego oficera dragonów. Kurtka ta znalazła się być może w Meksyku podczas najazdu francuskiego, a potem jakąś określną drogą zablądziła na tułów Murzyna. Na jego ogromne ciało była za krótka i za ciasna. Nie dopinała się. Można więc było widzieć szeroką gołą pierś jeźdźcy, który dlatego nie nosił koszuli, gdyż na Zachodzie nie ma praczek ani prasowaczek. Wokół szyi miał chustkę w biało-czerwonej kratę, zawiązaną z przodu na olbrzymią kokardę. Głowy nie osłaniał żadnym nakryciem, żeby można było podziwiać niezliczone małe, połyskujące tłuszczem loczki, w które sobie układał włosy. Uzbrojony był także w dubeltówkę, nóż, bagnet gdzieś znaleziony oraz pistolet, który pochodził zapewne z czasów króla Ćwieczka.

Obaj jeźdźcy mieli dobre konie. Z wyglądu zwierząt można było wnioskować, że przebyły dziś daleką drogę, a mimo to stapały jeszcze tak krzepko i żwawo, jakby niosły jeźdźców zaledwie kilka godzin.

Brzegi strumienia okrywał niezbyt szeroki pas zieleni. Poza nim były już tylko suche juki, mięsiste agawy i trawa, porastająca prerie. Są to rośliny, których liście i łodygi potrafią oprzeć się wszelkiej suszy i spiekocie.

— Niedobra okolica! — zauważył biały. — Na północy było nam lepiej. Prawda, Bob?

— Tak — potwierdził zagadnięty. — Massa Frank mieć rację. Tu się masser Bobowi nie bardzo podobać. Żeby tylko wkrótce dojść do domu Helmersa, bo masser Bob być głodny jak wieloryb, który połyka dom.

— Wieloryb przecież nie może połknąć domu — wyjaśnił Frank Murzynowi. — Na to jego gardziel jest jednak za wąska.

— Może otworzyć gardziel tak, jak ją otwiera masser Bob, kiedy je! Jak daleko jeszcze być do fermi Helmersa?

— Tego dokładnie nie wiem. Według opisu, podanego nam dziś rano, powinniśmy być wkrótce u celu. Popatrz, czy to nie zbliża się jakiś jeździec?

Frank wskazał w prawo, na przeciwną stronę potoku. Bob wstrzymał konia, osłonił ręką oczy przed blaskiem nisko stojącego na zachodzie słońca, zgodnie ze swoim przyzwyczajeniem otworzył szeroko usta, jakby mu to pomagało lepiej widzieć i po chwili oznajmił: — Tak, to być jeździec, mały człowiek na dużym koniu. On przybywać tu do masser Boba i massa Franka.

Jeździec, o którym mowa, nadjeżdżał ostrym kłusem, nie zbliżał się jednak wprost do oczekujących, lecz zdawało się, że chce ich wyminąć. Zachowywał się tak, jakby ich nie widział. — Dziwak! — mruknął Frank pod nosem. — Tu na Dzikim Zachodzie każdy się przecież cieszy, gdy spotka drugiego człowieka. Temu tam jednak zdaje się wcale nie zależeć na spotkaniu z nami. Albo jest odludkiem, albo też nie ma czystego sumienia.

— Czy masser Bob ma na niego zawołać?

— Tak, zawołaj na niego! Twoją słoniową trąbę prędzej usłyszysz aniżeli mój szemrzący głosik.

Bob złożył dłonie w trąbkę, przytknął je do ust i krzyknął z całej siły: — Halo, halo, stać, czekać! Dlaczego uciekać przed masser Bobem?

Murzyn miał rzeczywiście głos, zdolny obudzić człowieka w letargu. Jeździec osadził konia w miejscu. Biały i Murzyn starali się do niego podjechać.

Zbliżywszy się stwierdzili, że mają przed sobą nie tyle mężczyznę niskiego wzrostu, co młodzieńca, który zaledwie wyrósł z wieku chłopięcego. Na wzór kalifornijskich kowbojów cały był odziany w bawolą skórę, i to w taki sposób, że wszystkie szwy ubrania zakończone były frędzlami. Na głowie miał sombrero z szerokim rondem. Czerwona wełniana szarfa obejmowała zamiast pasa jego biodra i zwisała z lewego boku. W szarfie tej tkwiły dwa wybijane srebrem pistolety oraz krótki nóż myśliwski. Przed sobą ukośnie na kolanach trzymał ciężką strzelbę o dwóch lufach, a z przodu po obu stronach siodła przymocowane były na modłę meksykańską skóry ochronne dla osłony nóg przed strzałami lub pchnięciami lancą.

Twarz jego była mocno opalona oraz wysmagana deszczem i wichurą. Skośnie przez czoło od jego lewej górnej krawędzi aż do prawego oka bieгло krwistoczerwone, na dwa palce szerokie zgrubienie. Dawało to twarzy bardzo wojowniczy wygląd. Jeździec w ogolenie robił bynajmniej wrażenia młodego, niedoświadczonego człowieka. Trzymając ciężki karabin lekko, jakby to była dudka ptasiego pióra, siedział dumnie i mocno na koniu, jak stary jeździec, i zdumionym spojrzeniem swych ciemnych oczu ogarnął przybyłych.

— Dzień dobry, chłopcze! — pozdrowił go Frank. — Czy pochodzisz z tych stron?

— Raczej tak — odparł młodzieniec, a na jego twarzy pojawił się ledwie widoczny ironiczny uśmiezek, zapewne dlatego, że pytający nazwał go chłopcem.

— Czy znacie posiadłość Helmersa?

— Tak!

— Jak długo jeszcze trzeba tam jechać?

— Im wolniej, tym dłużej.

— Do licha! Ależ jesteście nieuprzejmi, mój chłopcze!

— Ponieważ nie jestem pastorem mormonów.

— Ach tak! Wybaczcie! Pewnie się na mnie gniewacie, że was nazwałem chłopcem?

— Ależ skąd. Każdy może zwracać się do mnie jak chce, lecz musi się wtedy również godzić na moją odpowiedź.

— Pięknie! Doszliśmy więc do porozumienia. Podobacie mi się. Oto moja ręka, lecz odpowiedzcie mi proszę jak należy! Jestem tu obcy i muszę dotrzeć do domostwa Helmersa. Mam nadzieję, że nie wskażecie mi fałszywej drogi.

Frank wyciągnął rękę do młodziana. Ten uściśnął ją, a obrzuciwszy wzrokiem surdut i kapelusz Franka, uśmiechnął się lekko i odrzekł:

— Nikczemnik to ten, który innych zwodzi! Jadę właśnie do zagrody Helmersa. Jeśli chcecie się ze mną zabrać, to proszę!

Mówiąc to, ruszył naprzód, a dwaj jeźdźcy podążyli za nim, oddalając się nieco od strumienia. Jechali teraz na południe.

— Mieliśmy zamiar posuwać się z biegiem potoku — zauważył Frank.

— Zaprowadziłoby was to też do starego Helmersa — wyjaśnił chłopak, ale nadłożylibyście drogi. Zamiast w ciągu trzech kwadransów, przybylibyście do niego za dwie godziny.

— No to szczęście, żeśmy was spotkali. Czy znacie właściciela tej zagrody?

— Nawet bardzo dobrze.

— Co to za człowiek?

Dwaj jeźdźcy wzięli młodzieńca między siebie. Ten skierował na nich badawczy wzrok i wyjaśnił: — Helmers rozpoznaje łatwo każde łotrństwo i zależy mu bardzo na dobrej opinii swego domu.

— To ładnie z jego strony. Nie mamy się więc czego lękać?

— Jeżeli jesteście porządnymi ludźmi, to oczywiście nie. Przeciwnie, jest wówczas bardzo uczynny.

— Słyszałem, że posiada sklep?

— Tak, lecz nie dla zysku, a tylko po to, żeby usłużyć westmanom, którzy do niego zajeżdżają. Ma w swoim sklepie wszystko, co jest potrzebne myśliwym i sprzedaje towar możliwie najtaniej. Jednakże ktoś kto mu się nie podoba, nie otrzyma od niego nic nawet za ciężkie pieniądze.

— Jest więc dziwakiem?

— Nie, ale stara się zawsze trzymać z dala od siebie wszelką hołotę, która zagraża spokojowi Zachodu. Poznacie go zresztą. Jedno tylko chcę wam o nim powiedzieć, czego naturalnie nie zrozumiecie i z czego może nawet będziecie się śmiali: On jest Niemcem, i to starej daty. To chyba wyjaśnia wszystko.

Frank podniósł się w strzemionach i zawołał: — Co? Tego miałbym nie rozumieć? Z tego miałbym się nawet śmiać? Co wam strzeliło do głowy! Cieszę się niezmiernie, że tu na krańcach Llano Estacado znajduję rodaka.

Oblicze przewodnika było bardzo poważne. Jego dotychczasowe zachowanie sugerowało, jakby w ogóle nie umiał się uśmiechać. Teraz spojrzął na Franka przychylnie i zapytał: — Jak? Jesteście Niemcem?

— Naturalnie! Czy tego zaraz po mnie nie poznaliście?

— Nie! Nie mówicie po angielsku jak Niemiec i wyglądacie jak wuj Janke, wyrzucony przez okno przez wszystkich swoich bratanków i siostrzeńców.

— O nieba! Co wam strzeliło do głowy! Jestem Niemcem do szpiku kości, a kto temu nie wierzy, tego przebiję bagnetem!

— Do tego wystarczy także nóż. Ale jeśli tak się sprawa przedstawia, to stary Helmers się ucieszy, pochodzi bowiem z Niemiec i ceni wysoko swoją ojczyznę i swoją mowę ojczystą.

— Jestem o tym przekonany. Niemiec tak jednej jak i drugiej nie może zapomnieć. Teraz się cieszę w dwójnasób, że jadę do domu Helmersa. Właściwie powinienem wpaść na to, że jest Niemcem. Janke byłby swoją posiadłość nazwał „rancho”, lub podobnie. Ale dom Helmersa! Tą nazwą, z którą kojarzy się ognisko domowe, posłużył się tylko Niemiec. Czy mieszkacie w jego pobliżu?

— Nie. Nie posiadam ani ranca, ani domu. Żyję jak ptak w przestworzach lub jak zwierzę w lesie.

— Pomimo waszego młodego wieku? Nie macie rodziców?

— Ani żadnego krewnego.

— Hm. Jak się właściwie nazywacie?

— Nazywają mnie Bloody-Fox.

— Bloody-Fox? To wskazuje na jakieś krwawe wydarzenie.

— Tak, moi rodzice wraz z całą rodziną i wszystkimi im towarzyszącymi osobami zostali zamordowani na pustyni Llano Estacado. Tylko ja zostałem przy życiu. Znalaziono mnie z głęboką raną na głowie. Miałem wówczas mniej więcej osiem lat.

— Mój Boże! To z was rzeczywiście biedaczysko! Napadnięto na was, żeby was ograbić?

— Tak

— To nie pozostało wam nic prócz życia, nazwiska i okropnego wspomnienia!

— Nawet nie. Helmers znalazł mnie na piasku, wziął mnie na konia i zawiózł do siebie. Miesiącami leżałem w gorączce, a kiedy odzyskałem przytomność, nic nie pamiętałem, zupełnie nic. Zapomniałem nawet swoje nazwisko i do dziś nie mogę go sobie przypomnieć. Jedynie chwila napaści pozostała mi wyraźnie w pamięci. Wolałbym, żeby i ona się zatarła, wówczas nie gnałoby mnie przez tę straszną pustynię bezustannie gorące pragnienie zemsty.

— A dlaczego nazwano was Bloody-Fox?

— Ponieważ byłem zlany krwią i w gorączkowych majaczeniach często powtarzałem słowo „fox”. Myślano więc, że to jest moje nazwisko.

— To wasi rodzice byliby Niemcami?

— Na pewno. Bo kiedy przyszedłem do siebie, mówiłem po angielsku i po niemiecku, lecz łatwiej posługiwałem się językiem niemieckim. Helmers opiekował się mną jak rodzony ojciec. Mimo to nie mogłem wytrzymać u niego. Wyrwałem się w pustkowie jak sokół, któremu sępy rozszarpały rodziców i który teraz krążyć musi wokół krwawego miejsca tak długo, aż mu się uda znaleźć morderców. Fox głośno zazgrzytał zębami i tak mocno ściągnął cugle koniowi, że ten stanął dęba.

— To tę bliznę na czole macie od owej napaści? — zapytał Frank.

— Tak — potwierdził ponuro młodzieniec. — Lecz nie mówmy już o tym! Denerwuje mnie to i mogłoby się zdarzyć, że popędzę w głąb pustyni, a wy będziecie musieli sami jechać do Helmersa.

— Tak, mówmy lepiej o właścicielu tej zagrody! Kim był właściwie w starym kraju?

— Urzędnikiem leśnym.

— Jak? Co takiego? — zawołał Frank. — Ja także! Bloody-Fox osłupiał ze zdziwienia, ponownie przyjrzał się dokładnie mówiącemu i powiedział: — Wy także? Ależ to radosne spotkanie!

— Tak. Jeśli jednak posiadał piękny zawód leśnika, to dlaczego go rzucił?

— Ze zmartwienia. Był nadleśniczym. Podległe jego pieczy lasy były prywatną własnością, a ich właściciel był dumnym, bezwzględny i porywczy człowiekiem. Pokłócili się i Helmers otrzymał negatywne świadectwo, które udaremniło mu podjęcie jakiegokolwiek pracy w jego fachu. Wówczas postanowił wyjechać jak najdalej. Czy widzicie zagajnik czerwonych i czarnych dębów po tamtej stronie?

— Tak — skinął Frank głową, patrząc we wskazanym kierunku.

— Dojedziemy więc znowu do strumyka, a za tym lasem rozpoczynają się pola Helmersa. Dotychczas ja byłem przez was zasypywany pytaniami. Teraz chciałbym z kolei dowiedzieć się czegoś o was. Czy ten poczciwy Murzyn nie ma przypadkiem przyzwiska „Sliding-Bob”?

Na to Bob uniósł się w siodle, jakby chciał zeskoczyć z konia. — Ach! Och! — zawołał. — Dlaczego massa Bloody-Fox wymyśla dobremu, zacnemu masser Bobowi?

— Nie chcę ci wymyślać, ani cię obrazić — odrzekł młodzieniec uspokajająco. — Sądzę, że jestem twoim przyjacielem.

— Dlaczego więc nazywać masser Boba tak, jak go nazywali Indianie, ponieważ masser Bob wówczas ciągle ześlizgiwał się z konia? Teraz jednak masser Bob jeździć na koniu jak diabeł! — Na poparcie swego twierdzenia, spiął konia ostrogami i pogalopował w kierunku zagajnika.

Frank również był zdziwiony pytaniem młodziana. — Znacie Boba? To prawie niemożliwe!

— O nie! Znam również was.

— Czyżby! Jak się więc nazywam?

— Hobble — Frank.

— Zgadza się! Ale chłopcze, kto wam to powiedział? Nie byłem przecież w tej okolicy nigdy w życiu.

— Och — odparł młodzieniec z uśmiechem — zna się przecież takiego sławnego westmana.

Frank nadął się tak, że mu omal surdut nie pękł i zapytał:

— Ja? Sławny? O tym też już wiecie? Kto wam o mnie opowiedział?

— Mój znajomy, Jakob Pfefferkorn, znany powszechnie jako Gruby Jemmy.

— Patrzcież! Mój dobry przyjaciel! Gdzie go spotkaliście?

— Przed kilkoma dniami nad rzeką Washita. Powiedział mi, żeście się umówili na spotkanie w domu Helmersa.

— Istotnie. Przybędzie tam więc?

— Tak. Ja wyruszyłem wcześniej i przybywam prosto stamtąd, gdzieśmy się spotkali. On podąży wkrótce za mną.

— To wspaniale! A więc opowiadał wam o mnie?

— Opisał mi waszą podróż do Yellowstone. Gdy usłyszałem od was, że byliście również leśnikiem, wiedziałem natychmiast kogo mam przed sobą.

— W takim razie wierzycie teraz, że jestem porządnym Niemcem?

— Nie tylko to, lecz wiem, że jesteście w ogóle dobrym i zacnym człowiekiem — odparł młodzieniec z uśmiechem.

— Więc Gruby mnie nie oczernił?

— Nic podobnego. Jakżeby mógł szkalować swojego poczciwego Franka?

— Tak, wiecie, myśmy się nieraz sprzeczali o sprawy, do zrozumienia których nie wystarcza średnie wykształcenie. On jednak szczęśliwie przyznał, że się wzajemnie przewyższamy i dlatego na całym świecie nie może być lepszych, niż my dwaj, przyjaciół. Ale oto dogoniliśmy Boba i dotarliśmy do zagajnika. Jak teraz dalej?

— Trzeba przejechać na drugą stronę strumienia i przedrzeć się przez zagajnik. To jest prosta droga. Tacy dobrzy jeźdźcy jak Bob nie potrzebują przecież ubitego traktu.

— Słusznie! — powiedział Murzyn dumnie. — Massa Bloody-Fox widzieć, że masser Bob jeździć jak Indianin. Masser Bob umieć pokonać wszelkie trudy.

Przeprawili się przez rzeczkę, przejechali las, przedarli się przez zarośla, i minęli ogrodzone pola kukurydzy, owsa oraz kartofliska. Tu miejscami znajdował się żyzny, czarny grunt, który daje obfite plony. Strumień podnosił wartość farmy, przepływając tuż koło domu mieszkalnego, za którym znajdowały się stajnie i budynki gospodarskie.

Dom mieszkalny zbudowany był z kamienia. Długi i na fundamentach, nie posiadał piętra, lecz ściany szczytowe mieściły po dwie niewielkie mansardy. Przed wejściem do domu daleko rzucały cień cztery olbrzymie dęby, pod którymi stało kilka prostych stołów i ławek. Można było od razu spostrzec, że po prawej stronie od wejścia znajdowała się część mieszkalna, a po lewej sklep, opisany przez Bloody-Foxa.

Przy jednym ze stołów siedział starszy mężczyzna, palił fajkę i przyglądał się badawczo trzem przybyłym. Był wysoki, mocno zbudowany, o twarzy zahartowanej na wietrze, okolonej gęstą brodą; prawdziwy westman, którego ręce świadczyły o tym, że wiele się już napracowały.

Kiedy rozpoznał przewodnika dwóch obcych przybyszów, wstał i już z daleka zawołał: — Witam cię, Bloody-Fox! Pokazałeś się nareszcie znowu? Są nowiny.

— Stąd? — zapytał młodzieniec.

— Stamtąd.. — Wskazał przy tym ręką na południe.

— Jakie nowiny? Dobrze?

— Niestety. Prawdopodobnie na pustyni pojawiły się znowu „sępy”.

Amerykanin mówiący po angielsku nazywa pustynię Llano Estacado: „staked plain”. Obydwie nazwy mają to samo znaczenie: „wypalowana równina”.

Wiadomość podana przez Helmersa zelektryzowała wręcz Bloody-Foxa. Zeskoczył z konia, podszedł do starszego człowieka i rzekł: — Musisz mi to zaraz dokładniej opowiedzieć!

— Niewiele jest do opowiadania. Przedtem jednak może byłbyś tak uprzejmy i przedstawił mi tym dwom dżentelmenom.

— To można również prędko załatwić. Jesteś mister Helmersem, właścicielem tej farmy, a ci panowie to mister Hobble-Frank i masser Sliding-Bob, którzy chcieli cię odwiedzić, żeby ewentualnie coś u ciebie kupić.

Helmers przyjrzał się przybyłym i oznajmił: — Muszę ich wpieryw poznać, zanim zacznę z nimi handlować. Nigdy ich jeszcze nie widziałem.

— Możesz ich spokojnie przyjąć. Są moimi przyjaciółmi.

— No to serdecznie witam. — Helmers podał rękę Frankowi i Murzynowi i poprosił, żeby usiedli.

— Najpierw konie, sir — powiedział Frank. — Wiadomo wam przecież, co jest pierwszym obowiązkiem westmana.

— Tak jest. Z waszej troskliwości o zwierzęta wnoszę, że jesteście porządnymi ludźmi. Kiedy macie zamiar znów wyjechać?

— Może będziemy musieli zatrzymać się tu kilka dni, ponieważ mamy się tu spotkać z dobrymi kompanami.

— To zaprowadźcie konie za dom i zawołajcie Murzyna Herkulesa! On wam we wszystkim usłuży.

Przybysze zastosowali się do życzenia gospodarza. Helmers patrzył za nimi, kręcąc głową i rzekł do Bloody-Foxa: — Dziwnych ludzi mi tu przyprowadziłeś! Francuskiego rotmistrza o czarnej skórze i dżentelmena sprzed pięćdziesięciu lat w kapeluszu ze strusim piórem. To nawet tu na dalekim Zachodzie rzuca się w oczy.

— Nie daj się zwieść pozorom, stary. Powiem ci tylko jedno nazwisko, a zaufasz mi. Ci dwaj są dobrymi znajomymi Old Shatterhanda, którego tu oczekują.

— Co ty mówisz? — zawołał farmer. — Old Shatterhand chce przybyć do zagrody Helmersa? Od kogo to wiesz? Od tych dwóch?

— Nie, od Grubego Jemmy'ego.

— Z nim też się widziałeś? Ja go tylko dwukrotnie spotkałem i chętnie bym go znowu zobaczył.

— Będziesz miał niedługo okazję. On i Długi Davy należą do kompanii oczekiwanej przez tych dwóch, których ci przyprowadziłem. Helmers kilka razy szybko pociągnął z fajeczki, która przygasała. Potem z twarzą rozjaśnioną uśmiechem zawołał: — Co za radosna nowina! Muszę zaraz biec do swojej starej Barbarki, aby jej donieść, że...

— Stój! — przerwał Bloody-Fox farmerowi, chwytając go za rękę. — Najpierw pragnę usłyszeć, co się zdarzyło na pustyni.

— Naturalnie zbrodnia — odparł Helmers, zwracając się znów do niego. — Jak długo ciebie u mnie nie było?

— Prawie dwa tygodnie.

— Toteż nie widziałeś tych czterech rodzin, które chciały przejść przez Llano. Wyszły stąd przeszło tydzień temu, ale do celu jeszcze nie dotarły. Kupiec Wallace przybył z tamtej strony. Powinni się byli spotkać.

— Czy paliki były w porządku?

— Właśnie nie. Gdyby nie znał pustyni dokładnie od dwudziestu lat, byłby zgubiony.

— Dokąd się udał?

— Położył się w małej, górnej izdebce, żeby wypocząć. Kiedy przyszedł, ledwie się trzymał na nogach ze zmęczenia. Nie wziął nawet nic do ust, żeby tylko jak najprędzej móc się położyć spać.

— Skocz na górę i obudź go, bez względu na jego zmęczenie. Musi mi wszystko opowiedzieć.

Młodzieniec podenerwowany zniknął w drzwiach domu. Farmer usiadł z powrotem i dalej palił swoją fajkę. Pokręcił przy tym głową, zdziwiony wielkim pośpiechem Bloody-Foxa. W chwilę później jego oblicze przybrało wyraz błęgiego zadowolenia, powodu którego można się było domyślić ze słów, jakie mruczał pod nosem: — Gruby Jemmy! Hm! I nawet Old Shatterhand! Hm...! I tacy mężowie przyprowadzają ze sobą tylko dzielnych ludzi! Hm! Całe towarzystwo przybędzie! Hm! Ale chciałem o tym przecież powiedzieć swojej Barbarce, żeby ...

Helmers wstał, aby tą radosną nowiną podzielić się ze swoją żoną, zatrzymał się jednak ponownie, gdyż właśnie zza węgła domu ukazał się Frank i zmierzał w jego kierunku.

— No co, sir, znaleźliście Murzyna? — zapytał Helmers.

— Tak — odparł Frank. — Bob jest u niego, więc mogę im spokojnie powierzyć konie. Musiałem przede wszystkim pospieszyć do was, żeby wam powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że znalazłem kolegę po fachu. — Frank powiedział to po angielsku, gdyż dotychczas cała rozmowa toczyła się w ogóle w języku angielskim.

— Kolegę po fachu? — zapytał farmer. — Gdzie mianowicie?

— Tutaj! Was mam na myśli. Bloody-Fox opowiedział mi, że byliście nadleśniczym.

— To się zgadza.

— Więc jesteście kolegami, ponieważ ja także byłem adeptem leśnictwa.

— Ach! A gdzie mój drogi?

— W Niemczech, i to w Saksonii.

— Co? W Saksonii? To pan jest Niemcem? Dlaczego więc mówi pan po angielsku? Proszę się posługiwać swoim językiem ojczystym!

Ostatnie zdanie wypowiedział Helmers po niemiecku i Hobble-Frank podjął dalszy dyskurs w tym języku: — Z największą przyjemnością, panie nadleśniczy! Gdy chodzi o używanie mojego języka ojczystego, to natychmiast się zgadzam. Z dumą pana informuję: byłem pomocnikiem leśniczego w Moritzburgu pod Dreznem, wie pan tam, gdzie się znajduje zamek ze stawami karpia. Helmers był w pierwszej chwili trochę zdetonowany sposobem wyrażania się małego Saksończyka. Ucisnął serdecznie „panu koledze” podaną przez niego rękę, poprosił go, żeby zajął miejsce i chcąc zyskać na czasie udał się do domu, by przynieść jakiś napój orzeźwiający. Wrócił z dwiema butelkami piwa i dwoma kufłami w rękę.

— Psiakość, to wspaniale! — zawołał Frank. — Piwo! To mi się podoba! Przy tym szlachetnym napoju z jęczmienia mężczyźni najłatwiej dają upust swej elokwencji. Czy tu w Teksasie także się już warzy piwo?

— Nawet w dużej ilości. Musi pan wiedzieć, że w Teksasie mieszka ponad czterdzieści tysięcy Niemców, a gdzie się Niemiec osiedli, tam na pewno warzy się piwo.

— Niech Bóg zachowa chmiel i miód! Czy pan sam trudni się warzeniem tego lubego daru Bożego?

— Nie! Sprowadzam sobie zapas przy każdej okazji z Coleman City. Na zdrowie, panie Frank!

Helmers napełnił kufle i trącił się z Frankiem. Ten jednak powiedział: — Panie nadleśniczy, proszę, niechże pan nie robi ceregieli i poniecha wszelkiej obawy! Jestem nader przystępnym człowiekiem. Dlatego proszę mnie nie tytułować „panie Frank”, lecz mówić do mnie po prostu „panie kolego"! Tak będzie najlepiej dla nas obu.

— Zupełnie słusznie! — skinął Helmers głową z uśmiechem. — Pan mi się podoba.

— No to dobrze! Ale gdzież się właściwie podział nasz przyjaciel Bloody-Fox?

— Poszedł do jednego z gości, żeby się czegoś dowiedzieć. Gdzie go pan spotkał?

— Przy strumieniu, godzinę drogi stąd.

— Sądziłem, że byliście razem przez dłuższy czas.

— To bynajmniej nie jest konieczne. Mam w sobie coś tak przyciągająco sympatycznego, że zwykle szybko zaprzyjaźniam się z ludźmi. Ten młody człowiek powierzył mi już w najbardziej tajemniczy sposób cały swój życiorys. Czy nie wie pan o nim czegoś bliższego?

— Nie, jeżeli panu opowiedział cały swój życiorys.

— Z czego właściwie Fox żyje?

— Hm! Przynosi mi od czasu do czasu nuggety. Z tego wnioskuję, że gdzieś musiał odkryć złożę złotego kruszcu.

— To mnie cieszy, zwłaszcza że jak się zdaje, jest on Niemcem. To musi być straszne, jeśli człowiek nie wie, gdzie stała jego pierwsza kołyska.

W tym momencie Bloody-Fox wyszedł z domu i zbliżył się do rozmawiających. Wyglądał jeszcze poważniej niż przedtem i zwrócił się do Helmersa: — To przecież okropne, co mi Wallace opowiedział! Teraz mogę myśleć tylko o tych biednych ludziach, którzy zostali zamordowani na Llano Estacado.

— Ludzie zostali zamordowani? — zapytał dobroduszny Hobbler-Frank pełen współczucia. — Na Llano? Kiedyż to było?

— Nie wiadomo. Wyruszyli stąd przed przeszło ośmiu dniami, lecz dotychczas nie zjawili się po przeciwnej stronie pustyni. Z tego wniosek, że zginęli.

— Może jednak nie. Zapewne pojechali w innym kierunku, niż początkowo zamierzali.

— Tego się właśnie obawiam. Stąd można jechać tylko w jednym kierunku, żeby przebrnąć przez pustynię. Jest ona tak samo niebezpieczna, jak na przykład Sahara lub pustynia Gobi. Na Llano Estacado nie ma żadnych źródeł, żadnych oaz, ani wielbłądów, które potrafią wiele dni obyć się bez wody. To sprawia, że ta pustynia jest tak niebezpieczna, jakkolwiek jest ona mniejsza od afrykańskiej i azjatyckiej. Nie ma tam żadnej drogi w znaczeniu szlaku komunikacyjnego. Dlatego w kierunku, w którym jazda jest możliwa, poutykane są paliki. Od nich pustynia wzięła swoją nazwę. Kto zpuści się poza te paliki, jest zgubiony. Musi umrzeć z wyczerpania. Żar i pragnienie działają ujemnie na mózg. Człowiek traci zdolność myślenia i jeździ tak długo w kółko, aż koń pod nim padnie, a on sam nie jest już w stanie zrobić ani jednego kroku. Tylko bardzo niewielu zna Llano tak dokładnie, że i bez palików da sobie radę. Co więc się dzieje, jeśli paliki wskazujące właściwą drogę zostaną wyjęte przez morderców i poutykane w fałszywym kierunku?

— Toż to szatański wymysł! — krzyknął Frank i zerwał się przerażony.

— Oczywiście — przyznał Helmers — a jednak to się zdarza. Istnieją bandy przestępców, które wyciągają paliki i wtykają je w fałszywym kierunku. Kierujący się nimi podróżni jadą prosto w pułapkę. W pewnym bowiem miejscu paliki się kończą, podróżny trafia w najokropniejsze okolice pustyni i nie znajduje już ratunku!

— Może przecież wrócić wzdłuż palików!

— Na to jest za późno, gdyż tkwi już wtedy tak głęboko w pustyni, że zmęczony i spragniony wlecze się resztkami sił i nie jest w stanie wrócić do miejsca porośniętego zielenią. Rabusie nie potrzebują go wcale zabijać. Czekają po prostu aż zginie i obrabowują potem jego zwłoki. Tak się już często zdarzało.

— Ale czyż tych łotrów nie można unieszkodliwić?

Helmers już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, kiedy jego uwagę przykuł człowiek, który właśnie wyłonił się zza narożnika domu. Miał na sobie ubranie z czarnego sukna, a w rękę trzymał małe zawiniątko. Był szczupły i chuderlawy, a twarz miał chudą i kanciastą. W czarnym ubraniu, wysokim cylindrze, zsuniętym głęboko na kark, i okularach, wyglądał jak duchowny.

Podszedł dziwnie skradającymi się krokami, dotknął lekko rona kapelusza i pozdrowił: — Dzień dobry panom! Czy trafiłem do wielmożnego pana Johna Helmersa?

Helmers obrzucił przybysza wzrokiem, z którego można było wnioskować, że obcy mu się nie podoba i odpowiedział: — Nazywam się istotnie Helmers, ale tytuł „wielmożny pan” możecie spokojnie opuścić. Nie jestem sędzią pokoju i w ogóle nie lubię tego rodzaju uprzejmości. To są tylko kiepskie komplementy, którymi jak zgniłymi jabłkami džentelmen niechętnie daje się obrzucać. Skoro znacie moje nazwisko, czy wolno mi poznać wasze?

— Dlaczego nie, sir! Nazywam się Tobias Preisegott Burton i jestem misjonarzem „Świętych Ostatnich Dni”.

Obcy wypowiedział to zdanie tonem pełnym namaszczenia i pewności siebie, co jednak nie wywarło na farmerze wrażenia, jakiego przybysz oczekiwał, gdyż Helmers odparł, wzruszając ramionami:

— Jesteście mormonem? To bynajmniej nie jest dla was pochlebną rekomendacją. Nazywacie się „świętymi ostatnich dni”. Brzmi to pretensjonalnie i butnie, a ponieważ jestem człowiekiem skromnym i nie podoba mi się wasz brak krytycyzmu, najlepiej będzie, jeśli się zaraz stąd oddalicie. Nie ścierpię w zagrodzie żadnego misjonarza.

Zostało to powiedziane dość wyraźnie, a nawet obraźliwie. Burton jednak zachował swój uprzejmy wyraz twarzy, sięgnął znów grzecznie do kapelusza i oznajmił: — Mylicie się, sir, jeśli sądzicie, że zamierzam nawracać mieszkańców tej błogosławionej farmy. Zaszedłem do was tylko, żeby wypocząć oraz zaspokoić głód i pragnienie.

— No, jeśli tylko o to wam chodzi, dostaniecie co wam potrzeba, pod warunkiem naturalnie, że możecie zapłacić. Mam nadzieję, że macie pieniądze.

Helmers obrzucił obcego ponownie wnikliwym, badawczym spojrzeniem, po czym skrzywił się, jakby zobaczył coś nieprzyjemnego. Mormon wznosił oczy ku niebu, chrząknął i wyjaśnił: — Co prawda nie posiadam w nadmiarze skarbów tego grzesznego świata, za posiłek i nocleg mogę jednak zapłacić. Oczywiście nie liczyłem się z takim wydatkiem, gdyż mówiono mi, że ten dom jest bardzo gościnnie.

— Kto wam o tym powiedział?

— Słyszałem o tym w Taylorsville, skąd przybywam.

— Powiedziano wam prawdę. Zapomniano jednak dodać, że z bezinteresowną gościnnością podejmuję tylko tych, którzy są przeze mnie mile widziani.

— To zapewne w moim przypadku tak nie jest?

— Właśnie.

— Ale ja przecież nie mam nic na sumieniu.

— Być może. Jednak gdy się wam dokładnie przyglądam, odnoszę wrażenie, że po was można się spodziewać tylko niemiłych rzeczy. Nie bierzcie mi tego za złe, sir! Jestem człowiekiem szczerym i mam zwyczaj mówić każdemu otwarcie, co o nim myślę. Wasza twarz mi się nie podoba.

Nawet teraz mormon nie wydał się obrażony. Po raz trzeci sięgnął do kapelusza i powiedział łagodnym tonem: — W tym życiu człowiek sprawiedliwy rzadko bywa doceniany. Nie odpowiadam za swoją twarz. Jeżeli wam się nie podoba, to nie jest to moja wina.

— Ale nie powinniście nikomu pozwolić tak mówić. Trzeba nie mieć za grosz poczucia honoru, żeby takie słowa przyjąć ze spokojem.

Zresztą muszę przyznać, że właściwie nie mam nic przeciwko waszej twarzy jako takiej. Nie odpowiada mi tylko sposób, w jaki ją obnosicie po świecie. A poza tym wydaje mi się, że to wcale nie jest wasza prawdziwa twarz. Przypuszczam, że wasze oblicze przyjmuje zupełnie inny wyraz, kiedy jesteście sami. W dodatku jeszcze inne rzeczy mi się nie podobają.

— Czy mógłbym prosić o wyjaśnienie, o czym myślicie?

— Powiem wam niezależnie od waszej prośby. Mam wiele przeciwko temu, że przychodzicie z Taylorsville.

— Dlaczego? Czy macie tam wrogów?

— Żadnego. Ale wyjaśnijcie mi, dokąd zamierzacie iść!

— W górę, do fortu Elliot.

— Hm! To najbliższa droga prowadzi koło mojej farmy?

— Nie, ale słyszałem o was tyle miłego i dobrego, że z całego serca zapraǳałem was poznać.

— Nie życzcie sobie tego, mister Burton, bo mogłoby wam to nie wyjść na zdrowie! A gdzie właściwie macie waszego konia?

— Mojego konia? Nie mam żadnego. Przyszedłem piechotą.

— Oho! Nie próbujcie mi tylko tego wmówić! Konia schowaliście gdzieś w pobliżu i mocno podejrzewam, że skłoniły was do tego niezbyt uczciwe powody. Tu posługuje się koniem każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko. Bez konia nie można się w tej okolicy w ogóle poruszać. Obcy, który chowa swojego konia, a potem się tego zapiera, knuje na pewno coś niedobrego.

Mormon załamał ręce i zaklinając się zawołał: — Ależ mister Helmers, przysięgam, że naprawdę nie posiadam konia. Przemierzam kraj pieszo z pokorą i nigdy jeszcze nie siedziałem w siodle.

Wówczas Helmers wstał z ławki, podszedł do Burtona, położył mu ciężko rękę na ramieniu i ofuknął go: — Człowieku, wy to mówicie mnie, który tyle lat mieszkam tu na granicy? Czy sądzicie, że jestem ślepy? Widzę przecież, że wewnętrzne strony spodni macie wytarte od konnej jazdy. Widzę także dziury po ostrogach w waszych butach, i...

— To nie jest żaden dowód, sir! — przerwał mu mormon. — Kupiłem noszone buty. Dziury już w nich były.

— Ach tak! Jak długo je właściwie nosicie?

— Od dwóch miesięcy.

— W takim razie dziury te dawno byłyby wypełnione kurzem i brudem. A może sprawiacie sobie przyjemność i codziennie je na nowo wywiercacie? Ostatniej nocy padał deszcz. Tak daleka wędrówka piesza pokryłaby wasze buty błotem. A ponieważ są czyste, jest to najlepszym dowodem, że jechaliście konno. Zresztą czuć was koniem, a spojrzycie tylko tu. Jeżeli znowu kiedyś będziecie wtykali ostrogi do kieszeni, to postarajcie się, żeby kółka ostróg nie wystawały na zewnątrz! — Helmers wskazał przy tym na mosiężne kółko ostrogi, wystające mormonowi z kieszeni marynarki.

— Te ostrogi wczoraj znalazłem — bronił się mormon.

— To nie powinniście ich brać, skoro ich nie potrzebujecie. Zresztą nic mnie to nie obchodzi, czy jeździcie konno, czy chodzicie piechotą. Ze względu na mnie, możecie nawet jeździć na łyżwach po świecie. Jeżeli możecie zapłacić, dostaniecie jeść i pić. Potem jednak wynoście się! Przenocować was nie mogę. Przyjmuję tylko ludzi, którzy nie budzą podejrzeń.

Helmers podszedł do okna, powiedział komuś półgłosem kilka słów, wrócił potem na swoje miejsce i zdawał się więcej przybyszem nie zajmować. Mormon usiadł przy sąsiednim stole, położył na nim swoje zawiniątko, złożył ręce i potrząsając głową, skłonił ją zrezygowany, czekając spokojnie na to, co mu przyniosą. Przybrał minę człowieka, którego niezasłużenie skarcono.

Hobble-Frank przysłuchiwał się uważnie całej rozmowie. Teraz, kiedy się skończyła, nie zwracał więcej uwagi na mormona. Inaczej jednak zachowywał się Bloody-Fox.

Jak tylko zjawił się obcy, młodzieniec wpatrzył się w niego i cały czas nie odrywał od niego wzroku. Nie usiadł, gdyż miał zamiar zaraz opuścić farmę. Stał obok swojego konia. Teraz złapał się za czoło, jakby daremnie usiłował sobie coś przypomnieć. Potem opuścił rękę, usiadł z wolna naprzeciwko farmera, tak by móc dokładnie obserwować mormona. Starał się nie okazywać tego, lecz nie mógł ukryć wewnętrznego napięcia.

Wtem pojawiła się w drzwiach starsza, dobrej tuszy niewiasta.

Przyniosła chleb i duży kawał wołowej polędwicy. — To jest moja żona — przedstawił Helmers kobietę Hobble-Frankowi po niemiecku, podczas gdy z mormonem rozmawiał w języku angielskim. — Ona zna język niemiecki tak dobrze jak ja.

— Bardzo się cieszę — powiedział Frank, podając rękę przybyłej. — Dawno nie miałem przyjemności rozmawiać z damą w języku ojczystym. Serdecznie więc panią witam, droga pani Helmers! Może pani kołyska huśtała się także w wodach Renu lub Łaby?

— A gdyby nawet nie — odrzekła, śmiejąc się. — Tam, w ojczyźnie, nie ma zwyczaju wstawiania kołyszek do wody. Ale mimo to jestem rodowitą Niemką.

— No, to z Renem i Łabą było oczywiście żartem. Wyrażam się wyszukanie i wykwintnie. Jeśli zaś o mnie chodzi, to pierwszy rozkoszny oddech wydałem w pobliżu nadłabskiej Florencji, którą geograf z matematyczną ścisłością nazywa Dreznem.

Helmersowa nie wiedziała, co ma odpowiedzieć temu dziwakowi. Spojrzała pytająco na męża, a Helmers wybawił ją z zakłopotania, wyjaśniając: — Ten pan jest moim miłym kolegą, leśnikiem, który w starym kraju zapewne zrobiłby karierę.

— Na pewno! — wtrącił szybko Frank. — Leśnictwo było drabiną, po której bym się wdrapał rękami i nogami, gdyby los nie złapał mnie za kark i nie przywłókł tu do Ameryki. Mam nadzieję, że się szybko zaprzyjaźnimy, droga pani Helmers!

— O tym jestem przekonana! — odrzekła, skinąwszy mu głową.

— Skończyło mi się piwo. Czy nie mógłbym dostać jeszcze jednego? Pani Helmers zabrała ze stołu kufel, żeby go ponownie napelnić. Przy tej okazji przyniosła dla mormona chleb, ser, wodę i małą szklaneczkę wódki. Mormon zabrał się do jedzenia tego skromnego posiłku, nie skarżąc się, że nie dostał mięsa.

Nadszedł Bob. — Masser Bob być gotowy z końmi — zameldował. — Masser Bob także chce jeść i pić!

Wtem jego wzrok padł na „świętego ostatnich dni”. Stał jak wryty, przez jakiś czas mierzył mormona oczami i zawołał: — Co widzieć masser Bob! Kto tu siedzi! To być massa Weller, ten złodziej, który ukradł massa Baumannowi wszystkie jego pieniądze!

Mormon wstał raptownie i wlepił wystraszony wzrok w Murzyna.

— Co mówisz? Ten człowiek jest owym Wellerem?

— Tak, to jest on. Masser Bob znać go dokładnie. Masser Bob przyjrzeć mu się wówczas bardzo dobrze.

— O dniu nieszczęsny! To byłoby przecież przemiłe spotkanie. Cóż wy na to, mister Tobias Preisegott Burton?

Mormon przezyciżył chwilowy przestrach. Machnął lekceważąco ręką w stronę Murzyna i odparł: — Ten czarny nie jest zapewne przy zdrowych zmysłach. Nie rozumiem go. Nie wiem, czego chce!

— Jego słowa były przecież dość wyraźne. Nazwał was Wellerem i powiedział, że okradliście jego pana, niejakiego Baumanna.

— Nie nazywam się Weller.

— Możecie się kiedyś tak nazywali?

— Nazywałem się zawsze Burton. Zdaje się, że ten czarnuch pomylił mnie z kim innym.

Wówczas Bob podszedł groźnie do niego i krzyknął: — Co być masser Bob? Masser Bob być Murzynem, lecz nie przeklętym czarnuchem. Masser Bob być kolorowy džentelmen. Jeżeli massa Weller jeszcze raz powie „czarnuch”, to masser Bob uderzyć go pięścią, jak mu to pokazał massa Old Shatterhand!

Helmery natychmiast stanął między obydwojmi i zażądał: — Bob, żadnych rękoczynów! Oskarżasz tego człowieka o kradzież. Czy możesz to udowodnić?

— Tak, Bob dać dowody. Massa Frank także widzieć, że massa Baumann zostać okradziony. On móc być świadkiem.

— Czy to prawda, mister Frank?

— Tak — potwierdził zapytany. — Mogę to udowodnić.

— Jak więc było z tą kradzieżą?

— Mój kompan Baumann, zwany przez tych, którzy go znają po prostu „łowcą niedźwiedzi”, miał w pobliżu South Fork nad rzeką Cheyenne sklep, a ja byłem jego towarzyszem i współnikiem. Sklep prosperował z początku bardzo dobrze, gdyż odwiedzali go często poszukiwacze złota, którzy wówczas sprowadzili się w góry Black Hills. Inkasowaliśmy dużo pieniędzy i często posiadaliśmy znaczną ilość gotówki i nuggetów. Pewnego dnia musiałem wybrać się do kopaczy złota, żeby ściągnąć pieniądze, które mi byli winni. Kiedy po trzech dniach powróciłem, usłyszałem, że Baumanna tymczasem okradziono. Był sam z Bobem i przyjął na nocleg gościa, nazwiskiem Weller. Następnego ranka okazało się, że wraz z Wellerem znikły wszystkie pieniądze. Pogoń za złodziejem była bezskuteczna, ponieważ ślady zostały zmyte przez ulewę. Teraz Bob twierdzi, że w tym „świętym ostatnim dniu” rozpoznaje owego złodzieja i nie przypuszczam, żeby on się mylił. Bob ma oczy na wszystko otwarte i bardzo dobrze pamięta ludzi. Już wówczas zapewnił, że tego człowieka, dokładnie obejrzał. To, mister Helmers, jest wszystko, co w tej sprawie mam do powiedzenia.

— Więc wyście wtedy tego złodzieja osobiście nie spotkali?

— Nie.

— W takim razie nie możecie zaświadczyć, że naprawdę mamy go przed sobą. Bob jest jedynym oskarżycielem. Co należy zrobić, wiecie tak samo dobrze jak ja.

— Masser Bob dokładnie wiedzieć, co należy zrobić! — odezwał się Murzyn porywczo. — Masser Bob zabić łobuza. Masser Bob się nie mylić.

Chciał odsunąć Helmersa na bok, żeby dostać się do mormona. Farmer jednak zatrzymał go słowami: — To byłoby gwałtem, do którego nie mogę dopuścić na swojej ziemi.

— Dobrze, masser Bob czekać, aż ten drań stąd odejdzie. Potem go jednak powiesić na najbliższym drzewie. Masser Bob tu siedzieć i pilnować, kiedy złodziej odejść.

Bob usiadł tak, żeby mieć mormona na oku. Można było wyczytać z jego twarzy, że swoją groźbę traktuje poważnie. Burton z lękiem przyglądał się potężnej postaci Murzyna i zwrócił się do Helmersa: — Sir, jestem naprawdę niewinny. Ten czarny master myli mnie z kimś innym i mam nadzieję, że mogę liczyć na waszą opiekę.

— Nie polegajcie zbyt na mnie! — brzmiała odpowiedź. — Nie udowodniono wam winy, a mnie ta kradzież w ogóle nie obchodzi, ponieważ nie piastuję żadnego urzędowego stanowiska. Wobec tego, jak długo tu będziecie, nic wam nie grozi. Powiedziałem wam już jednak, że macie się jak najprędzej stąd wynieść. Co się potem stanie, jest mi obojętne. Nie mogę Bobowi zabronić uregulowania tej sprawy z wami w cztery oczy. Co do mnie, pragnę was zapewnić, że nie zemdleję z przerażenia, jeśli jutro znajdę was pod jakimś drzewem, na którego najgrubszej gałęzi was powieszono.

Tym samym sprawa została chwilowo załatwiona. Mormon zajął się znowu posiłkiem, ale jadł bardzo powoli i z długimi przerwami, aby możliwie najdłużej korzystać z zagwarantowanego mu bezpieczeństwa. Bob poruszał gałkami oczu, nie spuszczać ich z mormona, a Bloody-Fox, który pozornie zachowywał spokój, obserwował Burтона nadal tak samo uważnie jak przedtem.

## 2. STRZAŁ W CZOŁO

Każdy tak był zajęty jęzieniem i swoimi myślami, że rozmowa się urwała. A kiedy później Frank chciał ją ponownie ożywić i mówić dalej o Llano Estacado, przeszkodziło mu w tym pojawienie się nowego gościa. — Wasz dom zdaje się być często odwiedzany, mister Helmers — zauważył. — Znowu zbliża się jakiś jeździec, który sobie was upatrzył.

Gospodarz odwrócił się w stronę przybysza, poznał go i zadowolony oznajmił: — To jest człowiek, którego zawsze chętnie witam, chłop na schwał, na którym można pod każdym względem polegać.

— Pewnie kupiec, który chce się u was zaopatrzyć w towar?

— Sądzicie tak pewnie dlatego, że po obu stronach siodła ma duże torby?

— Tak.

— To się mylicie. Ten człowiek nie jest kupcem, lecz jednym z naszych najznakomitszych tropicieli. Musicie go poznać.

— Może znam go z nazwiska.

— Jak on się właściwie nazywa, tego nie wiem. Zowią go powszechnie Juggle-Fred, ponieważ pokazuje sztuczki kuglarskie, które każdego wprawiają w zdumienie. Potrzebne do tego rekwiizyty wozi ze sobą w tych dziwnych torbach.

— Słyszałem już o nim. Jest wędrownym sztukmistrzem, a przy okazji przewodnikiem i tropicielem, nieprawdaż?

— Właśnie na odwrót: jest znakomitym tropicielem, świetnie odnajduje i odczytuje ślady ludzi i zwierząt, i jest znakomitym przewodnikiem, który przy okazji zabawia towarzystwo sztuczkami kuglarskimi. Zdaje się, że podróżował ze sławnymi cyrkowcami. Zna również język niemiecki. Dlaczego przybył na Zachód i tu pozostaje, podczas gdy gdzie indziej mógłby się dzięki swej zręczności stać człowiekiem bogatym, tego nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Jestem jednak przekonany, że się wam spodoba.

Jeździec, o którym mowa, podjechał tymczasem bliżej. Tuż przed domem zatrzymał konia i zawołał: — Halo, stary kwatermistrz, czy znajdzie się jeszcze u ciebie miejsce dla biedaka, który nie ma czym zapłacić rachunku?

— Dla ciebie jest miejsce o każdej porze — odpowiedział Helmers. — Zajeżdżaj! Zejdz z tego kozła i rozgość się! Znajdziesz tu miłe towarzystwo.

Były magik ogarnął obecnych badawczym wzrokiem i stwierdził: — Mam nadzieję! Naszego Bloody-Foxa już znam. Murzyn nie sprawi mi kłopotu. Ten drugi, mały džentelmen w surducie i damskim kapeluszu, wydaje się też poczciwym człowiekiem, a tego trzeciego tam, gryzącego ser jakby jadł skórę jeża, no cóż, hm, tego chyba jeszcze poznam.

Dziwne, że i ten człowiek wyraził się natychmiast o mormonie z pewną ostrożnością. Podjechał całkiem blisko i zeskoczył z siodła.

Kiedy witał gospodarza serdecznie, z rozpostartymi rękami, mógł mu się Frank dobrze przypatrzeć.



Juggle-Fred nawet tu na Dzikim Zachodzie był zjawiskiem niezwykłym. Pierwszą rzeczą, która się rzuciła w oczy, był duży garb, szpecący jego poza tym harmonijnie zbudowaną postać. Był średniego wzrostu, nie za niski, nie chuderlawy; nie miał też zbyt długich rąk. Jego okrągła, pełna, gładko ogolona twarz była mocno opalona, lecz po lewej stronie silnie poszarpana, jakby jakąś straszną ranę połatano kiedyś nieprawidłowo. I o dziwo, jego oczy miały różne zabarwienie; lewe oko było jasnoniebieskie, a prawe głęboko czarne. Nosił wysokie, brązowe buty z bawolej skóry, zaopatrzone w meksykańskie ostrogi z dużymi kółkami, czarne skórzane spodnie z taką samą kamizelką i bluzowaty kaftan z mocnego granatowego sukna. Na biodrach miał szeroki pas skórzany, podobny do trzosa, w którym obok nabołów, noża i znacznego kalibru rewolweru tkwiły najrozmaitsze drobiazgi, potrzebne westmanowi. Głowę okrywała mu prawie nowa czapka z futra bobrowego, mocno nasunięta na czoło, niemal całkiem je zasłaniając. Ogon bobra zwisał z czapki aż na kark. Jego konia Helmers nazwał żartobliwie kozłem, a porównanie to było uzasadnione. Zwierzę miało bowiem wysokie i zdaje się mocno sfatygowane nogi. Na gołym kikucie jego ogona, teraz opuszczonego, widać było zaledwie kilka krótkich włosów. Czy ten rumak był kiedyś karym, gniadym, czy też cisawym koniem, nie dało się już dziś ustalić, gdyż jego korpus pokrywały w wielu miejscach łysiny, a tam, gdzie jeszcze sierść pozostała, była tak nieokreślonej siwej barwy, jak gdyby na tym ogierze już za czasów wędrowki ludów jeździł jakiś Sweb lub Gepida. Po grzywie nie było już śladu. Nieproporcjonalnie duży łeb konisko zwieszało bardzo nisko, pyskiem prawie dotykając ziemi i zdawało się nie mieć siły, aby udźwignąć długie, grube i łyse osłe uszy, które na kształt dużych schowków skórzanych otulały czule jego zuchwy. Poza tym koń miał zamknięte oczy, jakby spał. Stojąc tak nieruchomo, zdawał się być uosobieniem niedościgłej głupoty i godnej współczucia niezaradności.

Właściciel tego konia, uściskawszy ręce gospodarzowi, zapytał:

— Więc masz miejsce dla mnie? A jedzenie także?

— Naturalnie! Przysiądź się do nas. Jest tu jeszcze dość mięsa dla ciebie.

— Dziękuję. Zepsułem sobie wczoraj żołądek. Wołowina jest dla mnie za ciężka. Wolałbym kurczaka. Czy możesz się o niego postarać?

— Dlaczegoż by nie? Popatrz ile tu kurcząt do pieczenia biega wokoło. — Wskazał przy tym na dwa stadka młodych kurczaków, które pod macierzyńską opieką kwok dreptały w pobliżu stołów, ażeby wydziobać spadłe okruchy.

— Pięknie! — przytaknął Fred. Proszę o jedno kurczątko. Niech mi je pani domu przyrzadzi. Oskubię je sam. Mówiąc to, zdjął swoją dubeltówkę z lęku, wycelował i strzelił. Kiedy huknął strzał, przymknięte powieki konia nawet nie drgnęły. Zwierzę wydawało się tak głuche, że nie mogło usłyszeć strzału nawet oddanego tuż przy nim.

Kurczę padło martwe. Fred podniósł je i pokazał wszystkim. Ku ogólnemu zdumieniu okazało się, że nie miało już na sobie ani jednego piórka i można je było zaraz wypatroszyć i upiec.

— Ki diabeł! — śmiał się Helmers. — Mogłem przecież przewidzieć, że tu chodzi znowu o jedną z twoich sztuczek. Ale powiedz, jak to właściwie zrobisz?

— Przy pomocy lunety.

— Bzdura! przecież strzelałeś z fuzji.

— Oczywiście. Ale przedtem obserwowałem was z daleka przez kieszonkowy teleskop i zauważyłem to kurze stadko. Dlatego też zaraz poczyniłem odpowiednie przygotowania, żeby wystąpić w roli sztukmistrza.

— Czy można wiedzieć, jakie to były przygotowania?

— Dlaczego nie? To przecież tylko zabawa. Wprowadzam do fuzji prócz kuli trochę gruboziarnistych opiłków żelaznych i celuję tak, żeby ładunek przeszedł przez sam środek ptaka od tyłu do przodu; wtedy pióra, o ile nie są jeszcze za mocne, zostaną całkiem zgolone i opalone. Widzisz więc, że nie trzeba studiować czarnej ani białej magii, żeby być tak zwanym kuglarzem. Wydaj zatem polecenie, aby mi upieczono tego ptaka. Mam nadzieję, że wolno mi się przysiąść do was?

— Naturalnie! Ci dwaj dżentelmeni są moimi przyjaciółmi, znajomymi Old Shatterhanda, którego tu oczekują.

— Old Shatterhanda? — zerwał się Juggle-Fred na równe nogi. — Czy to prawda?

— Tak. Gruby Jemmy też ma przybyć.

— Ach, co za szczęśliwy dzień! Lepszej wiadomości nie mogłem usłyszeć! Dawno już życzyłem sobie zobaczyć kiedyś Old Shatterhanda. Cieszę się, że przybyłem tu we właściwym czasie.

— Ucieszysz się również, dowiadując się, że ten oto pan, jest Niemcem. Nazywa się Frank i jest kolegą...

— Frank? — przerwał mu sztukmistrz. — A nie przypadkiem Hobble-Frank?

— Do licha! — zawołał mały Saksończyk. — Pan zna moje nazwisko? Jak to możliwe?

Powiedział to po niemiecku; dlatego Juggle-Fred odpowiedział mu w tym samym języku: — Proszę się temu nie dziwić. Dawniej były inne czasy. Tu, na dalekim Zachodzie zdarzało się wiele dobrych i złych wyczynów, lecz przy ówczesnej słabej komunikacji wiadomości o nich rozchodziły się bardzo powoli. Dziś natomiast, jeśli uda się komuś dokonać czegoś nadzwyczajnego, wieść o tym lotem błyskawicy przekazywana bywa od jezior do Meksyku i od San Francisco aż do Nowego Jorku. Pana odważna wyprawa nad zlewisko wód rzeki Yellowstone znana jest szeroko w świecie. W każdym forcie, w każdej osadzie, przy każdym obozowym ognisku opowiadano o pańskiej podróży, a więc nie może się pan dziwić, że znam pana nazwisko. Pewien traper, który tam wysoko przy wododziale rozmawiał z Moh-awem, synem Oihitka-petaya, a teraz dotarł aż do fortu Arbuckle, opowiedział wszystkim których spotkał, a w końcu i mnie, tę historię tak szczegółowo, jak ją sam usłyszał.

— No — zauważył Hobble-Frank — kto wie, co po drodze od wododziału aż do fortu Arbuckle dodano. Czasem z myszy robi się niedźwiedzia polarnego, z dżdżownicy anakondę, a ze skromnego myśliwego powstaje słynny Hobble-Frank. Przyznaję, że byłem istnym Herkulesem i Minotaurem, ale nie mogę pozwolić, żeby mi przypisywano więcej, niż istotnie zrobiłem. Bohatera zdobi bezwzględna skromność.

— Pana skromność stawia pańskie zalety w jeszcze korzystniejszym świetle i z wielokrotnia moją przyjemność, że pana poznałem. Proszę mi podać rękę!

Juggle-Fred wyciągnął do niego prawicę. Saksończyk ujął ją serdecznie i rzekł: — Robię to chętnie, ponieważ dowiedziałem się od pana Helmersa, że jest pan obyty w świecie i posiada zmysł artystyczny. Miło by mi było usłyszeć pański życiorys!

— Ten mogę szybko opowiedzieć! Najpierw chodziłem do gimnazjum, gdzie ...

— Biada! To nie jest dla pana pochlebne.

— Dlaczegoż to?

— Ponieważ żywię ostrą niechęć do każdego, kto był gimnazjalistą. Ci ludzie wynoszą się ponad innych. Nie wierzą, że urzędnik leśny mógłby się także stać uczonym. Doświadczyłem tego już kilkakrotnie. A jednak udawało mi się zawsze bardzo łatwo przekonać tych ludzi, że ich znacznie przewyższam. A więc ukończył pan coś w rodzaju studiów?

— Tak. Po ukończeniu gimnazjum, zgodnie z radą moich protektorów poświęciłem się malarstwu i uczęszczałem na akademię sztuk pięknych. Miałem zdolności, ale niestety brak mi było wytrwałości. Zbyt szybko się znużyłem i zstąpiłem z wyżyn prawdziwej sztuki na jej niziny — stałem się woltyżerem. Byłem żwawym i sprawnym młodzieńcem, lecz brakowało mi sił i wewnętrznej dyscypliny. Jednym słowem byłem lekkomyślny. Żałowałem tego bardzo często. Czym mógłbym być dziś, gdybym mocno chciał!

— No cóż, talent ma pan zapewne i dziś. Niechże pan zacznie od nowa!

— Teraz? Kiedy młodzieńcza energia już się wyczerpała? Drogi panie Hobble-Frank, marzenia się skończyły. Staram się wykonywać zawód tropiciela rzetelnie i solidnie i służyć swoim bliźnim. Ale do szkoły, mnie starego dziwaka niech pan już nie odsyła!... Szczęśliwy ten, który w życiu dojrzałym nie musi pokutować za to, czego zaniedbał w młodości! Przejdźmy, proszę na inny temat!

— Tak, mówmy o czymś innym! — powtórzył gorliwie dobroduszny Hobble-Frank. — O moich przyjaciółach, z którymi mam się spotkać, mianowicie o Old Shatterhandzie, Długim Davym, Grubym Jemnym, o Winnetou, który...

— Winnetou? — przerwał mu Fred. — Ma pan na myśli tego sławnego wodza Apaczów? Gdzie ma się pan z nim spotkać?

— Omówił to tylko z Old Shatterhandem. Przypuszczalnie jednak spotkanie to ma się odbyć po drugiej stronie pustyni Llano Estacado.

— Hm! To mam nadzieję, że go także zobaczę. Zamierzam bowiem przejść przez pustynię. Zwerbowało mnie pewne towarzystwo, które mam przeprowadzić na drugą stronę, a potem jeszcze doprowadzić aż do El Paso. Są to Jankesi, którzy zamierzają w Arizonie zrobić dobry interes.

— Chyba nie z diamentami?

— A właśnie z tym towarem. Zdaje się, że wiozą ze sobą znaczne sumy pieniędzy, aby kamienie zakupić tanio na miejscu.

Helmers pokręcił głową i wmieszał się do rozmowy: — Czy wierzysz w te znaleziska diamentów? Ja uważam tę całą historię za wielki humbug.

Miał rację. W tym czasie rozeszła się nagle pogłoska, że w Arizonie odkryto pola diamentowe. Wymieniono nazwiska osób, które dzięki szczęśliwym odkryciom w krótkim czasie ogromnie się wzbogaciły. Pokazywano również diamenty, po części ogromnej wartości, które tam rzekomo znaleziono. Ta wieść obiegła w kilku tygodniach, ba, nawet w kilku dniach całą szerokość kontynentu. Poszukiwacze złota i drogich kamieni w Kalifornii i północnych rejonach Stanów Zjednoczonych opuszczali swoje intratne kopalnie i spieszyli do Arizony. Ale już zawładnęła wszystkim spekulacja. Potworzyły się naprędce towarzystwa, dysponujące milionami. Skupowano pola diamentowe, żeby uprawiać ich eksploatację na wielką skalę. Postanowiono nie odstępować żadnego udziału. Agenci biegali tu i tam z próbkami diamentów w rękę, które rzekomo znaleźli tak po prostu w odpowiednich miejscach. Judzili ze wszystkich sił i w krótkim czasie żądza posiadania diamentów przerosła dotychczasową gorączkę złota.

Ostrożni ludzie jednak nie kwapili się z wydawaniem pieniędzy, i wkrótce też nastąpiło nieszczęście, które przepowiedzieli. Cały ten wielki szwindel został zainscenizowany przez niewielu, lecz chytrych i szczywanych Jankesów. Zjawili się nikomu nie znani i zniknęli nagle, nie poznani przez nikogo. Wraz z nimi przepadły naturalnie także miliony. Akcjonariusze miotali na nich daremnie przekleństwa. Większość z nich wypierała się tego, że kiedykolwiek posiadała akcje. Nie chciano się bowiem jeszcze w dodatku ośmieszyć. Pola diamentowe, które tak szybko zdobyły sławę, leżały znów opustoszałe jak dawniej, a rozczarowani poszukiwacze złota powrócili do swoich kopalni, lecz po to tylko, by stwierdzić, że już się tam zadowolili inni, mądrzejsi od nich. Na tym cała sprawa się zakończyła, i nikt już o tym nie mówił.

Opisane powyżej wydarzenia przed wejściem do farmy Helmersa rozegrały się krótko po rozpoczęciu się gorączki diamentowej. Farmer należał do tych, którzy nie wierzyli pogłoskom. Juggle-Fred natomiast twierdził: — Nie chcę jeszcze powątpiewać w prawdziwość tych wieści. Jeśli znaleziono diamenty gdzie indziej, to dlaczego nie miało by ich być również w Arizonie? Mnie naturalnie nic one nie obchodzą. Mam coś innego do roboty. A co pan ma w tej sprawie do powiedzenia, mister Frank? Zdanie człowieka o pańskiej bystrości umysłu, pańskich doświadczeniach i wiedzy będzie dla nas miarodajne.

Hobble-Frank nie wyczuł lekkiej, lecz dobrotliwej drwiny i odparł zadowolony, gdyż pochlebiało to jego próżności: — Cieszy mnie pan takim zaufaniem, gdyż zwrócił się pan do właściwej osoby.

Uważam, że diamenty są piękne, lecz poza nimi istnieją jeszcze inne rzeczy, które są tak samo ładne. Kiedy człowiek jest bardzo głodny, milsza mu jest wędzona turyńska serwolotka od największego diamentu. A kiedy mam pragnienie, nie zaspokoje go żadnym brylantem. Czyż człowiekowi potrzeba czegoś więcej, niż najeść się i napić do syta? Osobiście jestem z siebie i swego losu dość zadowolony i nie trzeba mi żadnych szlachetnych kamieni. Czy miałbym nimi może przystroić swój kapelusz? Jest na nim pióro i ono wystarcza. Gdybym wiedział, że w Arizonie znajdę drogi kamień, tak duży, jak powiedzmy beczka heidelberska albo przynajmniej jak wyrosła dynia o trzech cetnarach wagi, to udałbym się tam po niego. Mniejszego kamienia nie chcę. Poniżałoby mnie to. Ale nie wiedzieć wcale, czy się w ogóle coś znajdzie, lub przy wielkim szczęściu jakieś maleństwo nie większe od ziarenka maku, nie, na to mnie nikt nie nabierze, żeby jechać na pola diamentowe.

— Dobrze powiedziane! — zawołał Helmers, ściskając rękę małemu Saksończykowi. — Towarzystwo, Fred, które masz tam zaprowadzić, nie zrobi zapewne najlepszych interesów. Byłoby w każdym razie lepiej, gdyby ci ludzie pozostali w domu ze swoimi pieniędzmi. Mogą je łatwo utracić, nie otrzymawszy ani jednego diamentu. Zdaje się, że to są w ogóle nierozsądni ludzie, skoro nie kryją się z tym, że mają przy sobie znaczne sumy pieniędzy. Tego nigdy nie należy robić, a zwłaszcza tutaj.

— Mają tu przybyć jutro po południu. Mieli jeszcze kupić dwa juczne konie, co potrwa przynajmniej pół dnia. Dlatego pojechałem naprzód, żeby ten czas spędzić z tobą.

— Dobrze zrobiłeś, stary druhu. Ile osób liczy właściwie to towarzystwo?

— Jest ich sześciu, przy czym niektórzy z nich wyglądają i zachowują się jak ludzie niedoświadczeni, co mi jednak jest obojętne. Zdaje się, że jadą z St. Louis i są przekonani, że wrócą tam z milionami.

— A czy znajdą drogę do mnie?

— Na pewno, bo ją tak dokładnie opisałem, że nie mogą zabiłdzić. Co się dzieje, Czarny?

Pytanie skierowane było do Murzyna.

Dzień tymczasem zbliżał się ku końcowi i zapadł zmierzch, który w tych okolicach trwa wyjątkowo krótko. Było już tak ciemno, że na odległość paru kroków nic nie można było zobaczyć. Bob i Bloody-Fox, pomimo zajmującej rozmowy, której się przysłuchiwali, mieli

stale na oku mormona. Burton starał się udawać, że rozmowa go nie interesuje. Inni uważali, że mormon, sprawiający wrażenie Jankesa, zna słabo język niemiecki lub go wcale nie rozumie, rozmawiali więc tak głośno, że mógł słyszeć każde słowo.

Kiedy Juggle-Fred mówił o sześciu ludziach, których miał przeprowadzić przez pustynię Llano Estacado, na twarzy Burтона pojawił się wyraz napięcia. Przy wzmiance Freda, że tych sześciu zdaje się mieć ze sobą dużo pieniędzy, nikły uśmiezek przebiegł przez wąskie wargi podsłuchującego, czego jednak z powodu zalegającego mroku nie można było zauważyć.

Burton podnosił niekiedy głowę, jakby nadśluchiwał i niecierpliwie kierował wzrok w kierunku, z którego przyszedł. Zdawał sobie sprawę, że musi się uważać niemal za jeńca, gdyż oczy Murzyna spoczywały na nim bezustannie. Z minuty na minutę wznagał się w nim strach. Myślał o groźbie Murzyna i nie ufał mu.

Teraz, kiedy się prawie całkiem ściemniło, Burtonowi zaświtała nadzieja, że będzie się mógł niepostrzeżenie wymknąć, co później byłoby trudniejsze. Dlatego sięgnął po zawiniątko, które przyniósł ze sobą i powoli przyciągnął je ku sobie. Chciał się potem nagle zerwać i szybko skręcić za węgiel domu. Zniknąwszy za krzakami, nie potrzebowałby się już obawiać pościgu.

Ale przeliczył się. Bob był taki jak większość Murzynów, mających zwyczaj zmierzać uparcie do raz wytkniętego celu. Bob zauważył ruch mormona i właśnie w chwili kiedy ten chciał wstać, podniósł się tak szybko z ławki, że omal nie przewrócił Helmersa. Stąd pytanie Juggle-Freda, co się stało. Bob odpowiedział:

— Masser Bob widzieć, że złodziej chceć odejść. Chwytać już za tłumoczek. Chcieć szybko zwiać. Masser Bob zabić go na innym terenie, dlatego iść z nim i nie spuścić go z oczu. — Bob przesunął się przy tym na drugi koniec ławki, tak że znajdował się teraz blisko mormona, mimo że ten siedział przy innym stole.

— Pozwól mu odejść — odezwał się gospodarz. — On może wcale nie jest tego wart, że go pilnujesz.

— Massa Helmers mieć rację. On nie być wart, ale pieniądze, które ukradł, być tego warte. On nie odejść bez eskorty masser Boba.

— Kim jest właściwie ten człowiek? — spytał cicho Juggle-Fred. — On mi się zaraz od pierwszego wejrzenia nie podobał. Wygląda zupełnie jak wilk w owczej skórze. Kiedy go zobaczyłem, wydało mi się, że już kiedyś tę spiczastą głębę widziałem, i to w okolicznościach dla niego niekorzystnych.

Helmers wyjaśnił mu półgłosem, dlaczego Bob tak się uwziął na podejrzanego i dodał: — Bloody-Fox zdaje się także zajmować tym człowiekiem i to bardziej, niż chce to okazać. Czyż nie mam racji?

— Istotnie! — potwierdził młodzieniec. — Ten święty ostatnich dni coś mi zrobił i to nic dobrego.

— Tak? Co takiego? Dlaczego nie żądasz od niego satysfakcji? — dociekał Helmers.

— Ponieważ nie wiem, co to było. Łamię sobie wprost głowę, żeby sobie przypomnieć, lecz na próżno. Mam wrażenie, że mi się coś śniło, a ja zapomniałem szczegóły tego snu. A nie mogę mu się przecież dobrać do skóry tylko na podstawie nieokreślonego, mglistego przeczucia.

— Nie pojmuję tego. Jeśli coś wiem, to wiem na pewno. Nigdy nie miewam mglistych przeczuć. Zresztą zrobiło się ciemno. Wejdziemy do domu?

— Nie, gdyż temu człowiekowi wejście do domu wzbronione, a ja muszę go obserwować. Dlatego tu pozostanę. Może sobie jednak jeszcze przypomnę, z jakiego powodu mam z nim na pieńku.

— To zadbam przynajmniej o wystarczające oświetlenie, żeby nie mógł czmychnąć mimo wszystko. — Helmers wszedł do domu i wrócił wkrótce, niosąc dwie lampy. Były to po prostu dwie blaszane bańki na naftę z grubymi knotami, tkwiącymi w otworach, bez szklanego cylindra i klosza. Mimo to, te dwa ciemnoczerwone i silnie kopące płomienie wystarczająco oświetlały miejsce przed drzwiami.

Właśnie kiedy Helmers zawiesił obie lampy na gałęziach drzew, dały się słyszeć kroki, zbliżające się od pól kukurydzianych. — Moje ręce wracają z pól — powiedział gospodarz.

Mówiąc „ręce” zamiast „ludzie”, Amerykanin ma na myśli każdą osobę płci męskiej lub żeńskiej, która pozostaje w jego służbie. Jednak Helmers mylił się. Kiedy zbliżający się człowiek wszedł w krąg światła, stwierdzono, że to obcy.

Był to wysoki, silnie zbudowany mężczyzna, o twarzy okolonej bujną brodą, ubrany po meksykańsku, lecz bez ostróg, co tutaj musiało zwracać uwagę. Zza pasa wychodziły mu rękojeści noża i dwóch rewolwerów, a w rękę dzierżył ciężką fuzję, ozdobioną srebrnymi pierścieniami. Kiedy ostre i kłujące spojrzenie jego ciemnych oczu ślizgało się po obecnych, robił wrażenie człowieka surowego, po którym nie należało się spodziewać żadnych subtelnych uczuć ani wzruszeń. Zatrzymując wzrok na twarzy mormona, zamrugał w swoisty sposób powiekami. Nikt poza mormonem tego nie zauważył. Był to w każdym razie znak porozumiewawczy.

— *Buenas tardes, Senores!* — pozdrowił obecnych. — Wieczór przy bengalskim oświetleniu! Właściciel tej hacjendy ma jak widać zamiłowania artystyczno-poetyckie. Pozwólcie, że przez kwadrans przy was odpocznę i dajcie mi coś do picia, jeśli tu w ogóle można coś dostać! — powiedział to mieszaniną hiszpańskiego i angielskiego, jaką ludzie często posługują się na granicy meksykańskiej.

— Siadajcie, *senor!* — zapraszał Helmers. — Co chcecie wypić? Piwo czy wódkę?

— Nie mówcie mi o piwie! Nie chcę nic wiedzieć o tej niemieckiej lurze. Dajcie mi mocnej wódki, ale nie za mało! Zrozumiano?

Jego postawa i ton wskazywały na to, że nie lubił żartów. Zachowywał się tak, jakby on tu miał prawo rozkazywać. Helmers wstał, żeby przynieść żadaną wódkę i wskazał na ławkę, gdzie zrobił miejsce obcemu. Ten jednak pokręcił głową i oświadczył: — Dziękuję *senor!* Tu siedzi już czterech. Wolę dotrzymać towarzystwa temu *caballero*, który tam tak samotnie siedzi. Jestem przyzwyczajony do szerokich przestrzeni sawanny i nie lubię, jak się jeden do drugiego klei.

Oparł strzelbę o pień drzewa i usiadł obok mormona, którego pozdrowił, dotykając lekko szerokiego ronda swego *sombrera*. Święty ostatnich dni pozdrowił go w ten sam sposób. Obaj zachowywali się tak, jakby się nie znali.

Helmers wszedł ponownie do domu. Inni powodowani naturalną uprzejmością, nie przyglądali się natrętnie nowo przybyłemu. Ten więc skorzystał z okazji, żeby szepnąć mormonowi:

— Dlaczego nie przychodzicie? Wiecie przecież, że czekamy na wiadomość. — Mówił teraz najczystszy językiem Jankesów.

— Nie puszczają mnie — odszepnął zapytany.

— Kto?

— Ten przekłety czarnuch.

— Który nie odrywa od was oczu? O co mu chodzi?

— Twierdzi, że okradłem jego pana i chce mnie zlinczować.

— Pierwszą częścią swego twierdzenia trafił być może w sedno; drugą natomiast niech sobie wybije z głowy, o ile nie chce, żebyśmy mu jego czarną skórę wysmagali biczami do krwi. Czy jest tutaj coś nowego?

— Tak. Sześciu poszukiwaczy diamentów z dużym zasobem pieniędzy chce przejść przez Llano.

— Do licha! Powitamy ich serdecznie! Zaglądnijmy im do sakiewek. Ostatnio niczegośmy nie znaleźli. Ale cicho! Helmers wraca. Wymieniony wrócił z dużą szklanką wódki. Postawił ją przed obcym i rzekł: — Proszę, senor, na zdrowie! Macie pewnie daleką jazdę za sobą?

— Jazdę? — zdziwił się obcy, wychylając od razu połowę szklanki wódki. — Czyż nie macie oczu? Albo raczej, czy macie za wiele oczu, że widzicie to, czego w ogóle nie ma? Kto jeździ konno, musi przecież mieć konia!

— Oczywiście.

— No to gdzie jest mój koń?

— W każdym razie tam, gdzieście go zostawili.

— *Valgame Dios!* Nie zostawiłbym chyba trzydzieści mil stąd konia, żeby u was napić się wódki, nie nadającej się nawet dla diabła!

— Zostawcie ją w szklance, jeśli wam nie smakuje! Poza tym nie przypominam sobie, żeby mój koń był trzydziestu milach. Tak jak was tu widzę, jesteście człowiekiem, który w każdym razie posiada konia. Gdzie ten koń stoi, nie jest moją sprawą.

— Ja też tak myślę. Nie macie się w ogóle o mnie troszczyć. Zrozumiano?

— Chcecie mi odmówić prawa zajmowania się tymi, którzy zatrzymują się na mojej samotnej farmie?

— Może się mnie boicie?

— Ba! Chciałbym zobaczyć człowieka, którego się Helmers boi!

— Cieszę się, gdyż chciałbym was teraz zapytać, czy znajdzie się dla mnie nocleg w waszym domu.

Przy tych słowach obrzucił Helmersa badawczym spojrzeniem. Gospodarz odpowiedział: — Dla was nie ma u mnie miejsca.

— *Caraja!* Dlaczego nie?

— Ponieważ sami powiedzieliście, że nie mam się o was troszczyć.

— Ale nie mogę przecież teraz w nocy pędzić do waszego najbliższego sąsiada. Zaszedłbym tam pewnie dopiero jutro w południe!

— To śpijcie pod gołym niebem! Wieczór jest łagodny, ziemia miękka, a niebo najwytworniejszą kołdrą, jaka tylko być może.

— Więc mnie odprawiacie?

— Tak, senor. Kto chce być moim gościem, winien się odznaczać większą uprzejmością od tej, którą mi okazaliście.

— Żeby móc się przespać w jakimś kącie, mam wam może zaśpiewać przy akompaniamencie gitary lub mandoliny? Jednak, jak sobie chcecie! Nie potrzebuję waszej gościnności i znajdę wszędzie miejsce, gdzie przed zaśnięciem będę mógł rozmyślać o tym, jak z wami pogadam, jeśli się kiedyś gdzieś spotkamy.

— Tylko nie zapomnijcie przy okazji pomyśleć i o tym, co bym wam odpowiedział!

— Czy to ma być groźba, senor? — obcy wstał przy tych słowach i wyprostował swoją wysoką, szeroką postać władczo przed gospodarzem.

— O nie! — uśmiechnął się Helmers bez trwogi. — Dopóki się mnie nie sprowokuje, jestem bardzo spokojnym człowiekiem.

— Radzę wam być takim. Mieszkacie tu prawie na skraju pustyni śmierci. Wskazane jest więc, żebyście z obcymi żyli w zgodzie i pokoju. W przeciwnym razie mógłby was kiedyś odwiedzić niespodzianie upiór Llano Estacado.

— Znacie go może?

— Jeszcze go nie widziałem. Wiadomo jednak, że najchętniej ukazuje się zarozumiałcom, żeby ich wyprawić na tamten świat.

— Nie chcę wam zaprzeczać. Być może, że ci wszyscy, których znaleziono w Llano zabitych przez upiora kulą w czoło, byli nadętymi kreaturami. Dziwne jednak, że wszyscy bez wyjątku byli rabusiami i mordercami.

— Tak sądzicie? — zapytał obcy szyderczo. — Czy możecie to udowodnić?

— Mniej więcej. Zawsze znajdowano przy zabitych przedmioty, będące przedtem własnością ludzi, którzy zostali na pustyni zamordowani i ograbieni. To chyba wystarczający dowód.

— Jeżeli tak jest, to was po przyjacielsku ostrzegam: Niech wam się broń Boże nie zdarzy zabić na tej odległej farmie jakiegoś człowieka. W przeciwnym razie można by was kiedyś znaleźć również z dziurą w czole.

— Senor! — wybuchnął Helmers gniewnie. — Powiedzcie jeszcze coś podobnego, a zabiję was! Jestem uczciwym człowiekiem. Podejrzany jednak wydaje mi się ten, który ukrywa swego konia, żeby nie uchodzić za najemnego zbójcę, lecz udawać biednego, nieszkodliwego podróżnika.

— Czy to się może do mnie odnosi? — zasyczał obcy.

— Jeśli się do tego przyznajecie, to nie zaprzeczam. Jesteście dzisiaj już drugim, który mi nałgał, że nie posiada konia. Pierwszym był ten „święty ostatnich dni”. Może wasze konie stoją gdzieś obok siebie. Może są z nimi także jeszcze inne konie i inni jeźdźcy, i czekają na wasz powrót. Zapowiadam wam, że tej nocy będę strzegł swojego domu i skoro świt, oczyszczę okolice. Wówczas się prawdopodobnie okaże, że wszyscy jesteście konno!

Obcy zacisnął pięści, podniósł prawą rękę do uderzenia, postąpił krok w kierunku Helmersa i krzyknął: — Człowieku, chcesz może dać do zrozumienia, że jestem zbójcą? Powiedz to wyraźnie, jeśli masz odwagę! Wówczas uderzę...

Przerwano mu.

Bloody-Fox uważnie przyglądał się fuzji tego człowieka. Kiedy ten wstał i odwrócił się plecami do drzewa, o które była oparta strzelba, młodzieniec podszedł do pnia, aby przyjrzeć się broni dokładnie. Oczy mu rozblęsnęły, a na jego twarzy pojawił się wyraz żelaznej, bezlitosnej stanowczości. Obrócił się do obcego i położył mu rękę na ramieniu.

— Czego chcesz, chłopcze? — zapytał obcy opryskliwie.

— Chcę wam odpowiedzieć w zastępstwie Helmersa — odparł spokojnie Bloody-Fox. — Tak, jesteście zbójcą, rabusiem, mordercą! Mieście się na baczności przed upiorem pustyni, którego nazywamy duchem zemsty, ma on bowiem zwyczaj pomścić każdego zamordowanego kulą w czoło mordercy!

Olbrzym cofnął się kilka kroków, zmierzył młodzieńca lekceważącym spojrzeniem i zaśmiał się szyderczo: — Chłopcze, szczeniaku, czyś ty oszalał? Rozgniotę cię jednym uderzeniem na miazgę!

— Tego nie zrobicie! Bloody-Fox nie da się tak łatwo zmiażdżyć. Sądziliście, że wolno wam być bezczelnym w stosunku do mężów. Teraz występuje młodzieniec, żeby wam udowodnić, że się was nikt nie boi. Morderców z Llano upiór pustyni karze śmiercią. Wy jesteście mordercą, a ja zastąpię upiora. Pomódlcie się! Wkrótce staniecie przed sędzią wiekiustym!

Te słowa młodego człowieka, który zaledwie wyrósł z wieku chłopięcego, zrobiły na obecnych ogromne wrażenie. Wydał im się zupełnie odmieniony. Kiedy tak stał dumnie wyprostowany z podniesioną groźnie prawicą, z iskrzącymi się oczami i z niewzruszonym postanowieniem w wyrazie twarzy, zdawał się zwiastunem sprawiedliwości, wykonawcą wyroku sądu karnego.

Obcy pobladł, pomimo że przewyższał młodego człowieka o głowę. Szybko się jednak opanował, wybuchnął głośnym śmiechem i zawołał: — Dalibóg, ten człowiek zwariował! Pchła chce połknąć lwa! Tego jeszcze nikt nie słyszał! Człowieku, udowodnij wpiery że jestem mordercą!

— Nie kpjcie! Co powiedziałem, to się stanie, tego możecie być pewni! Do kogo należy fuzja, oparta o pień drzewa?

— Naturalnie do mnie.

— Od kiedy jest waszą własnością?

— Od przeszło dwudziestu lat. — Postawa chłopca zrobiła na obcym, mocnym człowieku takie wrażenie, że mimo poprzedniego śmiechu i lekceważących słów, jakie skierował do młodziana, nie przyszło mu na myśl uchylić się od odpowiedzi.

— Czy możecie to udowodnić? — pytał dalej Bloody-Fox.

— Jak mam to udowodnić? Czy ty może potrafisz udowodnić mi, że kłamie?

— Tak. Ta strzelba należała do senora Rodrigueza Pinto, mieszkającego na farmie „estanzia del meriso”, po drugiej stronie, opodal Cedar Grove. Przed dwoma laty przejeżdżał wraz z żoną, córką i trzema pastuchami na tę stronę do miejscowości Caddo nad rzeką Washita w odwiedziny. Pożegnał się z gospodarzami, których odwiedził, lecz do domu nigdy już nie wrócił. Wkrótce potem znaleziono sześć trupów na pustyni Llano Estacado, a ślady w gruncie wskazywały na to, że paliki drogowskazów zostały przestawione. Tę broń miał wówczas przy sobie. Gdybyście powiedzieli, że kupiliście ją od kogoś po tym zdarzeniu, to należałoby sprawę zbadać. Ponieważ jednak twierdzicie, że macie tę fuzję już dwadzieścia lat, znaczy to, że nie nabyliście jej od winowajcy, lecz sami jesteście mordercą i jako taki podlegacie prawu pustyni Llano Estacado.

— Ty psie! — zazgrzytał obcy zębami. — Mam cię zgnieść? Ta fuzja jest moją własnością. Udowodnij, że należała do tamtego farmera!

— Zaraz to zrobię! — młodzieniec wziął strzelbę spod drzewa, nacisnął małą srebrną płytkę, wstawioną w dolną część kolby. Płytką odskoczyła, a pod nią ukazała się druga z nazwiskiem właściciela.

— Spójrzcie! — zwrócił się Bloody-Fox do obecnych, pokazując im strzelbę. — Tutaj jest dowód nie do obalenia, że ta broń była własnością farmera. Był moim przyjacielem i ja znam tę fuzję dokładnie. Uważam, że ten człowiek jest jego mordercą i to wystarczy. Minuty jego życia są policzone.

— Twojego również! — wrzasnął obcy, rzucając się w kierunku oskarżyciela, żeby mu wyrwać broń.

Bloody-Fox cofnął się jednak szybko kilka kroków, wycelował broń w napastnika i rozkazał: — Stać, w przeciwnym razie trafi was kula! Wiem, jak należy obchodzić się z takimi jak wy. Hobble-Frank, Juggle-Fred, weźcie go na muszkę i jeśli się ruszy, natychmiast go zastrzelcie!

Obaj wezwani w mig wycelowali broń w Meksykanina. Działo tu prawo prerii, które zna tylko jeden jedyny paragraf. Dzielnemu westmanowi nie wolno się wahać. Obcy zrozumiał, że sytuacja stała się poważna. Chodziło o jego życie, dlatego stał bez ruchu.

Bloody-Fox opuścił broń, gdyż tamci dwaj trzymali swoją wycelowaną w hultaja, i oznajmił:

— Ogłosiłem wam wyrok, który zaraz zostanie wykonany.

— Jakim prawem? — spytał Meksykanin drżącym ze złości głosem.

— Jestem niewinny i nie pozwolę się zlinczować!

— Nie chcę was zabić jak kat skazanego. Staniecie ze mną oko w oko, każdy ze swoją bronią w ręku. Wasza kula może równie dobrze trafić mnie, jak moja was. Nie ma to być mord, lecz uczciwa wymiana kul. Stawiamy życie za życie, jakkolwiek mógłbym was zaraz zastrzelić, ponieważ jesteście mordercą.

Miody człowiek stał przed obcym wyprostowany, w postawie pewnej siebie. Jego głos był poważny, stanowczy, a jednak opanowany. Hultaj jednak roześmiał się głośno i szydlerczo i odparł: — Od kiedyż to tu na granicy niedojrzali chłopcy zabierają głos w poważnych sprawach? Gdyby nie ci mężowie, którzy kierują na mnie lufy swoich strzelb, dawno bym cię udusił, tak jak ukręca się główkę wścibskiemu wróblowi. Jeżeli jesteś naprawdę tak szalony, że chcesz się ze mną zmierzyć, to nie mam nic przeciwko temu. Moja kula pokaże ci drogę do piekła! Ale trzymam cię i innych za słowo, dane twoim wielkim pyskiem. Żądam uczciwej walki, a potem wolności dla zwycięzcy!

— Oho! — zawołał Helmers. — Nie było takiego układu. Nawet gdyby wam się poszczęściło w strzelaniu, to są tu zapewne jeszcze inni dżentelmeni, którzy mają ochotę z wami porozmawiać. Przed nimi będziecie się musieli wytłumaczyć.

— Nie, tak nie! — wtrącił się Bloody-Fox. — Ten człowiek należy do mnie. Nie macie do niego prawa. Ja go wyzwalem i dałem słowo, że walka będzie uczciwa. Tej obietnicy musicie dotrzymać, jeśli zginę.

— Ależ chłopcze, zastanów się przecież...

— Tu nie ma się co zastanawiać. Ten drań należy pewnie do sępów pustyni i należałoby go właściwie bez długiego gadania ubić kijami. Ale takie postępowanie jest mi obce. Chcę walki, a wy mi teraz przyrzekniecie, że ten człowiek będzie mógł odejść bez przeszkód, o ile mnie zastrzeli!

— Jeśli tak sobie życzysz, musimy się poddać twojej woli. Ale twoja nieuzasadniona wspaniałomyślność spowoduje, że ten hultaj będzie mógł nadal uprawiać swój nieczny proceder.

— Jeśli o to chodzi, to jestem spokojny. Zobaczymy, czy moja kula tkwi w lufie tylko po to, by zrobić dziurę w powietrzu. Powiedz więc, człowieku, na jaką odległość mamy się strzelać!

— Pięćdziesiąt kroków — podał zapytany.

— Pięćdziesiąt! — zaśmiał się Bloody-Fox. — To nie jest zbyt blisko. Zdaje się, że bardzo kochacie waszą skórę. Ale to wam nic nie pomoże. Chcę was uprzejmie poinformować, że będę celował tak samo jak upiór pustyni, mianowicie w czoło. Uważaj więc na nie!

— Ciągłe blagujesz, chłopcze! — zgrzytnął przeciwnik zębami. — Otrzymałem obietnicę, że odejdę bez przeszkód. Nie przeciągajmy więc sprawy! Daj mi fuzję!

— Dostaniecie ją, kiedy przygotowania do pojedynku zostaną zakończone, nie prędzej, gdyż wam nie można ufać. Gospodarz niech odmierzy pięćdziesiąt kroków. Kiedy zajmiemy stanowiska, Bob stanie z jedną lampą przy was, Hobble-Frank z drugą przy mnie, żebyśmy się mogli wzajemnie dokładnie widzieć i mieli pewny cel. Potem Juggle-Fred poda wam waszą broń, a Helmers wręczy mi moją. Helmers da znak i od tej chwili możemy strzelać dowolnie, każdy po dwie kule, gdyż nasze strzelby są dwulufowe. Kto opuści

swoje miejsce przed wymianą strażaków, zostanie zastrzelony przez tego, który trzyma lampę. W tym celu Bob i Frank będą mieli swoją broń w pogotowiu.

— Pięknie. Tak być bardzo pięknie! — zawołał Bob. — Masser Bob natychmiast posłać kulę łobuzowi, jeśli on chce uciekać! — wyciągnął pistolet zza pasa i szczerząc zęby w uśmiechu pokazał go obcemu.

Pozostali wyrazili zgodę na warunki, podane przez Bloody-Foxa i zaraz rozpoczęły się przygotowania do pojedynku. Wszyscy byli tak zajęci, że nikomu nie przyszło na myśl, żeby uważać na pobożnego Tobiasza Preisegotta Burtona. Mormonowi zdawała się podobać scena z nowo przybyłym. Przesunął się z wolna ze swojego miejsca do końca ławki i wyciągnął nogi spod stołu, żeby w odpowiedniej chwili móc się natychmiast ulotnić.

Dwaj przeciwnicy zajęli miejsca w odległości pięćdziesięciu kroków od siebie. Obok obcego stał Murzyn, trzymając w lewej ręce lampę, a w prawej gotowy do strzału pistolet. Przy Bloody-Foxie stał Hobble-Frank z lampą w jednej i rewolwerem w drugiej ręce tylko dla pozorów, gdyż był przekonany, że nie będzie go musiał użyć przeciwko temu uczciwemu młodzieńcowi.

Helmers i Juggle-Fred trzymali również swoje naładowane fuzje w pogotowiu. Nawet dla tych przywykłych do walki ludzi była to chwila największego napięcia. Dwa trzepoczące na wietrze płomienie oświetlały swoim brudnoczerwonym, migoczącym blaskiem obydwie grupy. Przeciwnicy trwali w bezruchu, a mimo to przy tym pulsującym świetle zdawało się, że się bezustannie poruszają. W tych warunkach bardzo trudno było celować, zwłaszcza że oświetlenie nie wystarczało, żeby dostrzec muszkę w szczybinie.

Bloody-Fox czuł się swobodnie i był całkowicie spokojny. Jego przeciwnik znajdował się w innym nastroju. Juggle-Fred, który miał mu podać broń i dlatego stał blisko niego, widział nienawistny błysk jego oczu oraz niecierpliwe drżenie jego rąk.

— Czy jesteście gotowi? — zapytał Helmers.

— Tak — potwierdzili obaj, przy czym obcy już wyciągał rękę po swoją fuzję. Miał zamiar wyprzedzić Bloody-Foxa w oddaniu strzału, choćby tylko o pół sekundy.

— Czy każdy z was na wypadek swojej śmierci ma jeszcze coś do rozporządzenia? — dowiadywał się Helmers,

— Niech лихо weźmie twoją ciekawość! — zawołał obcy w zdenerwowaniu.

— Nie — odrzekł spokojnie młodzieniec. — Widzę po tym człowieku, że nie jest w stanie celować. Cały się trzęsie. Gdyby mnie jednak trafił przez nieuwagę, znajdziesz w kieszeni mojego siodła wszystko, o czym należy wiedzieć. A teraz postaraj się, żebyśmy sprawę doprowadzili do końca!

— No to wręcz strzelby! Strzelajcie!

Helmers podał fuzję Bloody-Foxowi. Młody człowiek przyjął broń obojętnie, ważąc ją przez chwilę w rękę, jakby chciał określić jej ciężar. Nie zachowywał się bynajmniej tak, jakby jego życie zależało od krótkiej chwili.

Jego przeciwnik wydarł Juggle-Fredowi swoją fuzję nieomal z rąk. Ustawił się lewym bokiem, żeby na cel przeciwnika wystawić jak najmniejszą powierzchnię ciała i wypalił. Huknął strzał.

— Halo! Chybione! — ryczał Murzyn. — Massa Bloody-Fox nie być trafiony. Co za radość! Co za szczęście! — Murzyn skakał, tańczył wokół własnej osi i z radości zachowywał się jak opętany.

— Uspokój się, człowieku! — zgromił go Helmers. — Któż tu może celować, jeśli tak wywijasz lampą!

Bob zorientował się momentalnie, że jego zachowanie może przynieść szkodę właśnie temu, któremu życzy zwycięstwa. Stał nagle prosto jak świeca i zawołał: — Masser Bob teraz stać spokojnie. Masser Bob ani drgnąć! Massa Bloody-Fox szybko strzelać!

Ale obcy nie odjął fuzji od policzka. Wystrzelił po raz drugi... i ten strzał chybił, mimo że Bloody-Fox ciągle jeszcze stał jak przedtem, trzymając fuzję w pół, zwrócony do przeciwnika całą szerokością ciała.

— Do diabła! — zaklął zbój.

Struchlał z konsternacji. Potem krzyknął dosadne słowo, nie nadające się do powtórzenia i skoczył w bok, aby ratować się ucieczką.

— Stop! — zawołał Murzyn. — Ja strzelać! — I wypalił. Jego strzał nie był jednak jedynym.

Krótką chwilą, podczas której obcy stał zdrętwiały ze strachu, wystarczyła Bloody-Foxowi, żeby podnieść strzelbę do policzka.

Wystrzelił tak szybko, jakby nie potrzebował wcale celować. Obrócił się potem na pięcie, sięgnął do woreczka z kulami, żeby zgodnie ze swoim zwyczajem wprowadzić zaraz nowy nabój do lufy i oświadczył spokojnie: — Dostał! Idźcie tam Frank! Zobaczycie dziurę od kuli pośrodku jego czoła!

Frank i Helmers pospieszyli na miejsce, gdzie obcy upadł. Bloody-Fox ruszył za nimi powoli po naładowaniu broni.

Tam słychać było tryumfujący głos Murzyna: — O, jaka odwaga, jaka dzielność, jakie męstwo! Masser Bob całkiem zastrzelić tego szelmę! Tu leżeć ten człowiek i się nie ruszać. Czy massa Helmers i massa Frank widzieć, że masser Bob go trafić w czoło? To być dziura od kuli, która wejść z przodu i wyjść z tyłu! O! Masser Bob być dzielny westman! On pokonać lekko tysiąc wrogów.

— Tak, jesteś wspaniałym strzelcem! — przytaknął Helmers, który uklęknął przy zabitym i oglądał go. — W które miejsce właściwie celowałeś?

— Masser Bob celować dokładnie w czoło i tam też trafić hultaja. O, masser Bob być olbrzym, bohater; masser Bob być niepokonany, masser Boba nie można zabić, oto wszystko!

— Milcz, Czarny! Nie jesteś ani bohaterem, ani żadną wielkością, ani niepokonanym. Strzelałeś do uciekającego, a do tego nie potrzeba bohaterstwa. Zresztą ani ci na myśl nie przyszło wycelować twoją starą haubicą w czoło tego człowieka. Tu, przypatrz się jego spodniom! Co widzisz?

Bob poświecił sobie i obejrzał miejsce, które wskazywał Helmers. — To być dziura, rozdarcie — odpowiedział.

— Tak, dziura, którą zrobiła twoja kula. Przestrzeliłeś nogawkę, a opowiadasz, że celowałeś w czoło. Wstydź się! A przy tym odległość nie wynosiła nawet sześciu kroków!

— O, och! Masser Bob nie musieć się wstydzić! Masser Bob trafić w czoło. Ale massa Bloody-Fox także strzelać i trafić tylko w spodnie. Masser Bob strzelić wspaniale, o wiele lepiej niż massa Bloody-Fox.

— Tak, znamy to... Ale co za strzał, Bloody-Fox! W tym ci nikt łatwo nie dorówna. Nie widziałem, żebyś celował.

— Znam swoją fuzję — odrzekł skromnie młodzieniec — i wiedziałem, że się tak stanie, ten człowiek był bowiem zanadto zdenerwowany. Cały dygotał. A wtedy musi się to tak skończyć, zwłaszcza gdy życie zależne jest od dwóch strzałów.

Obcy nie żył. W samym środku jego czoła widniała okrągła dziura o ostrych brzegach. Wylot kuli znaleziono z tyłu czaszki.

— Tak samo, jak rzekomo strzelał upiór z Llano Estacado — dziwił się Juggle-Fred. — Słowo daję, to jest mistrzowski strzał. Ten łobuz otrzymał należną zapłatę. Co zrobimy z jego zwłokami?

— Niech je moi ludzie zakopią — zdecydował Helmers. — Nie jest przyjemnie patrzeć na trupa. Nawet najgorszy szubrawiec jest przecież, bądź co bądź, człowiekiem. Ale sprawiedliwości musi się stać zadość i gdzie prawo nie sięga, istnieje konieczność wzięcia sprawy we własne ręce. Tu poza tym nie może być mowy o linczu, gdyż Bloody-Fox dał temu łotrowi szansę. Niech Bóg się zlituje nad jego duszą. A teraz chcemy... co się stało?

Bob wydał głośny okrzyk. Był on jedyną osobą, której wzrok nie był teraz skierowany na nieżyjącego. — Hejho! — wykrzyknął Murzyn w odpowiedzi. — Massa Helmers tam spojrzeć!

Bob wskazał wyciągniętą ręką w kierunku stołów i ławek. Było tam teraz ciemno, gdyż obaj trzymający lampy znajdowali się przy grupie oglądającej zwłoki.

— Dlaczego? Co tam jest?

— Nic, zupełnie nic tam nie być. Jeśli massa Helmers i wszyscy inni tam spojrzeć, to nic nie zobaczą, bo Weller uciekł.

— Przebóg! Mormon się ulotnił! — zawołał Helmers, zrywając się. — Szybko za nim. Może go jeszcze złapiemy!

Ludzie natychmiast się rozbiegli. Każdy udał się tam, gdzie przypuszczał, że znajdzie uciekiniera. Tylko jedna osoba pozostała na miejscu... Bloody-Fox. Stał bez ruchu i wycęzał słuch w ciemność wieczoru. Czekał tak, aż wszyscy powrócili i zameldowali, jak można było przewidzieć, że nie znaleziono śladu poszukiwanej osoby.

— Tak myślałem! — przytaknął. — Byliście głupi. Może ten rzekomy mormon jest o wiele niebezpieczniejszym draniem od tego martwego. Postaram się, żeby go znowu zobaczyć, i to wkrótce. Dobranoc, panowie! — podniósł fuzję, która wypadła martwemu z ręki i poszedł do swojego konia.

— Chcesz odjechać? — zapytał Helmers.

— Tak. Chciałem to przecież już dawno zrobić i straciłem tu, zajmując się tym obcym, dużo drogiego czasu. Fuzję zabieram z sobą, żeby ją oddać spadkobiercom prawowitego właściciela.

— Kiedy cię znów zobaczę?

— Kiedy zajdzie potrzeba. Nie wcześniej i nie później. — Młodzian wsiadł na konia i odjechał kłusem, z nikim się nie żegnając.

— Dziwny młodzieniec — stwierdził Juggle-Fred, potrząsając głową.

— Zostawmy go! — bronił go Helmers. — Wie zawsze co robi. Jest młody, ale może się zmierzyć z niejednym starszym od siebie mężczyzną i jestem przekonany, że wcześniej czy później złapie tego Tobiasza Preisegotta Burtona, a może także i innych złoczyńców!

### 3. SĘPY PUSTYNI

Mniej więcej dwie godziny przed spotkaniem Hobble-Franka i Boba z Bloody-Foxem od Coleman City zbliżało się do rejonu pustyni dwóch jeźdźców. Prawdopodobnie ominęli jednak tę miejscowość, gdyż wygląd ich świadczył, że przez dłuższy czas pozostawali z dala od miejsc zamieszkałych.

Jeden z nich był wysoki i chudy i jechał na starym, niskim i z pozoru słabym mule. Jeździec ten miał na sobie skórzane spodnie, które w każdym razie musiały być skrojone na o wiele krótszą, ale za to grubszą postać. Nie nosił skarpetek, a jego gołe nogi tkwiły w skórzanych butach, tak często naprawianych i łatanych, że obecnie składały się z samych łat i pozszywanych kawałków. Odziany był w koszulę z bawolej skóry. Pierś miał odsłoniętą, gdyż przy koszuli nie było ani guzików, ani haftek, ani też pętelek. Rękawy koszuli sięgały ledwie poza łokcie. Wokół długiej szyi przewiązana była bawełniana chusta, której pierwotnego koloru nie dało się już ustalić. Spiczastą głowę jeźdźca okrywało coś, co kiedyś, przed wielu laty, mogło być popielatym cylindrem, dziś jednak składało się tylko z niemilosiernie powyginanej i zgniecionej główki kapelusza oraz kawałka pozostałego ronda, którego longinus używał do osłaniania oczu i zdejmowania dziwnego nakrycia głowy. Za pas służył mu gruby sznur, w którym osadzone były dwa rewolwery i krótki nóż myśliwski. Poza tym do sznura przymocowane były rozmaite woreczki z niezbędnymi drobiazgami. Na plecy jeździec miał zarzucony płaszcz gumowy. Ale jaki! Ten wspaniały okaz już przy pierwszym deszczu tak się skurczył, że można go było teraz nosić tylko jako kurtkę huzara. Na ukos na długich nogach szczęśliwego posiadacza tego wspaniałego płaszcza leżała dubeltówka, z której wprawny myśliwy rzadko kiedy chybia celu.

Drugi jeździec siedział na niebywale wysokiej i silnej szkapie. Był on gruby i pulchny, lecz tak mały, że jego odpowiednio krótkie nogi mogły objąć boki konia zaledwie do połowy. Mimo ciepłej pory roku nosił futro, które jednak w znacznej części było wyleniałe. Gdyby się zebrało całą jego sierść, to starczyłoby jej zaledwie na pokrycie nią skórki myszy. Głowę grubego okrywał duży kapelusz panama, a spod futra wystawały olbrzymie buty z wyłogami. Z uwagi na to, że rękawy futra były za długie, z całej osoby widziało się właściwie tylko dobrze odżywione, czerwone i dobroduszne, chytne oblicze. On także trzymał przed sobą długą strzelbę. Resztę jego uzbrojenia zakrywało futro.

Ci dwaj mężczyźni to David Kroners i Jakub Pfefferkorn, znani powszechnie tylko jako Długi Davy i Gruby Jemmy. Byli nierozłączni i od długich lat żyli wspólnie na Dzikim Zachodzie. Jemmy był Niemcem, a Davy Jankesem, jednak z biegiem czasu Davy nauczył się od Jemmy'ego na tyle niemieckiego, że i on umiał się posługiwać tym językiem.

Okolica, w której się znajdowali, była kamienista i nieurodzajna. Glebę pokrywała tylko sękata kosodrzewina, przeplatana tu i ówdzie jukami i kaktusami. Wody zdawało się nie być w pobliżu. Od czasu do czasu mały grubas podnosił się w strzemionach, aby objąć wzrokiem dalsze połacie równiny i z rozczarowaną miną opuszczał się na siodło.

— Diabelnie smutna okolica! — zamruczał pod nosem. — Kto wie, czy jeszcze dziś znajdziemy łyk świeżej wody.

— Hm! — mruknął drugi. — Zbliżamy się po prostu do obszaru pustyni Llano Estacado. Więc trzeba się pogodzić z takimi warunkami. A może sądzisz Gruby, że na pustyni znajdują się źródła ajerkoniaku lub maślaniki?

— Zamilcz, Długi, bo aż ślinka mi idzie do ust. Obawiam się, że będziemy zmuszeni zadowolić się sokiem kaktusa.

— Tak źle nie będzie. Nie jesteśmy jeszcze na pustyni. Farma Helmersa, do której dotrzemy dopiero jutro, leży nad wodą. A więc nie minęliśmy jeszcze urodzajnej krainy. Mam nadzieję, że stara kopalnia srebra, która jest dzisiaj naszym celem, znajduje się pośrodku albo przynajmniej w pobliżu jakiejś kępy drzew. Spotyka się je bowiem czasem nawet na pustynnych obszarach. A ty wiesz, że moje przypuszczenia rzadko się nie sprawdzają, ponieważ krążą zwykle wokół rzeczywistości.

— Może byś lepiej o tym milczał. Twoje nadzieje dotychczas nie doprowadziły nas do niczego. Myśleliśmy tylko o tym, żeby się jak najprędzej posuwać naprzód i dlatego nie rozglądaliśmy się za żadną pieczęcią. Nie pragnę już indyka, ale chciałbym przynajmniej napotkać niezbyt starą kurę stepową. Może by zezwoliła na to, żebym jej swoją strzelbą powiedział „dzień dobry”.

— Myślisz o nie lada smakołykach, Jemmy! Ja byłbym zadowolony, gdyby zechciał się pokazać jakiś uczynny mułowaty zając stepowy. Wówczas byśmy... jest jak na zawołanie!

Jednym szarpnięciem okiełznał swego muła. Zwierzę stało nieruchomo. Tuż przed obydwojma jeźdźcami wyskoczył nagle zza pojedynczych kepek traw mułowaty zając. Davy szybko przyłożył broń do policzka i wystrzelił. Zając przekoziółkował i znieruchomiał. Kula przeszła mu przez łebek... był to mistrzowski strzał przy tak szybkim złożeniu się do niego.

Teksaski zając, tak duży jak jego niemiecki krewniak, nie należy bynajmniej do rzadkiej dziczyzny i mięso jego jest smaczne. Ma bardzo długie słuchy, podobne do uszu muła i dlatego zwie się zajęcem mułowatym.

Davy podjechał do miejsca gdzie leżał zając, podniósł go i w drodze powrotnej oświadczył:

— Pieczeń już jest i myślę, że się pewnie także jakaś woda znajdzie. Jak widzisz, moje przeczucia nie są tak zupełnie bezpodstawne...

Ale słuchaj! Czy to nie był strzał?

— Tak, to był strzał. Mój koń też go usłyszał.

Szkapa wciągnęła nozdrzami powietrze i machała żywo swoimi długimi uszami. Obaj traperzy podnieśli się w strzemionach i patrzyli w kierunku, skąd doszedł ich odgłos wystrzału. Słyszało się go o wiele dalej, niż sięgał ich wzrok, gdyż znajdowali się w nieckowatej zapadlinie. Davy jednak wskazał w niebo, na którym wielki drapieżny ptak zataczał ociężałe kręgi.

— To sęp pożerający drób — stwierdził. — Co ty na to, Jemmy?

— Nie. To jest sęp królewski. Można go poznać po kolorowym upierzeniu. Siedział przy padlinie, jest bowiem tak nażarty, że z trudem unosi się w powietrzu. Spłoszony został hukiem wystrzału i musimy zobaczyć, co za ludzie tam byli. Trzeba, zwłaszcza tutaj wiedzieć, kogo się ma przed sobą. W pobliżu pustyni Llano Estacado nie jest rzekomo zbyt bezpiecznie. Kto na to nie zważa, może łatwo paść ofiarą sępów, czego w żadnym wypadku nie można zaliczyć do największych przyjemności. A więc naprzód, stary Davy!

Spięli konie ostrogami. Wiadomo jednak, że muły są stworzeniami upartymi. Takiej kreatury zazwyczaj Właśnie wtedy, kiedy wskazany jest największy pośpiech, nie można ruszyć z miejsca. A następnie, jakby dla zrehabilitowania się za swój upór, ma takie zwierzę nawyk wpadania momentalnie w szalony galop i to przeważnie wówczas, gdy jeździec odczuwa pilną potrzebę zatrzymania się. Muł Davy'ego nie był wyjątkiem. Ledwie Davy dotknął go ostrogami, a już zaparł się czterema nogami i stał nieruchomo jak kobylica. Davy nacisnął mocniej ostrogi, lecz rezultat był taki, że muł spuścił łeb między dwie przednie nogi, a podniósł zad, aby zrzucić jeźdźca przez głowę. Davy jednak znał swojego długoletniego przyjaciela tak dokładnie, że nie dał się wysadzić z siodła.

— Co cię napadło, stary Jokerze? — zaśmiał się. — Zaraz cię odczę grymasów. — Mówiąc to sięgnął za siebie, złapał ogon zwierzęcia i mocnym szarpnięciem pociągnął go do przodu. Muł natychmiast podskoczył na wszystkich czterech nogach i pognął naprzód tak, że Jemmy omal nie wypadł z siodła. To bolesne szarpnięcie ogona było tajemnym środkiem, przy pomocy którego można było natychmiast złamać opór tego poza tym dość miłego stworzenia.

Kiedy dwaj jeźdźcy minęli zapadlinę, ujrzeni ku swojemu zdziwieniu w odległości mniej więcej sześciu mil wzniesienie, dziwnie poprzerzynane rozpadlinami, czego się tu w pobliżu pustyni nie spodziewali. Równocześnie zobaczyli grupę jeźdźców, zatrzymujących się przy czymś leżącym na ziemi i to tak blisko, że nie trzeba było nawet dwóch minut, by dotrzeć do tych ludzi. Davy i Jemmy natychmiast zatrzymali swoje zwierzęta. Należało się wprawdzie upewnić, czy tych sześciu jeźdźców nie żywi jakichś wrogich zamiarów. Traperzy zostali przez obcych zauważeni. Krąg, jaki tworzyło tych sześciu rozwarł się, jednak żadnych nieprzyjaznych ruchów z ich strony nie dało się zauważyć.

— Co sądzisz? — zapytał Jemmy. — Podjedziemy tam?

— Myślę, że tak. Widzieli nas przecież, a jeśli to opryszki, to w każdym razie dojdzie do walki. Musimy być ostrożni, żeby im się nie udało nas otoczyć! Trzymajmy broń gotową do strzału.

— Rozbójnikami chyba nie są. Robią raczej wrażenie ludzi, którzy dla przyjemności wybrali się na wycieczkę. Ich ubiory na pewno jeszcze przed tygodniem wisiły w sklepie odzieżowym. Broni mają sporo przy sobie. Zanim to jednak błyszczą, nie mogła więc być jeszcze używana. A ich konie są tak żwawe i wypasione, że mógłbym przysiąc, iż mamy przed sobą nieszkodliwych turystów. Wolę w każdym razie spotkać się z takimi żółtodziobami, niż z ludźmi, którzy swoich kieszeni używają tylko do tego, aby napchać je cudzą własnością. Podjedźmy więc do nich!

Nie pozostało im zresztą nic innego do wyboru, gdyż tych sześciu ruszyło im naprzeciw.

— Podjedźcie bliżej! — wołano do traperów. — Zobaczycie coś.

— Co takiego? — zapytał Gruby.

— Chodźcie tylko! Pospieszcie się!

Traperzy dotarli do grupy sześciu. Ich twarze dotychczas poważne i zafrasowane, nagle przybrały zupełnie odmienny wyraz. Sześć par szeroko rozwartych ze zdziwienia oczu zwróciło się w kierunku obydwojch myśliwych. Potem kąciki ich ust zaczęły lekko drgać i wreszcie cała szóstka wybuchnęła gromkim śmiechem.

— Na Boga! — wykrzyknął jeden z nich. — Kogoż to mamy przed sobą? Dwóch dziwaczných świętych!

— Rzeczywiście dziwne istoty! Popatrzcie na tych ludzi! — śmiały się i wrzeszczeli jeden przez drugiego.

— Proszę panowie, pozwólcie, abyśmy przyjrżeli się wam dokładnie! — zwrócił się jeden z, szóstki do traperów. — Czegoś takiego nie widzieliśmy jeszcze nigdy w życiu.

Dwaj myśliwi dotychczas ani drgnęli. Kiedy jednak jeden z turystów zbliżył się do Długiego Davy'ego, ten cofnął swojego muła o kilka kroków i zapytał: — Czy nie zechcecie mi wprawdzie wymienić waszego nazwiska, sir?

— Dłaczego nie! Nazywam się Leader.

— Dziękuję! A więc panie Leader, chętnie każdemu wyświadczam przysługę. Zastosuję się więc także do waszej woli, ale przedtem muszę wam powiedzieć, że mój karabin może łatwo wystrzelić.

Zabrzmiało to tak poważnie, że śmiech ucichł jak nożem uciął. Leader odparł: — Czyżbyście mieli zamiar zetrzeć się z nami?

— Wcale nie! Zetrzyjcie sami z siebie brud, jeśli go macie na sobie i użyjcie do tego dużo mydła i wody!

Na to Leader chwycił za swój rewolwer i odezwał się grożąc: — Miarkujcie się w słowach, sir! Moje kule wcale tak mocno nie siedzą w lufie, jak wam się wydaje.

— Phy! — zaśmiał się Davy. — Nie ośmieszajcie się! Wasza groźba to istna dziecinada.

— Ach tak! Bądźcie więc tak dobrzy i wymieńcie nam wasze nazwiska, żebyśmy wiedzieli, z jakimi to sławnymi bohaterami mamy do czynienia!

— Ja nazywam się Kroners, a mój towarzysz Pfefferkorn.

— Tym nazwiskiem nie ma się co chełpić, gdyż tak może się nazywać tylko Niemiec, a ludzie niemieckiego pochodzenia tu u nas nic nie znaczą.



— To jest pogląd, którego was nie chcę pozbawiać. Nie jestem lekarzem psychiatrą. Chodź, Jemmy!

Długi ruszył na swoim mule, a Gruby pojechał za nim. Nie obdarzyli już turystów ani jednym spojrzeniem i udali się na miejsce, w którym grupa sześciu zatrzymała się poprzednio.

Tu oczom ich ukazał się okropny widok. Na ziemi pełno było śladów kopyt i stóp, jakby się tu rozegrała jaka walka. Martwy koń leżał bez uzdy i siodła. Jego brzuch był rozdarty, a wokół wały się strzępy wnętrzości... paskudne dzieło sępa, którego Davy i Jemmy widzieli przedtem w powietrzu.

Ale to jeszcze nie było to, czego się obaj przestraszyli. W pobliżu nieżywego konia leżał trup człowieka, pozbawionego skóry na głowie. Jego twarz na skutek licznych cięć, zadanych nożem we wszystkich kierunkach, była zniekształcona nie do poznania. Jego znoszony wełniany garnitur pozwalał przypuszczać, że był westmanem. Kula, która przeszła mu serce, była powodem jego śmierci.

— Święty Boże! Co tu się stało? — zawołał Jemmy, który zeskoczył z konia i podszedł do trupa.

Davy także zsiadł z muła i uklęknął przy zwłokach. — Nie żyje już od kilku godzin — stwierdził, dotknąwszy ręki i piersi denata. Jest zimny i krew już nie cieknie.

— Przeszukaj mu kieszenie! Może znajdzie się w nich coś, jakiś przedmiot, który pozwoli się domyślić, kim był.

Właśnie gdy Davy zabrał się do przeszukiwania kieszeni trupa, nadjechali turyści, którzy powoli podążali za traperami.

— Stać — rozkazał Leader. — Wyprasząmy sobie stanowczo przeszukiwanie kieszeni. Nie mogą dopuścić do obrabowania zwłok. Zarówno Leader jak i jego towarzysze zsiadli z koni i podeszli. Leader chwycił „Długiego” za ramię i odciągnął go, przeciwko czemu Davy wcale nie zaprotestował. Obaj traperzy porozumieli się wzrokiem, a Jemmy zapytał: — Jak wpadliście na tę wielce dowcipną myśl, że chcemy martwego obrabować?

— No przecież sięgacie do jego kieszeni!

— Czy nie mogłoby to mieć czego innego na celu?

— U was w każdym razie nie. Po was przecież zaraz widać, jakimi ludźmi jesteście.

— To wykazujecie rzeczywiście niesamowitą bystrość umysłu, panie Leader.

— Nie bądźcie w dodatku bezczelnym, w przeciwnym razie krótko się z wami załatwimy. Złapaliśmy was na gorącym uczynku. Wasz towarzysz miał ręce w kieszeniach zamordowanego. To wystarcza. Ważęście się tu w pobliżu miejsca zbrodni. To jest podejrzan. Kim są mordercy? Miejcie się na baczności, gdyż może to być dla was sprawą gardłową!

Davy wzruszył drwiąco ramionami, a Jemmy odparł: — Wasza wielmożność! Zachowujecie się tak, jakbyście byli najwyższym urzędnikiem Stanów!

— Jestem adwokatem — odrzekł Leader dumnie i krótko.

— Ach prawnikiem. A więc należycie do tych wielce uczonych ludzi, którzy bawią się paragrafami. Moje największe uznanie, sir! — Davy zdjął swój kapelusz z ironiczną uniżonością.

— Nie wygłupiajcie się, sir! — zgromił go Leader. — W rzeczywistości jestem notariuszem i potrafię sobie zapewnić szacunek. Ci czcigodni panowie obrali mnie na swego przywódcę. A więc zgodzą się na to, co uznają za konieczne!

— Dobrze, dobrze! — przytaknął Jemmy gorliwie. — Nie mamy przecież nic przeciwko temu. Skoro jesteście prawnikiem, to zapewne z łatwością rozwikłacie tę kryminalną sprawę.

— Naturalnie. Przede wszystkim obstać przy tym, że nie wolno wam się oddalać, zanim dokładnie wszystkiego nie zbadam i nie wydam potem odpowiednich zarządzeń. Możecie być zamieszani w tę nieprzyjemną sprawę.

— Och, tym się nie martwimy, gdyż jesteśmy przekonani, że waszemu bystremu umysłowi uda się rozplątać tę gmatwaninę!

Leader wolał pozostawić tę nową złośliwość bez odpowiedzi, za to wydał swojemu towarzyszowi polecenie: — Trzymajcie ich konie, żeby podejrzanym nie przyszło czasem na myśl odjechać!

Traperzy pozwolili spokojnie na wykonanie tego rozkazu. Bawiła ich widocznie obserwacja, co ci obcy i niedoświadczeni na Zachodzie ludzie jeszcze przedsięwzięją.

Znalezienie oskalpowanego trupa jest w samej rzeczy sprawą poważną, mimo iż myśliwy na stepie jest na tego rodzaju wydarzenia uodporniony. Jednakże widok, jaki przedstawiał ten pozbawiony skóry na głowie i ze zmasakrowaną twarzą człowiek, budził zgrozę. Do tego dochodziła obawa, jaką musieli żywić Davy i Jemmy, czując zagrożenie ich osobistego bezpieczeństwa. Byli bowiem pewni, że znaleziony człowiek został zabity i oskalpowany przez Indianina. Ponieważ nie można było przyjąć, żeby jeden czerwony ośmielił się sam zapaść tak daleko na wschód, należało przypuszczać, że w pobliżu znajduje się cały oddział Indian. Wskazane więc było zachować ostrożność.

Adwokat zbadał teraz własnoręcznie kieszenie zabitego. Były puste, tak samo jak i jego pas. — Został już obrabowany — wyjaśnił. — A więc jest to morderstwo rabunkowe i naszym obowiązkiem jest znaleźć mordercę. Ślady dowodzą, że przestępstwa nie popełniła jedna osoba. Było ich więcej i jeśli pomyślę, że zazwyczaj sumienie sprowadza przestępcę na miejsce zbrodni, to przewiduję, że nie trzeba będzie wcale daleko szukać, żeby znaleźć morderców. Panowie, jesteście moimi więźniami i udacie się z nami do najbliższej osady. Jest to farma Helmersa. Tam przeprowadzimy śledztwo z całą surowością.

Leader stanął przed traperami w pozie, która miała ich zastraszyć.

— Proszę oddać broń! — rozkazał.

— Chętnie — odpowiedział Jemmy. — Tu macie moją strzelbę. Bierzcie!

Wycelował przy tym broń w Leadera. Trzasnęły kurki. Leader przestraszony uskoczył w bok i krzyknął: — Łobuzie! Chcecie stawiać opór?

— O nie! — zaśmiał się Jemmy. — O stawianiu oporu nie może być mowy. Chcę was tylko prosić, żebyście mi możliwie ostrożnie wyjęli strzelbę z rąk. Mogłaby bowiem wystrzelić i wówczas byłby koniec z waszą sławną adwokaturą. A więc bierzcie bardzo ostrożnie!

— I w dodatku kpiny? Człowieku, ja was każę tak związać, że będziecie się wić z bólu!

— Będzie mi przyjemnie, bo porządne więzy to prawdziwa rozkosz.

— Jeśli mi się nie poddadacie, każę do was strzelać!

— Oho! Tego nie zrobicie. Przyjmijcie do wiadomości, że ktokolwiek podejdzie do nas bliżej niż na trzy kroki, natychmiast dostanie kulą w łeb. Co tu na skraju pustyni Llano Estacado może znaczyć dziewięciu adwokatów wobec jednego doświadczonego myśliwego stepu! Z waszymi dziecinnymi fuzjami nie dacie rady naszym umiejętnościom; wierzcie nam. Nie potrzebujemy żadnego prawnika ze Wschodu. Poznaliśmy paragrafy obowiązujące w prerii i potrafimy we właściwy sposób wymóc dla nich poszanowanie. Poza tym

jesteśmy uczciwymi ludźmi i wyście się co do nas pomylili. Ale nie odpłacimy wam za to pięknym za nadobne, gdyż wasza bystrość umysłu bardzo nas ubawiła. Niestety nie wiecie, co w takim wypadku jak ten oznaczają nieuszkodzone ślady. Pozwoliliście waszym koniom całkowicie je zadeptać. Teraz jest prawie niemożliwe odczytać ślady na miejscu zbrodni. Chcemy jednak zobaczyć, co jeszcze można zrobić. Obszukajmy to miejsce dookoła. Davy, ty pójdziesz w prawo, a ja w lewo! Tam się potem spotkamy.

Takie zdecydowane postawienie sprawy nie chybiło celu. Nikt się nie odezwał i nawet Leader milczał. Turyści zrobili co prawda ponure miny, kiedy jednak traperzy oddalali się w przeciwną stronę, nikt się nie odważył im w tym przeszkodzić.

Każdy z traperów, uważnie obserwując grunt, obszedł półkole, którego centralnym punktem były zwłoki. Spotkawszy się, podzielili się spostrzeżeniami i wrócili na miejsce, gdzie leżał trup. Tu przyjrzeni się koniowi, zabitemu człowiekowi oraz stratowanej ziemi.

Staranność, z jaką oglądali nawet poszczególne kamyki, wydawała się pozostałym niemal śmieszna. W końcu porozmawiali ze sobą jeszcze przez chwilę i uzgodnili, jak się zdawało, swoje poglądy. Potem Jemmy zwrócił się do adwokata: — Mister Leader, teraz możemy wam udzielić wyjaśnienia. Już sam fakt, że ten człowiek jest oskalpowany, powinien być nasunąć wam przypuszczenie, że padł od kuli Indianina. Myśmy zaraz tak myśleli i znaleźliśmy na to potwierdzenie. Zresztą zdaje się, że zasłużył na swój los. Z początkiem współczuliśmy mu, jednak jak się teraz okazało, bez powodu. To był zły człowiek. Był członkiem bandy rabusiów, którzy jak się zdaje tu na Zachodzie uprawiają swój proceder. Strzeżcie się ich!

Te wyjaśnienia przyjęte zostały ze zdziwieniem. — Jak? — zapytał Leader. — Tego wszystkiego dowiedzieliście się ze śladów?

— Och, jeszcze o wiele więcej!

— To niemożliwe!

— Tak mówicie, bo jesteście nowicjuszem w takich sprawach. Ze śladów można tak samo czytać jak z pisma i książki. Naturalnie pod warunkiem, że się przebywało na Dzikim Zachodzie dobrych parę lat. Ten człowiek nie został zastrzelony na tym miejscu, gdzie teraz leży. Czy zauważyliście, że kula przedziurawiła go na wylot i wyszła plecami?

— Tak.

— To zjedźcie ze mną na tę stronę!

Wszyscy podążyli za Jemmy. Po kilku krokach Jemmy zatrzymał się i wskazał na twardy kamienisty grunt pod nogami. Widniała na nim wielka kałuża zakrzepłej krwi. — Co tu widzicie? — zapytał.

— To jest krew — stwierdził Leader.

— Niczego więcej nie widzicie?

— Nie.

— To rzeczywiście nie macie zbyt bystrego wzroku. Przypatrzcie się temu drobiazgowi! Cóż to jest?

Jemmy wyjął jakiś przedmiot z kałuży. Był mały, wyglądał jak moneta i mimo zabrudzenia krwią, lśnił słabym metalicznym blaskiem.

Wszyscy przyglądali się temu przedmiotowi, a Leader stwierdził: — To jest spłaszczona kula ołowiana.

— Tak. I właśnie ta kula pozbawiła życia tego człowieka. Przeszła mu przez sam środek serca. Zginął więc natychmiast. Jest zatem niemożliwe, żeby się jeszcze zachołgał tam, gdzie teraz leży, lecz musiał tam zostać przeniesiony. Zgadza się z tym?

— Wasz sposób przedstawienia sprawy brzmi przekonująco.

— Przypatrzcie się teraz kępcę suchotrawu obok kamienistego, pokrytego krwią miejsca. Co możecie zauważyć?

— Trawa jest przygnieciona.

— Na skutek czego lub przez kogo?

— Ba, któż to może wiedzieć?

— My wiemy. Tu leżał człowiek, a ponieważ nie odkryliśmy tu ani kropli krwi; należy przyjąć, że nie był ranny. Tuż obok widzicie rowek w miękkim piasku. U góry jest szeroki i zwęża się ku dołowi. Czym też ten rowek został zrobiony?

— Może obcasem?

— O nie! Zaraz wam udowodnię, że człowiek, który tu leżał, nie nosił butów, lecz mokasyny. Ta krecha miałaby zupełnie inny kształt, gdyby ją zrobiono obcasem. Byłaby nieckowata. Nam się raczej

wydaje, że została pociągnięta kolbą strzelby, a ponieważ linia nie jest równa, lecz z początku głęboka a kończy się płytko i haczykowato, jest więcej niż pewne, że nie została zrobiona powoli, lecz w dużym pośpiechu. Wreszcie obejrzyjcie wycisk na dolnym końcu śladu! W jakich okolicznościach mógł powstać?

Po dokładnym obejrzeniu wskazanego przez Jemmy'ego miejsca na piasku, Leader wyjaśnił: — Wydaje się, jakby się tu ktoś okręcił na obcasie.

— Tym razem macie rację. To wgłębienie jest zresztą dość wyraźne. Jeśli się dokładnie przyjrzyjcie temu miejscu, będziecie musieli przyznać, że nie może tu być mowy o obcasie buta, lecz tylko o obuwiu z tępą zakończoną piętą, a więc o mokasynie. Poza tym znajdziecie tu odcisk tylko jednej nogi, odcisku drugiej brak, mimo że podłoże jest miękkie. Jaki z tego wniosek?

— Tego nie wiem.

— Przyczyną jest pośpiech, o którym już wspominałem. Tu rzucił się na ziemię ktoś, kto się bardzo śpieszył. Jedną jego nogą unosiła się w powietrzu i dlatego nie mogła się odcisnąć w piasku. Gdyby ten człowiek miał czas, żeby się wygodnie ułożyć, widoczne byłyby ślady obu nóg. Należy więc z całą pewnością przyjąć, że musiał mieć powód, żeby się tak nagle rzucić na ziemię. A jakież to mógł być powód? Adwokat podrapał się w zamyśleniu po głowie. — Sir — powiedział — muszę przyznać, że to trudne podążać tak szybko za waszymi hipotezami lub obliczeniami.

— To dowodzi właśnie, że jesteście greenhornami. W takich sytuacjach życie wisi na włosku. Nie można wówczas rozmyślać i rozważać, lecz wszystko wtedy zależy od bystrego wzroku i szybciej decyzji. Wyjaśnię wam, jaki był powód pośpiechu tego człowieka. Rozglądajcie się wokoło, czy nie zauważyliście w pobliżu czegoś rzucającego się w oczy!

Sześciu turystów, spełniwszy polecenie, potrząsnęło głowami. — No to — mówił dalej Jemmy — spójrzcie na tę jukę. Jej wygląd powinien was przecie zastanowić.

Wspomniana roślina była to „yucca gloriosa”, która tu na suchym piaszczystym podłożu zatrzymała się w rozwoju. Kwitła jeszcze i miała białe kwiaty, jakby lekko owiane purpurową mgiełką. Jej liście były sztywne, wąskie, lancetowate, niebiesko-zielonego koloru. Wiele z nich leżało na ziemi. Nie odpadły same, lecz zostały oberwane.

— Ktoś tu był i tak tę jukę urządził — stwierdził Leader z ważną miną.

— Aha! A kim był ten ktoś!

— Tego nie mogę wiedzieć.

— Można to wiedzieć, ba, nawet trzeba to wiedzieć. Człowiek ów nie ruszał tej rośliny tu na miejscu, lecz z dala posłał jej kulkę, która oberwała liście i przedziurawiła łodygę. Czyż tego nie widzicie?

Turyści zauważyli to dopiero teraz. Jemmy wyjaśniał dalej: — Nikt nie strzela do roślin dla przyjemności. Kula przeznaczona była dla tego, który tam rzucił się na ziemię. Jeśli sobie wyobrazimy linię, prowadzącą od rośliny do miejsca, w którym stał ten ostatnio wymieniony człowiek i przedłużymy ją w tym samym kierunku, to będziemy wiedzieć dokładnie, skąd kula leciała. Ponieważ przebiła dolną część łodygi, wylot karabinu z którego została wystrzelona musiał się znajdować dość wysoko ponad powierzchnią ziemi. Spróbujcie mi w takim razie powiedzieć, co z tego można wywnioskować? Wszyscy patrzyli na Jemmy'ego zakłopotani, lecz nie odpowiadali. Dlatego też Jemmy wywodził dalej: — Ten, który strzelał, nie stał przypuszczalnie na ziemi, lecz siedział w siodle. Ze wszystkiego zatem, cośmy tu znaleźli, należy wyciągnąć następujące wnioski: — Tam, gdzie oglądaliśmy ślady, stał uzbrojony w strzelbę Indianin. Jeździec, który przybywał przypuszczalnie z kierunku wschodniego, strzelił z konia do Indianina, po czym ten, nie trafiony, momentalnie rzucił się plackiem na ziemię, twarzą do nieba. Dlaczego tak postąpił? Na to jest tylko jedno jedyne wyjaśnienie; mianowicie chciał zabić strzelca; chciał, żeby tamten sądził, iż on nie żyje. Jeździec rzeczywiście podjechał do niego...

— Z czego to wnioskujecie? — zapytał Leader zdumiony.

— Pokażę wam. Chodźcie z powrotem do miejsca, gdzie leży zabity! — Jemmy poprowadził Leadera koło trupa do miejsca, gdzie pomiędzy skapą kosodrzewiną widniały małe spłachcie piasku. Tu widoczne było większe wgłębienie i Jemmy zapytał, w jaki sposób mogło ono powstać.

— Zdaje się, że tu także ktoś leżał — wnioskował Leader. — Wasze przypuszczenie jest słuszne. Ale kto to był?

— Może ten martwy, zanim zginął?

— Nie, gdyż ten był trafiony w samo serce, a więc nie mógł się już poruszać. Było niemożliwe, żeby się tu przy włókł. Zresztą gdyby to był on, musiałaby się wówczas tutaj znajdować kałuża krwi.

— W takim razie było to ten Indianin, który tam poprzednio rzucił się na ziemię?

— Ten także nie. Nie miał przecież żadnego powodu, żeby powtarzać swój poprzedni fortel. Nadto stwierdziliśmy, że nie był ranny.

Wchodzi tu więc w grę trzecia osoba.

— Ależ — rzekł Leader z największym zdziwieniem — ten piasek jest dla was jak otwarta księga. Ja nie umiałbym z niej przeczytać ani linijki.

Na twarzach jego towarzyszy widoczne było również ogromne zdumienie. Teraz zabrał głos Davy: — Nie potrzeba wcale szeroko otwierać ust i oczu, panowie. Wszyscy wytrawni myśliwi Zachodu zawdzięczają swoje sukcesy nie tylko odwadze, przebiegłości i wytrwałości, lecz także tej okoliczności, że każdy ślad stopy jest dla nich wyraźnie nakreślonym listem, pozostawionym dla nich rozmyślnie lub bez zamiaru. Kto takich listów nie rozumie, ten zapewne zginie od kuli lub noża, a jego trup ulegnie rozkładowi tam, gdzie nie będzie można postawić mu pomnika. Mój towarzysz powiedział, że tu nie ma kałuży krwi i miał rację. Kałuży krwi tu co prawda nie ma, ale trochę krwi jednak widać. Te małe ciemne plamy na piasku są śladami kropel krwi. Człowiek, który tu leżał, był więc ranny i to ciężko, gdyż z odcisniętego śladu można odczytać, że wiał się z bólu na ziemi. Przypatrzcie się tylko dokładnie tej kosodrzewinie obok i piaskowi pod nisko przy ziemi rosnącymi gałęziami. Biedak z bólu rwał te gałęzie i palcami wczepiał się w ziemię. Czy moglibyście mi powiedzieć, w którym miejscu był ranny?

— Żeby to powiedzieć, trzeba być wręcz wszechwiedzącym.

— O nie! Rana w głowie lub w górnej części ciała powoduje większy upływ krwi, a tu jest jej mało. Raniono go w podbrzusze; tym można wytłumaczyć męczarnię, jakie cierpiał. I przyjrzyjcie się temu niepozornemu przedmiotowi, który tu leży na ziemi i nie został jeszcze przez was wcale zauważony! Co to może być?

Davy podniósł z ziemi kawałek skóry. Była ona pierwotnie garbowana na jasno, później nadano jej kolor ciemniejszy i przez nacięcia podzielono ją na długie wąskie paski. Turyści obejrżeli podany im kawałek skóry, lecz pokręcili głowami na znak, że nie wiedzą, co to jest.

— To jest — wyjaśnił Davy — oddarty kawałek frędzlowanego szwa od spodni, indiańskiej roboty. Ranny, który tu leżał, był więc także Indianinem. Nosił spodnie ze skóry garbowanej mózgiem jelenia. Z bólu wczepił się palcami w nogawki i przy tym urwał ten mały frędzlowany kawałek. Strzał w podbrzusze jest jak wiadomo niezmiernie bolesny. Jeśli wam wejdzie kula we wnętrzości, to będziecie się wic z bólu jak glista. Dziwiłbym się, gdyby ten Indianin nie znajdował się już w „Krainie Wiecznych Łowów”. Niemożliwe, żeby mógł długo wytrzymać dalszą konną jazdę, tym bardziej że musiał siedzieć razem z inną osobą na jednym koniu.

— On odjechał konno? — zapytał Leader. — I z innym człowiekiem na jednym koniu?

— Tak sir, i to jest pewne. Proszę się ze mną pofatygować kawałek w kierunku, skąd ci ludzie przybyli.

Davy ruszył na północny wschód. Pozostali pojechali za nim, ciekawi, na co im jeszcze zwróci uwagę. Davy dojechał aż do linii okrężnej, którą przedtem opisał. Tam stanął i rzekł: — Panowie, udzielię wam obecnie że tak powiem lekcji odczytywania śladów. Muszę się jednak spieszyć, gdyż mamy przed sobą niebezpieczną bandę rabusiów lub morderców, a poza tym trzeba ratować jednego lub może dwóch Indian, których ta banda, ściga. Postaram się więc przedstawić wszystko tak krótko, jak tylko się da. Tu gdzie stoimy przejeżdżali obaj Indianie, o których była mowa, ranny i zdrowy. Ten pierwszy nie został postrzelony tam gdzie leżał, lecz już wcześniej. Wnioskuję to z tego, że obaj Indianie wiedli swoje konie głowa przy głowie, jak widać ze śladów. Jechali tuż obok siebie i zdrowy trzymał konia drugiego Indianina za uzdę. Temu drugiemu potrzebne były wolne ręce, żeby nimi podtrzymywać ranne miejsce, albo żeby się trzymać siodła, gdyż był osłabiony.

Cofnąwszy się kilka kroków, Davy wskazał na ziemię i kontynuował: — Te odciski kopyt świadczą o tym, że mamy istotnie do czynienia z Indianami. Oba konie nie były bowiem podkute. Tu możecie zobaczyć, że koń niosący rannego dał susa. Otrzymał bowiem w tym miejscu strzał z tyłu. Kula trafiła go w przednią pachwinę i utkwiała w klatce piersiowej, tak że koń jeszcze tylko mały kawałek mógł się posunąć do przodu i padł tam, gdzie teraz leży. Ranny Indianin został przy tym bokiem wyrzucony z siodła i upadł w kosodrzewinę.

Następnie Davy przejechał na prawo i wskazał powtórnie na grunt, wyjaśniając dalej: — Tu jest ślad pojedynczego jeźdźcy, tego który strzelał do konia, a później do drugiego Indianina. Jego wierzchowiec był podkuty; a więc był to biały człowiek. Do indiańskiego konia strzelał zanim tu przybył, co mógłbym wam udowodnić, mając na to czas. A dokładnie z tego miejsca, gdzie teraz stoimy, strzelał do drugiego Indianina...

— Tego nie możecie powiedzieć z taką pewnością! — wtrącił się Leader.

— Phy, mogę nawet na to przysiąc! Spójrzcie tylko do przodu, a zobaczycie, że nasze obecne stanowisko leży na jednej linii z miejscem, gdzie drugi Indianin rzucił się na ziemię oraz z rośliną juki, w którą wbiła się kula. Nie mam wątpliwości, że tak było. A teraz dalej. Tylko osiem lub dziesięć kroków stąd widzicie dalsze ślady. Jechało tamtędy pięciu białych i zatrzymało się w miejscu, gdzie grunt jest stratowany. Teraz proszę, żebyście mi znów towarzyszyli z powrotem. Zaraz skończymy.

Davy poprowadził turystów nie tylko do wzmiankowanego miejsca, lecz jeszcze kawałek dalej i tam zwrócił im uwagę na trzy ślady, z których jeden skręcał w bok. O tym śladzie Davy powiedział: — Pochodzi od konia, który należał do białego człowieka; zwierzę szło galopem. Koń, który dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie stał, już galopuje, na pewno uciekł. Spłoszył się i umknął. Gdybyśmy poszli jego śladem, znaleźlibyśmy go z pewnością z pustym siodłem, skubiącego trawę. Tu, po drugiej stronie, widzicie drugi ślad. Zostawiły go niepodkute kopyta konia idącego wolniej. Mimo powolniejszego kroku zwierzęcia, te ślady są głębsze od poprzednich śladów indiańskich koni. Oznacza to, że ten koń miał teraz bezwarunkowo większy ciężar do dźwignia niż poprzednio. Indianin, którego kula nie dosięgła, siedział w siodle, mając przed sobą rannego towarzysza. A teraz tuż obok ostatnio wymienionego śladu widzicie ślady pięciu białych jeźdźców. Jechali tropem Indianina, lecz tak żeby tego tropu nie zatrzeć. No to skończyłem. Teraz zestawcie wszystko coście usłyszeli i powiedzcie mi, jak się ta tragedia rozegrała.

— Och, najlepiej to sami zrobicie, sir! — oświadczył Leader, teraz naturalnie już bardzo skromnie.

— No cóż — odparł Davy — przedstawiłem wam przecież dość dokładnie przebieg wydarzeń. Nasze badania dały następujący rezultat: Sześciu białych jeźdźców spotkało się na północny wschód stąd z dwoma indiańskimi jeźdźcami. Doszło między nimi do zatargu, przy czym jeden z Indian dostał kulę w brzuch. Indianie rzucili się do ucieczki, a biali puścili się za nimi w pogoń. Konie Indian były szybsze od koni białych ludzi i uzyskały znaczną przewagę. Przypatrzcie się koniowi, który tam leży. Jest najprzedniejszej meksykańskiej hodowli i miał zapewne autentycznych andaluzyjskich przodków. Po lewej stronie szyi ma wycięty w skórze totem, to znaczy znak właściciela. Ranny Indianin nie był zwykłym wojownikiem, gdyż tylko wodzom i wybitnym mężom rady wojennej wolno nosić totemy. Tylko jeden koń białych dorównywał szybkością koniom indiańskim. Człowiek, który na nim siedział, kontynuował pościg z wściekłością. Mógł się tak znacznie oddalić od swoich kompanów, ponieważ Czerwonoskórzy nie mogli nic przeciwko niemu przedsięwziąć, skoro jeden z Indian musiał ochraniać i podtrzymywać rannego. Ci dwaj biedacy tylko w ucieczce mogli szukać ratunku. Oczywiście, gdybym ja był na miejscu Indianina, który nie był ranny, zeskoczyłbym z konia i oczekiwałbym białego jeźdźcy stojąc, żeby go zestrzelić. Jeśli Indianin tego nie zrobił, musiał mieć widocznie jakiś powód, którego nie znam, albo też ten czerwonoskóry był jeszcze bardzo młody i niedoświadczony. Być może troska o rannego towarzysza zabiła go z tropu. Mimo to był jednak przebiegły i śmiały, jak się zaraz okaże. Biały miał dubeltówkę. Zbliżył się do dwóch ściganych na taką odległość, że jak już mówiłem strzelił i trafił konia. Zwierzę dało dużego susa, biegło jeszcze przez chwilę, potem przekoziółkowało, wyrzucając rannego jeźdźcę w kosodrzewinę. Drugi Indianin natychmiast wstrzymał swojego konia i zeskoczył, aby obronić towarzysza. Biały strzelił również do niego. Ponieważ koń białego był jeszcze w pełnym biegu, siedzącemu na nim trudno było celować i jego kula trafiła w jukę zamiast w Indianina. Czerwonoskóry mógł teraz wycelować swoją broń w nieprzyjaciela. Był jednak zdenerwowany; drżał z wściekłości, troski i wysiłku. Chodziło o jego życie, które zależało od pewności tego strzału. Dlatego właśnie nie strzelił, lecz udał, że został trafiony i rzucił się na ziemię, trzymając mocno strzelbę w ręku. Przy tym kolbą zarysował piasek, jak to widzieliśmy. Teraz czekał na białego, żeby mu z najbliższej odległości posłać kulę w serce. Biały zeskoczył z konia i podbiegł wprawdzie do rannego Indianina, który zapewne udawał nieżywego. Potem podszedł do drugiego Indianina. Ten skoczył błyskawicznie na równe nogi, rzucił przeciwnika na ziemię i strzelił mu w serce. Wylot strzelby musiał niemal dotykać piersi powalonego, gdyż wełna jego ubioru została osmalona, a kula przeszła przez klatkę piersiową, wyszła przez plecy i spłaszczyła się na kamieniu. Ten strzał spłoszył konia białego człowieka. Zwierzę pogalopowało naprzód i skręciło w prawo, jak to można było wyczytać ze śladów. Czerwony tymczasem przywłókł trupa zabitego przez siebie białego do rannego towarzysza, żeby ten mógł nasycić wzrok widokiem zemsty. Tu oskalpował trupa. Zauważył przy tym, że zbliża się pięciu pozostałych wrogów. Nie mógł się więc tu dłużej zatrzymywać. Dlatego szybko wsadził rannego na swojego konia, wsiadł również i odjechał. Tymczasem nadjechało tych pięciu. Kiedy zobaczyli na ziemi martwego kompana, zsiadli z koni i naradzili się. Są bądź co bądź sępami pustyni Llano Estacado, a on był ich towarzyszem. Być może, że w pobliżu, prawdopodobnie na farmie Helmersa są ludzie, którzy znają zabitego. Gdyby go tu znaleziono i rozpoznano, odkryto by prawdopodobnie także ich obecność, którą muszą przecież utrzymać w tajemnicy. Dlatego wpadli na pomysł zmasakrowania twarzy zabitego, by w ten sposób uniemożliwić jego rozpoznanie. Widzieliście panowie, że wykonali to w sposób bezwzględny i podły. Przedtem zabrali martwemu wszystko, co miał przy sobie. Z martwego konia zdjęli siodło i uzdę, ponieważ wyroby skórzane, które należały do ważnego wojownika indiańskiego, są wartościową zdobyczą. Opuścili to miejsce i podążyli śladem czerwonoskórych. Można oczekiwać, że mimo powolności swoich koni dogonią Indian, których jedyny koń ma podwójny ciężar do dźwignia ... Kiedyście tu przybyli, mister Leader, przy ścierwie konia był już sęp. Spłoszyliście ptaszysko strzałem. Myśmy ten strzał usłyszeli. On nas tu zwabił.

— W samej rzeczy wydaje mi się — odezwał się Leader — że tak się to wszystko odbyło, jak to sobie wyobrażacie. Przypuszczam, że macie dobre oczy i równie dobrą głowę.

— Co się tyczy mojej głowy, to muszę być z niej zadowolony, gdyż nie mogę jej zamienić na lepszą. Teraz jednak chciałbym was zapytać, co zamierzacie przedsięwziąć w tej sprawie.

— Nic. Ta sprawa już nas nie interesuje. Przecież tu chodzi tylko o Indian.

— Tylko o Indian? — powtórzył Jemmy. — Tylko? Czy Indianie nie są ludźmi?

— Nie przeczę, że są ludźmi. Jednak ich poziom umysłowy jest tak niski, że porównywanie nas z nimi byłoby dla nas obrazą.

Jemmy — siląc się na spokój, odpowiedział: — Jeśli tak jest, sir, to naturalnie nigdy nie będziemy w stanie was obrazić, gdyż nawet przez myśl nam przejść nie może, żeby was z nimi porównywać. Ci dwaj czerwonoskórzy zachowali się jak bohaterowie; przynajmniej zaś jeden z nich, którego uważamy za młodszego. W ogóle niemożliwe jest porównanie z nimi tak niedoświadczonych ludzi, jakimi wy jesteście. Nie uważajcie się jednak, na miłość Boską za lepszych ludzi od nich! Biali wtargnęli do tego kraju wyprzeć stąd jego prawowitych właścicieli, to znaczy Indian. Przelano strumienie krwi i wódki, żeby skutecznie masowy mord tubylców. Posługiwano się gwałtem, podstępem, oszustwem, nie dotrzymywano obietnic, a to wszystko po to, żeby przerzedzić gromady ludzi zamieszkujących prairie. Przepędza się tych ludzi z miejsca na miejsce, z jednego terytorium do drugiego. Ledwie przydzielono im nowy obszar, gdzie rzekomo mogą żyć w spokoju, a już wynajdowano na nowo jakiś powód, żeby ich z tej ziemi przepędzić.

Sprzedaje im się baryt zamiast mąki, miał węglowy zamiast prochu do strzelb, dziecięce fuzje zamiast porządnych dubeltówek na niedźwiedzie. Jeżeli przeciwko temu protestują, to rozstrzeliwuje się ich masami jako buntowników. Jeśli godzą się z losem, to nazywa się ich tępakami i wykolejeńcami. Jeśli się bronią, to nazywacie ich rabusiami i mordercami, których należy bezlitośnie wytepić. Dzieje

się tu tak, jak między dzikimi zwierzętami: jedno pożera drugie, a najsilniejsze twierdzi: „ja mam rację!” Ja jednak mówię wam, panowie, że wśród tych prześladowanych poznałem mężów, z których jeden wart jest dziesięciokrotnie więcej od was sześciu i stu tuzinów takich jak wy. Gruby, mówiąc to wszystko, doprowadził się do stanu wściekłości. Leader jednak odpowiedział hardo: — Nie pytaliśmy o wasze zdanie, gdyż jesteśmy wolnymi, samodzielnymi ludźmi, którzy sami wiedzą, co należy robić.

— Mnie się jednak zdaje, że tak nie jest. Mówicie na przykład, że nie potrzebujecie się więcej zajmować tym, co tu się stało. Jeśli tak myślicie, możecie wkrótce gryźć ziemię.

— Oho! Sądzicie, że powinniśmy się bać? Przybyliśmy tu aż z St. Louis i jestem pewny, że i dalej dojdziemy.

— Ze St. Louis do tego miejsca? — zaśmiał się Jemmy. — To ma być może wyczyn? Przyjmijcie do wiadomości, że niebezpieczeństwo zaczyna się dopiero tutaj. Znajdujemy się na granicy, gdzie grasują wszelkiego rodzaju ludzkie męty, które cenią sobie bardzo obce mienie, ale bardzo mało życie innych ludzi. A po drugiej stronie pustyni Llano Estacado leży terytorium Komanczów i Apaczów. Kto lekkomyślnie odważy się wejść między takie kamienie młyńskie, łatwo może zostać zmielony. Tu, na tym miejscu, spotkali się biali rabusie z czerwonoskórzymi wojownikami. Pominąwszy już białych, musimy sobie przecież postawić pytanie, czego tu chcieli Indianie. Jeżeli dwaj czerwonoskórzy ośmielają się sami zapuścić tak głęboko, to na dziesięć wypadków w dziewięciu można przypuszczać, że są to zwiadowcy, którzy badają teren na wyprawę wojenną. Ta sprawa nie jest dla mnie taka jasna jak dla was. Nie znam celu waszej podróży. My natomiast chcemy przebyć pustynię, a na to trzeba mieć oczy otwarte, w przeciwnym razie może się zdarzyć, że człowiek wieczorem położy się żywy i zdrowy na spoczynek, a rano już będzie trupem.

— Co się tyczy naszej drogi, to też chcemy przejść przez pustynię Llano Estacado, a potem do Arizony.

— W takim razie nie byliście jeszcze po drugiej stronie?

— Nie.

— Słuchajcie, nie bierzcie mi tego za złe, ale to jest z waszej strony bezprzykładna nieostrożność! Pustynia Llano Estacado wydaje się wam zapewne piękną, przemiłą okolicą, przez którą można tak sobie przejść tanecznym krokiem?

— No, tak głupi nie jesteśmy naturalnie. Znamy niebezpieczeństwa pustyni, słyszeliśmy i czytaliśmy o nich.

— Tak, tak! Hh, hm! Słyszeliście i czytaliście! To mniej więcej tak, jakby ktoś słyszał i czytał, że arsenik jest trucizną, a potem uważał, że połknięcie całego funta tej trucizny nic mu nie może zaszkodzić. Czy nie przyszło wam przynajmniej na myśl, żeby wynająć sobie przewodnika, który zna pustynię i jest obeznany z jej niebezpieczeństwami?

Jemmy dobrze życzył turystom. Jednakże Leader zawołał gniewnie: — Bardzo was proszę, żebyście nas nie pouczali! Jesteśmy mężczyznami, zrozumiano? Zresztą mamy przewodnika.

— Ach tak! Gdzie on jest?

— Pojechał naprzód.

— To jest rzeczywiście osobliwy sposób prowadzenia wycieczki. Gdzież ten człowiek na was czeka?

— Na farmie Helmersa.

— Ach tak! Jeśli tak jest, to może i dobrze. Farmę Helmersa łatwo znajdziecie. I jeżeli wam to odpowiada, możecie się przyłączyć do nas, bo my też tam jedziemy. Czy wolno zapytać, kto jest waszym przewodnikiem?

— Bardzo znany westman, jak nas zapewniano. Przeszedł Llano Estacado już kilkakrotnie. Swojego właściwego nazwiska nam nie podał. Zowią go zazwyczaj tylko Juggle-Fred.

— Juggle-Fred! A to szczęśliwie! — zawołał Jemmy. — To jest rzeczywiście dzielny człowiek, przewodnictwu którego możecie się spokojnie powierzyć. Cieszę się, że go nareszcie znów zobaczę. W każdym razie potem pojedziemy razem, bo my też chcemy się dostać do Arizony.

— Wy też? Dlaczego? Czy może także z powodu diamentów, znajdujących tam teraz?

— Może — odrzekł Jemmy chłodno.

— To nie pasujemy do siebie, bo my w tej samej sprawie tam jedziemy. Jesteście więc naszymi konkurentami.

Leader powiedział to stanowczym tonem, zerkając przy tym niemal wrogo na traperów. Jemmy roześmiał się i zawołał: — A to zabawne! Zazdrościcie nam? To znowu jest dowodem, że zupełnie nie znacie Zachodu. Czy sądzą, że w Arizonie diamenty leżą tak sobie na ziemi i trzeba się tylko schylić, żeby je pozbiierać? Nawet już poszukiwacze złota muszą się zrzesać, jeśli chcą osiągnąć dobre rezultaty, a poszukiwacze diamentów tym bardziej muszą zabiegać o wspólne działanie. Samotny człowiek ginie.

— Jest nas już sześciu i mamy dość pieniędzy przy sobie, żeby nie zginąć.

— Słuchajcie, nie mówcie tego nikomu! My jesteśmy uczciwymi ludźmi, których nie potrzebujecie się obawiać. Inni jednak już by się o to postarali, żebyście nie musieli daleko dźwigać waszych pieniędzy. Jest nam obojętne, że nie życycie sobie naszego towarzystwa.

Również od was zależy, czy zechcecie nam dotrzymać towarzystwa przynajmniej do farmy Helmersa. Dzisiaj już tam dotrzeć nie możecie i musicie nocować pod gołym niebem. Byłoby więc wskazane, abyście mieli przy sobie ludzi, którzy znają Dziki Zachód.

— Kiedy chcecie wyruszyć w drogę?

— Natychmiast oczywiście. A teraz róbcie co chcecie!

Jemmy wolnym krokiem podszedł do swojej szkapki i usadowił się w siodle. Davy uczynił to samo. Odjechali wolno za śladami, które prowadziły na zachód. Pozostali zatrzymali się jeszcze krótką chwilę, żeby się naradzić, potem ruszyli za dwoma traperami. Kiedy dopędzili myśliwych, Davy odwrócił się i zapytał: — No i co postanowiliście?

— Pojedziemy z wami do farmy Helmersa, ale tylko do tego miejsca.

— Bardzo łaskawie z waszej strony. — Davy odwrócił się z powrotem i od tej chwili traperzy zachowywali się tak, jakby za nimi nikt nie jechał. Puścili swoje wierzchowce cwałem, a sami zwyczajem prawdziwych westmanów wisieli w siodle, wychyleni do przodu, pozornie śpiący i zmęczeni, jakby w ogóle nie umieli jeździć konno. Pozostali jeźdźcy natomiast zachowywali tak prawidłową postawę, jakby ujeżdżali konie cyrkowe.

— Patrzcie na tych dwóch! — odezwał się Leader do swoich towarzyszy. — Oni nie umieją jeździć na koniu. To przecież wyraźnie widać. I to mają być westmeni? Ja w to nie wierzę.

— Ja też nie — potwierdził inny. — Kto tak się trzyma w siodle jak oni, nie przekona mnie, że zna Zachód. Historia o odczytywaniu śladów, którą nam chcieli zamydlić oczy, była oszustwem. Już ich zewnętrzny wygląd, nędzny i szubrawy, świadczy o nich. I takich mielibyśmy darzyć zaufaniem?

— O tym nie ma mowy. W dodatku mielibyśmy ich zabrać do Arizony? Bylibyśmy chyba durniami! Jeden z nich niemal podskoczył, kiedy mówiłem o naszych pieniądzech. Udawał nieskończenie uczciwego, pewnie dlatego tylko, że ich jest dwóch, a nas sześciu. Trzeba

się mieć na baczności podczas nocnego odpoczynku, żeby przypadkiem nie odjechali rano z naszymi pieniędzmi, zostawiając nas martwych. Całe ich zachowanie się pozwala przypuszczać, że są to ludzie bez skrępołów.

Zbliżali się tymczasem coraz bardziej do wspomnianego już wzniesienia. Grunt stawał się kamienisty. Jemmy i Davy pochylali się coraz niżej, gdyż ślady były już ledwie widoczne. Nagle „Gruby” wstrzymał konia, wskazał ręką w przód i rzekł: — Spójrz tam, stary Davy! Co tam za postacie stoją obok siebie?

Davy przyglądał się bacznie przez chwilę wskazanemu punktowi i stwierdził: — To są bardzo znane gatunki stworzeń, mianowicie pięć koni i jeden człowiek, przy czym konie są zapewne więcej warte od tego człowieka.

— Hm, pięć koni! Do tego należy naturalnie pięciu jeźdźców, a ponieważ tylko jeden jest widoczny, ciekaw jestem, gdzie się znajduje pozostałych czterech.

— Sądzę, że nie mogą być daleko. Jeśli podjedziemy jeszcze trochę bliżej, uda nam się ich może odkryć. Teraz odległość jest jeszcze za duża. Jedźmy więc jeszcze kawałek naprzód! — Poganiając swego wierzchowca, Davy dodał: — Mamy pewnie przed sobą tych „białych”, z których jeden został zastrzelony. A teraz wydaje mi się, że widzę tam ludzi, pełzających po ziemi. Przypatrz się tym punktom!

To co nazwał punktami, byli to czterej mężczyźni, którzy trzymając się w równej odległości od siebie, tworzyli tyralierę i posuwali się naprzód w tym samym kierunku.

— To jest tych czterech, przynależnych do tych koni — zauważył Jemmy. — Znajdują się na skalistym gruncie i szukają śladu Indian, który zgubili. Uwzględniając przewagę czasu, jaką mieli nad nami, muszą się już dość długo zajmować tym poszukiwaniem. Znaczy to że nie najlepiej umieją czytać ślady. Teraz nas zauważyli. Widzisz, że biegną do swoich koni?

— A jak się zachowamy wobec nich?

— Hm! Są szubrawcami; to pewne. Ze względu na nasze własne bezpieczeństwo musimy im patrzeć na palce. Jednak nie uważam za wskazane zajmować się zbyt gorliwie ich sprawami. Będzie lepiej, jeśli nie damy im poznać, co o nich, myślimy. Dopóki nie okażą nam wrogości, możemy także być ustepliwi i zgodni. Naprzód więc! Czekają na nas.

Sześciu poszukiwaczy diamentów także zauważyło grupę jeźdźców i w tej sytuacji zbliżyli się do traperów. W ich towarzystwie turyści czuli się jednak pewniej niż sami.

Pięciu obcych mężczyzn stało przy swoich koniach, trzymając broń gotową do strzału. — Stać! — krzyknęli. — W przeciwnym razie strzelamy!

Davy i Jemmy mimo to jechali dalej. Leader natomiast i jego ludzie zatrzymali się posłusznie.

— Stać, mówię! — powtórzył jeden z członków obcej grupy. — Jeszcze jeden krok, a osiągną was nasze kule!

— Nonsens! — zaśmiał się Jemmy. — Nie boicie się chyba dwóch ludzi miłujących pokój. Zostawcie sobie swoje kule. My też mamy niejedną w naszych lufach.

Nie padł żaden strzał. Może dlatego, że obcy nie żywili naprawdę żadnej obawy i swoją groźbą chcieli tylko nastraszyć przeciwników; a może także dlatego że spokojna, pewna siebie postawa obydwóch traperów wywarła na nich wrażenie. Pozwolili im się zbliżyć, lecz strzelby trzymali nadal wycelowane.

Ten, który groził, był barczysty i krępy. Gęsta, czarna broda zasłaniała dolną część jego twarzy, tak że nie było widać ust. Jednak z jego wymowy można było wnosić, że miał zajęczą wargę. Kiedy traperzy zatrzymali się przed nim, powiedział gniewnie: — Czy nie znacie zasad i zwyczajów obowiązujących tu, na Zachodzie? Zawołany musi stanąć. Zrozumiano? Tylko naszej pobłażliwości zawdzięczacie, że jeszcze żyjecie.

— Nie błagujcie tak, człowieku! — odpowiedział Jemmy. — Komu właściwie wy zawdzięczacie, że jeszcze żyjecie? My także mamy broń!

— Na Jowisza! Wy nam grozicie? My z odległości stu kroków potrafimy zestrzelić musze główkę z tułowia; weźcie to pod uwagę! W jakim właściwie celu objacie się po tej okolicy?

— Tego powinniście się przecież sami domyślić. Chcemy zobaczyć najbliższe zaćmienie słońca, które tutaj ma być najlepiej widoczne. Brodacze nie wiedział, jak ma przyjąć tę poważnie wygłoszoną odpowiedź. Zrobił zdziwioną minę i zapytał: — Kiedy ma być to zaćmienie słońca?

— Dziś w nocy, pięć minut i jedenaście sekund po dwunastej. Mówię wam, takie zaćmienie słońca o północy, to coś wspaniałego!

— Człowieku, drwicie sobie z nas? — oburzył się brodacze. — Miejcie się na baczności!

— Na pewno to zrobimy — zaśmiał się „mały”. — Długi Davy i Gruby Jemmy są przecież znanymi z ostrożności westmanami!

— Patrzcież tylko! — Zawołał czarnobrody. — Słyszeliśmy o was. Davy i Jemmy to podobno tak ucieszni chłopcy, że zawsze marzyłem, żeby ich kiedyś poznać. Spodziewamy się, że zrobicie nam przyjemność i urządzicie tu przedstawienie. Zapłacimy dobrze, po pięć centów od osoby i po cencie od konia.

— To zasługuje na uwagę! Takich wpływów nie mogliśmy się wcale spodziewać w tym cyrku. Występujemy jednak zawsze tylko podczas zaćmienia słońca. Będziecie więc musieli poczekać do północy. Jeśli jednak nie chcecie cierpliwie czekać do tej pory, to tymczasem sami wywinicie kilka koziołków. Czy można się dowiedzieć, jakie nazwiska otrzymaliście od waszych szanownych rodziców? — Te słowa wypowiedziane zostały z taką ujmującą uprzejmością, że brodacze odpowiedział mniej opryskliwie: — Nazywam się Stewart. Nazwisk moich towarzyszy nie potrzebujecie znać. Skąd właściwie jedziecie?

— Z okolicy, która leży za nami.

— A dokąd chcecie jechać?

— Do okolicy, leżącej przed nami.

— Aha! To bardzo dowcipna odpowiedź. Zdaje się, że wybieracie się na farmę Helmersa?

— Tak, ponieważ farma do nas się nie pofatyguje, musimy tam pojechać. Czy chcecie się z nami zabrać?

— Dziękujemy bardzo! Mamy coś innego do roboty. Czy widzieliście ślad, który wiódł właśnie przed naszymi nosami?

— Co nas ten ślad obchodzi! W każdym razie jest to ślad ludzi, którzy pojechali na farmę Helmersa. Znajdziemy to miejsce także bez tego śladu.

— Czy przejeżdżaliście obok trupa, który leży tam za nami?

— Tak.

— Co o tym sądzicie?

— Że jest martwy. A co martwe, to nie gryzie.

Stewart obrzucił obydwóch traperów długim, badawczym spojrzeniem. Zdawał się nie ufać tej obojętności. Kiedy jednak w ich otwartych, poczciwych twarzach nie dojrzał ani cienia podejrzliwości, oświadczył: — Myśmy także widzieli tego człowieka i jego konia. Byłoby szkoda, gdyby siodło i uzda zwierzęcia zgniły, dlatego zabraliśmy obie te rzeczy ze sobą.

— Gdybyśmy tam byli przed wami, postąpilibyśmy tak samo.

— Zupełnie słusznie. Jechaliśmy za śladem konia, jakkolwiek nie prowadził w naszym kierunku. Tu zgubiliśmy ślad i staraliśmy się go odnaleźć. Nadaremnie. Ponieważ zapada noc, postanowiliśmy zaniechać dalszych poszukiwań i zawróciliśmy znów na naszą poprzednią drogę.

— A dokąd wiedzie wasza droga?

— Przez pustynię Llano Estacado do El Paso, a potem dalej w głąb Arizony.

— Po diamenty?

— Ach nie. Tej gorączce nie damy się opanować. Jesteśmy uczciwymi i skromnymi farmerami i mamy w Arizonie krewnych, którzy postarali się tam o ziemię dla nas. Będziemy ją uprawiać. Kamieni szlachetnych niech sobie szukają inni. Farma przynosi wolniej owoce, ale za to pewniej.

— Każdy ma swoje upodobania! Ponieważ jesteście tylko farmerami, nie dziwi mnie, że nie potraficie znaleźć śladów. Dzielny tropiciel na pewno by ich długo daremnie nie szukał.

— No, wy przecież jesteście znani jako tropiciele śladów. Szukajcież więc! Jestem ciekaw, czy je znajdziecie.

Brodacz powiedział to z szyderstwem w głosie. Jemmy jednak odrzekł spokojnie: — Tego możemy łatwo dokonać, chociaż nas ta sprawa nie interesuje. Chcemy wam tylko dowiedzieć, że znajdujemy to, czego szukamy.

Obaj traperzy zsiadli z koni i wokół miejsca, w którym zatrzymała się cała grupa, zaczęli zataczać dalekie kręgi. Cichym gwizdem przywołali swoje wierzchowce, które postępowały za nimi jak psy.

Tymczasem nadeszli również poszukiwacze diamentów i milcząco przysłuchiwali się rozmowie. Teraz po oddaleniu się obydwóch traperów, Stewart zwrócił się do nich z pytaniem: — Przybyliście razem z tymi włóczęgami, lecz zdaje się, że nie należycie do nich. Czy zechcielibyście nam w tej sprawie udzielić wyjaśnienia?

— Chętnie — odparł Leader. — Spotkaliśmy ich przy trupie, jednak na skutek ich dziwnego zachowania się nie byliśmy bynajmniej skorzy do zawarcia z nimi przyjaźni.

— Postanowiliście słusznie. Ci dwaj nie mają wcale dobrej opinii. Ostrzegano nas przed nimi. Pomagają rzekomo jako donosiciele bandom rabusiów, którzy napadają na podróżnych na pustyni Llano Estacado. Dopiero co, tu w pobliżu zabito i obrabowano cztery rodziny. Z tego że ci dwaj się tutaj włóczą, można wnioskować, iż byli zamieszani w tę zbrodnię i szukają nowych ofiar. Ale nas nie dostaną!

— Tak też myślałem. Nie ufałem im od pierwszego wejrzenia. Chcą nas namówić, żeby jechać z nimi.

— Dokąd?

— Na farmę Helmersa, a potem przez Llano Estacado do Arizony.

— Nie róbcie tego, sir! Nigdy byście się już nie znaleźli po drugiej stronie pustyni. Jedźcie do Arizony w poszukiwaniu diamentów?

— Kupić je chcemy, a nie szukać.

Stewart rzucił na swoich kompanów szybkim, porozumiewawczym spojrzeniem i oświadczył z jak największą obojętnością: — Nie zrobicie tam wielkich interesów, sir. Kupiec diamentów musi mieć pieniądze, i to bardzo dużo pieniędzy.

— Mamy je.

— Ale połączenie między Arizoną i San Francisco jest bardzo niepewne. Przyjmując oczywiście, że oczekujecie stamtąd przekazu pieniędzy. Może się zdarzyć, że nie będziecie ich mieli, kiedy będą wam najpotrzebniejsze. My także mamy znaczne sumy do uiszczenia za zakupione dla nas grunty. Jednak zamiast dawać polecenie przekazu pieniędzy z San Francisco, woleliśmy zabrać gotówkę ze sobą. Tak jest pewniej.

— No, nie tylko wy jesteście tacy rozsądni. My także wieziemy pieniądze przy sobie.

— To rozumnie. Trzeba je jednak dobrze ukryć, bo nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć. Myśmy je zaszyli w swoje ubrania. Chciałbym widzieć rabusia z Llano, który by je tam znalazł! Nie ufam, jak już powiedziałem, tym dwom. Wiedzą dokąd jedziemy i pospieszą donieść o tym swoim godnym kamratom, żeby na nas zrobili zasadzkę. My dlatego sprytnie obierzemy zupełnie inny kierunek. Radzę wam zrobić tak samo i powierzyć się dzielnemu i roztropnemu przewodnikowi.

— Tośmy już zrobili. Przewodnik czeka na nas na farmie Helmersa.

— Kto to jest?

— Zowią go Juggle-Fred.

— Juggle-Fred? — zawołał Stewart, udając przestraszony. — Czyście oszaleli, sir?

— Dlaczego oszaleli?

— Ponieważ ten człowiek jest znanym oszustem. Jego przezwisko chyba już coś mówi! Zajmuje się pokazywaniem rozmaitych oszukańczych sztuczek i znany jest wszędzie jako szuler. Mógłbym nawet przysiąc, że jest sprzymierzeńcem tych dwóch włóczęgów. Znajduje się na farmie Helmersa, dokąd oni się udają. Potem wyjedzie razem z nimi i wspólnie was na pustyni uśmierca. Nic nas nie obchodzi, lecz spełniam swój obowiązek i ostrzegam was...

Stewart powiedział to tak szczerze i z takim zaniepokojeniem, że Leader dal się zwieść i zakłopotany opuścił głowę: — To jest naturalnie nieprzyjemne. Jesteśmy wam wdzięczni za przestrożę i wierzymy, że jest uzasadniona. Ale teraz jesteśmy bez przewodnika.

— Nie pojmuję w ogóle, dlaczego daliście się skierować na farmę Helmersa? Jakiż człowiek zakłada farmę tak blisko niebezpiecznego Llano! Skoro ten Helmers tu się ulokował, powinno wam się chyba nasunąć przypuszczenie, że pozostaje w kontakcie z bandytami, którzy grasują po pustyni, czyniąc ją niebezpieczną. On prowadzi sklep, kupując od nich zrabowane rzeczy, a oni za to zaopatrują się u niego we wszystko, co potrzebują. To przecież oczywiste. Mnie by nikt nie namówił, żeby pojechać do tego obojętności, które nosi kuszącą nazwę, sugerującą ciepło rodzinne: „Dom Helmersa”. Za tak piękną maską kryją się machinacje i ciemne sprawy całej bandy morderców.

— Do licha, sir! Od tej strony nie rozważaliśmy tej sprawy oczywiście. Nie pozostaje nam nic innego, jak zawrócić i poszukać innego przewodnika; z tym Juggle-Fredem nie chcemy już mieć nic więcej do czynienia. Ale powiedzcie nam, czy wy właściwie macie przewodnika?

— Nie potrzebujemy go, gdyż dwóch naszych towarzyszy zna pustynię Llano Estacado bardzo dobrze. Możemy na nich polegać.

— To dobrze! Czy nie moglibyśmy wobec tego jechać z wami?

— To byłoby możliwe, lecz zwracam wam uwagę, że jest to z waszej strony znowu pewną nieostrożnością. Nie znacie nas przecież.

— Och, po was widać, że jesteście nam życzliwi, chociaż ci dwaj hultaje chcieli nam wmówić, że jesteście rozbójnikami.

— Czyżby?

— Tak. Zbadali dokładnie miejsce, gdzie leżał trup i orzekli, że ścigaliście rzekomo dwóch Indian. Jeden z nich miał być ciężko ranny, a drugi zastrzelił waszego towarzysza, którego twarz została potem przez was celowo pocięta nożami, żeby nikt nie rozpoznał zabitego.

— Coś podobnego! Tak powiedzieli? — zapytał Stewart speszony. — A wobec nas tak się zachowywali, jakby ich ten trup nic nie obchodził. Macie więc dowód, że nie można ufać tym kłamcom! Tak podstępnie i skrycie żaden uczciwy człowiek nie postępuje. Myśmy zupełnie przypadkowo przechodzili koło tego miejsca. Tego, że zabraliśmy siodło i uzdę, nie może nam nikt mieć za złe; takie jest prawo prerii. Potem widzieliście, że tu badaliśmy ślady. To się robi przecież tylko z ostrożności.

— Nie potrzebujecie się tłumaczyć. Wiemy, że jesteście uczciwymi ludźmi i darzymy was pełnym zaufaniem. Powiedzcie więc, czy pozwolicie, żebyśmy jechali z wami!

— Hm! — mruknął Stewart w, zamyśleniu, ruszając ramionami. Chcemy być z wami szczerzy. Nie znamy was tak samo jak wy nas. Tu na Zachodzie nie jest wskazane tak szybko zawierać znajomości bez uprzedniego sprawdzenia z kim się ma do czynienia. Cieszy nas co prawda, że darzycie nas zaufaniem, ale lepiej będzie, jeśli każda grupa pojedzie oddzielnie. Chcę wam jednak dać dobrą radę.

Spotkaliśmy niedawno liczne towarzystwo emigrantów, którzy chcą przejść przez pustynię Llano Estacado, ażeby się po drugiej stronie osiedlić. Są to przeważnie Niemcy z Czech i Hesji. Rozstali się z nami wczoraj i mieli zamiar dziś wieczorem obozować niedaleko stąd, ponieważ jutro rano ma się tam po nich zjawić przewodnik. Jest to najstynniejszy i najpewniejszy znawca pustyni Llano Estacado, a przy tym człowiek skromny i pobożny. Nazywa się Tobias Preisegott Burton. Dołączcie do tego towarzystwa, a znajdziecie się w dobrych rękach. Ta grupa składa się z wielu dobrze uzbrojonych ludzi, więc nikt się nie odważy na nią napaść.

— Tak sądzicie? Hm! Bardzo dobrze! Ale jak znajdziemy tych ludzi?

— Zupełnie łatwo. Jeśli stąd pojedziecie prosto na południe i dacie koniom ostrogi, to po mniej więcej trzydziestu minutach zobaczycie przed sobą stożkową górę, z której spływa strumyk, wsiąkając potem w piasek na małej, leżącej nieco na lewo równinie. Emigranci odpoczywają w pobliżu tej wody. Nawet gdyby się tymczasem ściemniło nie możecie zabłądzić, bo już z dala będą widoczne ich obozowe ogniska.

— Dziękuję wam, sir. Wybawiacie nas z wielkiego kłopotu. Ruszymy natychmiast, żeby dołączyć do tych Niemców. Niemiec bywa co prawda głupi, lecz uczciwy.

— A co mam powiedzieć tym dwom szelmom, jeśli zapytają, dokąd pojechaliście?

— Powiedzcie, co chcecie, co wam właśnie przyjdzie do głowy!

— Dobrze! Ale muszę wam zwrócić uwagę, że trzeba ich zmylić co do kierunku, jaki obierzecie. Jeśli tego nie zrobicie, pojedą za wami i w końcu jednak wpadniecie w ich sidła. Jedźcie więc dla pozorów z powrotem, tak daleko aż was stracą z oczu. Potem skręćcie na południe. Jeśli mnie zapytają, dlaczego zawróciliście, postaram się już znaleźć jakieś wyjaśnienie.

#### 4. ŻELAZNE SERCE

Tak się ułożono. Ludzie z obu grup pożegnali się jak starzy, długoletni znajomi. Kupcy diamentów odjechali z powrotem swoim śladem, nie racząc obdarzyć dwóch traperów ani jednym słowem, czy spojrzeniem. Kiedy byli już tak daleko, że nie mogli usłyszeć słów Stewarta, brodac, śmiejąc się szyderczo, zwrócił się do swych kompanów: — Dobrze ich poinformowałem. Diamenty chcą kupić! Na to potrzeba co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ładna sumka, jeśli ją wetkniemy w nasze kieszenie! A co powiecie o tych westmanach?

— Szubrawcy! — zawołał jeden z członków bandy.

— Tak! A te ich twarze świętoszków! Zachowywali się tak, jakby do trzech zliczyć nie umieli, a jednak wszystko prawidłowo odczytali ze śladów. Ich wnikliwość i bystrość umysłu może być dla nas niebezpieczna. Musimy się ich pozbyć.

— Ale jak, kiedy i gdzie? Nie mamy na to czasu. Musimy stąd iść, poprzestawiać paliki, żeby wprowadzić w błąd emigrantów.

— Hm, tak, dużo czasu nie mamy. Ale jeżeli teraz tym dwom pozwolimy ujść, utracimy najlepszą okazję. Na farmie Helmersa spotkają się z Juggle-Fredem, jednym z naszych największych wrogów, który zaiste jest w stanie sprzątnąć nam tłusty kasek sprzed nosa.

— Zastrzelmy ich po prostu!

— To byłoby oczywiście najlepsze. Ale popatrz tylko w ich kierunku, a potem bądź tak dobry i strzelaj do nich! Ciekaw jestem, jak się do tego zabierzesz. — To mówiąc, wskazał na myśliwych, którzy zdawali się jeszcze pilnie szukać śladów, nie troszcząc się o Stewarta ani jego kamratów. Wyglądało na to, że nawet odjazdowi kupców nie poświęcili najmniejszej uwagi.

— Niech ja skonom! — zaklął drugi. — Ty masz rację. Dopiero teraz widzę, jak sprytnie się te szelmy urządzają, żebyśmy ich nie trafili. — Tak, zwierzęta trzymają krok w krok między sobą a nami, żebyśmy, strzelając, je tylko mogli trafić. W ten sam sposób schodzili cały krąg. A nie widzisz, że prawą rękę trzymają stale na zamku karabinu, a w lewej dzierżą broń gotową do strzału? Gdyby tylko jeden z nas podniósł fuzję, natychmiast zagwizdałyby ich kule. To są cholerni spryciarze. A te ich zwierzęta też mają diabła w sobie. Zachowują się tak, jakby wiedziały, że mają kryć swoich panów. Same trzymają równy krok z nimi i ani przez sekundę nie spuszczają z nas swych złośliwych ślepiów.

Tak było istotnie. Stewart i jego ludzie nie mogli dojść do strzału. Tymczasem Davy i Jemmy, ukończywszy swoje poszukiwania, zbliżali się powoli do całej grupy. Zwierzęta szły wiernie za nimi.

— Co widzę? Turyści odeszli! — zawołał Jemmy zdziwiony, jakby teraz dopiero zauważył ich nieobecność.

— Już dawno — potwierdził Stewart. — Tam w tyle widać ich jeszcze.

— Ale dlaczego pojechali z powrotem? Chcieli przecież zajechać na farmę Helmersa. Dlaczego więc zawracają?

— Ponieważ są głupcami. Ich nieostrożność jest wprost niewiarygodna. Zgubili pieniądze!

— Ach! Oni mieli pieniądze?

— Naturalnie! Jeden z nich miał portfel z banknotami w kieszeni siodła. Podczas gdyśmy na was czekali, zauważył, że szew kieszeni siodła się rozpruł i portfel prawdopodobnie wypadł. To naturalnie ich okropnie przestraszyło. Zawrócili momentalnie, rezygnując nawet z uprzedniej rozmowy z wami. Odjeżdżając, zawołali jeszcze do nas, żebyśmy was poinformowali, iż jutro wieczorem, a najpóźniej pojutrze w południe zajadą na farmę Helmersa. Stamtąd natychmiast wyruszą z Juggle-Fredem na pustynię Llano Estacado.

— Pięknie! Nie chcę sobie łamać głowy nad właściwym powodem ich zniknięcia.



— Sądzicie, że nas okłamali?

— Oni was nie, lecz wy nas. Nie chce nam się wierzyć w ten zgubiony portfel. Jesteśmy raczej przekonani, że obiorą zupełnie inny kierunek jazdy, jak tylko stracą nas z oczu.

— Sir, znowu nas obrażacie!

— O nie! Mówię tylko to, co myślę. Zresztą chcę wam, mister Stewart, udzielić dobrej rady. Jeśli znowu kiedyś będziecie komuś dawać wskazówki, o czym inni nie powinni wiedzieć, to nie wymachujcie tak rękami, gdyż gesty mogą tak samo przemawiać jak słowa!

— Dlaczego? Co przez to chcecie powiedzieć?

— Lewą ręką wskazaliście na południe, a prawą zrobiliście taki ruch, jakbyście rysowali górę. Potem odsunęliście lewą rękę płasko pod siebie, co naturalnie oznaczało równinę. Następnie wskazaliście z powrotem na wschód, a stamtąd na południe. Wszystko to było tak jasne, że mogę wam opowiedzieć całą tę historię.

— Więc zróbcie to!

— Bardzo chętnie. Turyści pojechali z powrotem na wschód, a teraz, kiedy już nie możemy ich zobaczyć, skręcają na południe. Tam znajduje się góra, zaś u jej stóp z lewej strony rozpościera się równina, do której ci chłopcy mają dojechać. Ponieważ nie są obeznani z terenem, a wy ich mimo zapadającego zmierzchu tam posyłacie, jest jasne, że ta równina nie może się znajdować zbyt daleko stąd. Mamy wielką ochotę rozłożyć się tam obozem na dzisiejszą noc.

Jemmy, mówiąc to, spojrzął Stewartowi przenikliwie w oczy. Ten ledwie nad sobą panował. Było widać, że się przestraszył.

— Róbcie co chcecie sir, ale nie opowiadajcie nam tu historyjek! — zawołał grubiańsko. — Powiedzcie nam lepiej, czy znaleźliście ślady!

— Oczywiście. Chodźcie z nami! Jest jeszcze dość jasno, żeby je rozpoznać.

— No to idźcie naprzód!

— Zrobię to. Ale Davy, mój towarzysz, pójdzie za wami wszystkimi.

— Dlaczego?

— Aby pilnować, żeby wasze strzelby nie zrobiły samowolnie jakiegoś głupstwa. Uważajcie więc na nie! Gdyby się któregoś z nich przypadkiem zachciało wystrzelić, to kula Davy'ego natychmiast trafi właściciela tego karabinu.

— Sir, stajecie się zbyt zuchwałym!

— Ależ skąd! Ja wam tylko dobrze życzę, ostrzegając. Więc chodźcie! — Jemmy kroczył przodem w kierunku, z którego przybyli. Pozostali szli za nim, a pochód zamykał Davy, trzymając broń gotową do strzału i czujnie śledząc każdy ruch tych pięciu, których miał przed sobą. Po krótkim czasie Jemmy zatrzymał się, wskazał na ziemię i zapytał: — Co tu widzicie, mister Stewart?

Zapytany schylił się, aby obejrzeć wskazane miejsce i odrzekł: — Tu na skale leżał kamyczek i został zmiażdżony końskim kopytem.

— Czy taki kamyczek może zostać starty na mąkę przez podkute kopyto?

— Nie. Ten koń nie był podkuty.

— A więc był to koń indiański. Chodźcie dalej! — Znowu znaleźli roztarty kamyczek.

— To jest ten ślad — stwierdził Jemmy. — Prosta linia między obydwoma kamykami wskazuje na zachód. Tam więc pojechał Indianin.

— Indianin? Jak możecie z taką pewnością twierdzić, że to Indianin siedział na tym niepodkutym koniu? — zapytał Stewart.

— Phy! — parsknął Jemmy. — Ci głupi kupcy diamentów na pewno wam powiedzieli, że was przejrzelśmy. Nie potrzebujemy więc już więcej bawić się w chowanego. Jesteście sępami pustyni Llano Estacado, a my jesteśmy uczciwymi myśliwymi, którym nie możecie niczego zarzucić. Nie pytam w jaki sposób zdobyliście zaufanie tych kupców. W każdym razie okłamaliście ich okropnie. Nie pojedziemy na południe, żeby ich ponownie ostrzec. Wydaje się, że dla nich jest prawdziwą rozkoszą dać się zwabić i zamordować na Llano i ani nam się śni pozbawić ich tej przyjemności. Spełniliśmy nasz obowiązek, a teraz musimy myśleć o sobie. Tu rozchodzą się nasze drogi. Wyruszycie wcześniej od nas, a mianowicie natychmiast. Jedźcie za waszym Indianinem! Ale strzeżcie się przed skierowaniem na nas lufy karabinu! Umiemy obchodzić się z ludźmi waszego pokroju. Wyloty naszych strzelb są na odpowiedniej wysokości. Jeszcze jedno słowo lub podejrzany ruch z waszej strony, a strzelamy! Odwróćcie się, zawieście strzelby przy siodłach i wsiadajcie! Żegnajcie i nie pokazujcie się nam więcej na oczy!

Jemmy, mówiąc to, stał tuż przy Davym i obaj trzymali strzelby gotowe do strzału.

— Mister Jemmy! — zawołał Stewart z wściekłością. — Tak się nas nie pozbędziecie! Jesteśmy...

— Łajdakami jesteście! — przerwał mu Davy podniesionym głosem. — Mamy cztery strzały, was jest pięciu, ostatniego zabijemy kolbą. A teraz oświadczam: ten, który się jeszcze raz odezwie, dostanie kulę w łeb. A więc precz! Jeżeli po upływie minuty jeszcze tu będziecie, to już po was!

Zostało to powiedziane tonem, nie dopuszczającym żadnej wątpliwości. Zbóje usłuchali w bezsilnej wściekłości. Odwrócili się, zawiesili strzelby na łąkach, wsiedli na konie i odjechali w milczeniu. Jeden z nich miał za sobą przytroczone siodło z przyborami, zdjęte z martwego konia.

Dopiero kiedy ich konie ostrym klusem pokonały spory odcinek drogi, pozwolili zwierzętom iść stępa i odwrócili głowy. Zobaczyli, że Davy i Jemmy stoją jeszcze w tym samym miejscu, nie trzymając ich już jednak na muszce. — Niech skonam! — zgrzytnął Stewart zębami. — Coś takiego jeszcze mi się nie zdarzyło. Pięciu mężczyzn, którzy się nawet diabła nie boją, musi umykać przed tymi dwiema małpami! Gdybyż można było wiedzieć, co teraz zrobią.

— To łatwo odgadnąć — odezwał się jeden z rabusiów. — Pojadą za kupcami, żeby ich ponownie ostrzec.

— Bardzo w to wątpię, gdyż poprzednie ich ostrzeżenie puścili mimo uszu. Musimy jednak przedsięwziąć odpowiednie kroki i pojechać na południe. Skoro tylko zobaczymy obozowe ogniska emigrantów, zatrzymamy się i w pewnej odległości od obozu wystawimy posterunki, których linię wolno będzie przekroczyć tylko naszemu Tobiasowi Preisegott Burtonowi, kiedy przybędzie z farmy Helmersa. Emigranci nie śmia naturalnie nic wiedzieć o naszej obecności. Gdyby ci dwaj nędznicy, wbrew memu oczekiwaniu jednak się tam zjawili, zastrzelimy ich po prostu. Indianinowi musimy oczywiście pozwolić ujść, chociaż z prawdziwą przyjemnością byłbym mu odebrał konia. Ten wierzchowiec, między nami mówiąc, wart był trzysta dolarów, a może nawet więcej.

— Właściwie było nonsensem zadzierać z czerwonoskórymi z powodu dwóch koni. Jeden został zastrzelony, a drugi uciekł. Nam natomiast traperzy depczą po piętach. Zanocują w pobliżu, a jutro rano jak się rozwidni, podążą naszymi śladami. Wówczas natkną się na emigrantów i obrócą w niwecz nasz wspaniały plan.

— Nie, nie zrobią tego. Zostali przez kupców obrażeni i nie zechcą się więcej o nich troszczyć. W każdym razie udadzą się najpierw na farmę Helmersa, gdzie opowiedzą o spotkaniu z nami. Nie możemy niestety przewidzieć, co tam zostanie postanowione. Nie pozostaje

nam nic innego, jak namówić Burtona do wyruszenia już o świcie i przebycia przez dzień porządnego szmatu drogi, żeby emigranci jak najszybciej i jak najdalej stąd odeszli. My natomiast znikniemy jeszcze wcześniej.

Bandyty jechali jeszcze kawałek drogi na zachód i skierowali się potem na południe.

Jemmy i Davy opuścili swoje karabiny dopiero wtedy, kiedy rozbójnicy znaleźli się poza zasięgiem strzału. Następnie „Gruby”, rozwarłszy jeszcze szerzej swoje i tak już zbyt szerokie usta, zaśmiał się zadowolony i zapytał: — No, mój stary Davy, jak ci się to podobało?

— Tak samo wyśmienicie jak tobie — odpowiedział zapytany, śmiejąc się wesoło.

— Czy wierzysz, że kupcy rzeczywiście zgubili pieniądze?

— Ale gdzie tam. Odjechali na południe. Dlaczego i po co, to już nas nie obchodzi. Ostrzeżliśmy ich. Nie jesteśmy zobowiązani troszczyć się o nich nadal. Uważali się za bardzo roztropnych i mądrych. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy narzucać się im z pomocą. Myślę, że ten biedny Indianin bardziej potrzebuje naszej pomocy i jest jej także godniejszy.

— Oczywiście! Poszukamy go więc?

— Tak. Wiemy, w którym kierunku pojechali; tam na pewno, w okolicę starej kopalni srebra. Ten głupi kawał z dwoma kamykami, któreśmy sami rozdeptali, posłużył nam przecież tylko jako środek do wprowadzenia w błąd tych hultajów. Widziałem wyraźnie krople krwi i dziwiłbym się, gdybyśmy Indianina nie znaleźli w kopalni.

Traperzy opuścili miejsce, na którym tak długo zabawili, lecz nie dosiedli swych wierzchowców, ponieważ zapadał wieczór i oglądanie gruntu pod nogami sprawiało już wielkie trudności.

Kiedy już uszli kawałek drogi zauważyli jakiś przedmiot na ziemi. Była to czerwona, starannie wyciosana w glinie główka fajki pokoju. Jemmy podniósł ją, włożył do kieszeni i rzekł zadowolony: — Jesteśmy na właściwym tropie. Ta główka odpadła z cybucha. Wkrótce się dowiemy, czy jest własnością starego, rannego, czy też młodego Indianina.

— Uważam, że starego. Młody nie mógł być chyba jeszcze tam u góry, w Minnesocie, aby ze świętych kamieniołomów przynieść sobie glinę do swoich fajek.

— Mógł ją zdobyć jako łup. Zdobyta może bowiem używać, natomiast nie wolno mu używać odziedziczonej.

— Czy kiedykolwiek jakiś Indianin odziedziczył fajkę? Kładzie się ją przecież zazwyczaj zmarłemu do grobu.

— Istnieją plemiona, które tego już tak dokładnie nie przestrzegają. Zresztą, sądząc z totemu wyrzytego na główce fajki, jej właściciel musi być wodzem Komanczów. Dobrze, że znamy narzecze tego plemienia.

Skalisty teren zaczął się wznosić. Dwaj myśliwi mieli teraz z lewej strony ścianę skalną, a po prawej liczne i dość daleko rozsiane głązy, między którymi żaden człowiek, a tym bardziej koń nie mógłby się poruszać. Tam, którędy szli dwaj traperzy, było jedyne miejsce, możliwe do przebycia. Przyjęli więc za pewne, że Indianie także tędy jechali.

Niebawem stanęli przed wysoką, ciemną hałdą płonnego urobku. Było to rumowisko skalne, które wybrano z kopalni i wyrzucono przed nią. Wysokości hałdy nie mogli ocenić, ponieważ się tymczasem ściemniło.

Traperzy popuścili koniom cugli i okręcili lejce wokół dwóch ciężkich głazów. Sami zaczęli się wspinać na hałdę. Nie starali się przy tym unikać hałasu, lecz przeciwnie — zależało im na tym, żeby było słychać skrzypienie piasku i kamieni pod ich stopami. Co parę kroków zatrzymywali się, żeby nasłuchiwać. Należało przecież dowiedzieć się, czy u góry jest ktoś, kogo trzeba koniecznie zawołać, zanim posłużą się swoją bronią.

Podczas takiej przerwy na nasłuchiwanie posłyszeli szelest toczącego się kamyka.

— Stuchaj! — szepnął Jemmy. — Słusznie przypuszczaliśmy, że Indianie są tam u góry. Mają się na baczności. Ranny, o ile jeszcze żyje, leży zapewne w środku kopalni. Miody Indianin natomiast trzyma straż na hałdzie. Przemów do niego, Davy!

Davy spełnił polecenie, wołając do góry wyraźnie, lecz niezbyt głośno: — *Tuinuthpuk, kewanawuitschki, nennetpa haitsch* — Młody wojownik nie strzelaj, jesteśmy twoimi przyjaciółmi!

Czekali na odpowiedź. Po dłuższej chwili usłyszeli pytanie: — *Husihakard* — Kto idzie? — Były to tylko cztery krótkie sylaby, lecz zdradzały tego, który stał u góry; obydwie słowa pochodziły bowiem z narzecza dziko włóczących się Komanczów.

— *Waha tschat tabutäwo*. — Dwaj dobrzy biali mężowie — odpowiedział Davy.

— *Minam mististschi!* — Wejdźcie tu! — odezwał się po chwili głos z góry.

Traperzy wdrapali się. Kiedy dosięgli skraju hałdy, zobaczyli mimo ciemności postać ludzką, stojącą przed nimi z fuzją przygotowaną do strzału.

— *Newarn, unmachkutschine!* — Stójcie, bo strzelam! — rozkazał Komancz.

Myśliwi poznali po sylwetce, że jak oczekiwali mają istotnie przed sobą młodego Indianina. Davy uspokoił go: — Mój młody czerwony brat nie potrzebuje strzelać. Przyszliśmy mu pomóc.

— Czy biali mężowie są sami?

— Tak.

— Czy szli za śladem mojego konia?

— Przybyliśmy niespodzianie na miejsce walki i ze śladów odczytaliśmy, co się stało. Potem podążyliśmy za twoimi śladami oraz za śladami waszych wrogów, aby was przed nimi uchronić.

— Czy biały człowiek mówi prawdę?

— Ja nie kłamię. Na znak, że przyszliśmy jako twoi przyjaciele, złożymy teraz całą naszą broń, aby porozmawiać z wami po przyjacielsku. Potem postanowisz, czy mamy ją sobie znowu wziąć, czy nie.

Traperzy złożyli natychmiast całe swoje uzbrojenie na ziemię.

Czerwonoskóry trzymał jednak ciągle jeszcze fuzję wycelowaną w nich i rzekł: — Blade twarze mają miód na wargach, lecz żółć w sercu. Odkładają broń, żeby wzbudzić zaufanie. Potem jednak przybędą ich trzej kompani, aby wnieść śmierć na górę.

— Uważasz nas więc za dwóch z tych, którzy was ścigali? Mylisz się.

— To powiedzcie mi, gdzie się tych pięciu mężczyzn znajduje! Skoroście ich śledzili, musicie to wiedzieć.

— Spotkaliśmy ich, kiedy tam w dole na skale szukali twoich śladów, które zgubili. Rozmawialiśmy z nimi wpierw uprzejmie, ażeby ich zmylić. Nie mogli odszukać twoich śladów. My jednak zauważyliśmy natychmiast krople krwi, pochodzącej z rany twego towarzysza. Przemilczeliśmy to jednak i naprowadziliśmy ich na fałszywy trop, za którym pojechali na zachód. Powiedzieliśmy im, że mamy ich za rozbójników i morderców i skierowaliśmy na nich lufy naszych karabinów, tak jak ty to robisz teraz w stosunku do nas. Musieli więc haniebnie odejść.

— Dlaczegoście ich nie zabili?

— Bo nie wyrządzili nam żadnej krzywdy. Strzelamy do wroga tylko wtedy, gdy jesteśmy do tego zmuszeni.

— Wypowiadacie słowa dobrych ludzi. Moje serce nakazuje mi wam wierzyć. Jednak jakiś ostrzegawczy głos wewnętrzny każe mi być ostrożnym.

— Życzymy ci dobrze. Ślady wskazują, że twój towarzysz jest ranny. Dlatego przyszedliśmy tu, żeby ci zaoferować pomoc. Jeśli jej sobie nie życzysz, zaraz odejdziemy, gdyż nie mamy zwyczaju narzucać się nikomu.

Minęła chwila, a Indianin nie odpowiadał. Zdawał się namyślać. Potem oświadczył: — Nie potrzebuję waszej pomocy. Możecie odejść.

— Dobrze, opuścimy cię więc i życzymy tylko, żebyś tego nie żałował. Kładziemy tu jeszcze zgubioną przez was główkę fajki, którą znaleźliśmy.

Davy i Jemmy zebrali swoją broń i zaczęli schodzić z hałdy.

Nie uszli daleko, kiedy Davy przystanął i cicho zapytał: — Nie słyszałeś nic, stary Jemmy? Wydało mi się, jakby tam na prawo od nas stoczył się kamyk.

— Nic nie słyszałem.

— A ja nawet wyraźnie. Bądźmy ostrożni. — Schodzili dalej. Kiedy stanęli już u podnóża hałdy, wyrosła przed nimi nagle ciemna postać.

— Stój, chłopcze! — zawołał Jemmy, składając się do strzału. — Ani kroku dalej, w przeciwnym razie strzelam!

— Dlaczego blada twarz chce strzelać, skoro przyszedłem w przyjaznych zamiarach? — doszły go słowa Indianina.

Jemmy poznał głos czerwonoskórego, z którym przed chwilą rozmawiali. — To ty jesteś? — zapytał. — Schodziłeś równocześnie z nami. Dlatego więc Davy postyszał staczanie się kamienia! Musiałeś go strącić nogą. Czego tutaj chcesz?

— Chciałem się przekonać, czy mowa białych ludzi jest prawdziwa. Ponieważ postąpiliście zgodnie z moim życzeniem, niczego przeciwko mnie nie przedsięwzięjąc, uważam, że przeszliście przez próbę z wynikiem pozytywnym. Nie należycie do moich prześladowców i proszę was, żebyście weszli ze mną z powrotem na górę, by zobaczyć Tevua-schohe, mojego ojca.

— Tevua-schohe, „Gwiazda Ognista”, słynny wódz Komanczów jest tutaj? — zdziwił się Davy.

— Tak, lecz nie żyje. Jestem Schiba-bigk, jego najmłodszy syn, i pomszczę go. Blade twarze zechcą pójść za mną.

Wspinał się pierwszy na hałdę, a myśliwi wdrapywali się za nim. U góry skierował się ku ścianie skalnej i wszedł do otworu w gładzi. Było to wejście do starej opuszczonej kopalni srebra.

Lekki zapach dymu podrażnił ich nozdrza. Weszli w ganek. Po jakichś trzydziestu krokach ujrzeni płomień małego ogniska. Obok leżała wiązka mozolnie nazbieranego drewna. Nikły płomień służył tylko do oświetlenia zmarłego, opartego o ścianę w pozycji siedzącej.

Żelazne Serce odłożył swoją strzelbę i usiadł na ziemi naprzeciwko zmarłego. Włożył w ogień gałązkę, podciągnął kolana i oparł o nie brodę. W tej pozycji wpatrywał się bez słowa w nieżyjącego.

Obaj westmami asystowali przy tym milcząco. Znali indiańskie zwyczaje i wiedzieli, że każde wypowiedziane teraz słowo obraziłoby Indianina, oplakującego swojego drogiego zmarłego. Twarze obydwóch Indian nie były pomalowane, co oznaczało, że podróżowali bez wrogich zamiarów. Zmarły był pięknym mężczyzną. Wiadomo, że Komancze i Apacze wyróżniają się wśród plemion indiańskich urodą i postawą. Nawet po śmierci oblicze tego Komancza błyszczało jak jasny brąz. Jego oczy były zamknięte, a mocno zaciśnięte usta świadczyły o tym, że śmierć miał bardzo bolesną. Dolna część jego indiańskiej koszuli myśliwskiej była rozpięta, tak że widać było miejsce, w którym utkwiała kula wroga. Jego ręce leżały konwulsyjnie zaciśnięte na udach. Był to jeszcze jeden dowód męczarni, jakie cierpiał w ostatnich chwilach swego życia.

Dopiero po dłuższym czasie usiedli na ziemi również Jemmy i Davy, i to tak cicho, cichutko, jakby się obawiali, że najmniejszym szelestem zakłócają spokój umarłego. Bliskość nieżyjącego człowieka działa prawie zawsze jak widok rzeczy świętej. Nabożny dreszcz ogarnia śmiertelnika w chwili, w której odczuwa tchnienie wieczności.

Wtem Schiba-bigk uniósł głowę, spojrzął na obydwóch myśliwych i rzekł: — Słyszeliście o „Gwieździe Ognistej”, wodzu Komanczów? To wiecie zapewne, że był dzielnym wojownikiem?

— Tak — potwierdził Jemmy. — Poznaliśmy wodza natychmiast, kiedy go tu zobaczyliśmy. Zetknęliśmy się z nim nad rzeką Rio Boxo, gdzie wybawił nas z opresji, w jakiej się wówczas znaleźliśmy.

— Nie potrzebuję was więc przekonywać, że będzie panować nad wielu wojownikami w Krainie Wielkich Łowów. Ale Manitou nie odwołał go podczas walki. Wódz Komanczów został zamordowany.

— Jak to się stało i dlaczego znaleźliście się tutaj?

— Byliśmy w głębi kraju bladych twarzy. Wojownicy Komanczów zakończyli spory z białymi i żyli z nimi ostatnio w pokoju. Nie potrzebowali się więc obawiać niczego i mogli być w miastach białych ludzi. Gwiazda Ognista polował w gronie Komanczów nad rzeką Rio Pecos. Tam napotkali białych, którzy wybierali się do dalekiego miasta, zwanego Memphis. Ponieważ droga, prowadząca do tej miejscowości nie była zbyt pewna, gdyż często po niej kręcili się inni czerwoni ludzie, poprosili Gwiazdę Ognistą o doświadczonego przewodnika. Mój ojciec postanowił osobiście im towarzyszyć i zabrać mnie ze sobą, abym poznał miasta i domy białych ludzi. Do Memphis przybyliśmy wszyscy szczęśliwie, a potem my dwaj wracaliśmy sami. Dziś po południu natknęliśmy się na morderców. Zażądali od nas koni. Po naszej odmowie jeden z nich strzelił mojemu ojcu w brzuch. Koń wodza spłoszył się i pognął przed siebie. Musiałem jechać za nim, ponieważ ojciec był ciężko ranny. Dlatego nie mogłem stanąć do walki z bladymi twarzami. Skoro widzieliście ślady, to wiecie, co się potem stało.

— Tak, jednego z nich zabiłeś i oskalpowałeś.

— Zgadza się. Skalp wisi tu przy moim pasku. Ale zdobędę także skalpy pozostałych. Przez noc będę ojca oplakiwał i zaśpiewam mu pieśń żałobną, jaką śpiewa się zmarłym wodzom. Rano pochowam go na razie wśród tych gładzi, a później pójdę po wojowników Komanczów, którzy wzniosą bohaterowi grobowiec godny jego dzielności i dostojności. Jak tylko pochowam zmarłego, odszukam ślady morderców i zapewniam was: Schiba-bigk nie jest jeszcze sławnym wojownikiem, ale jest synem sławnego wodza i biada bladym twarzom, jeśli ich ślady odkryje. Będą zgubieni!

Wstał, podszedł do zmarłego ojca, położył mu rękę na głowie i mówił dalej:

— Blade twarze przysięgają; Komancz jednak mówi bez przysięgi. Zapamiętajcie więc, co powiem: Kiedy zostanie wzniesiony grobowiec Gwiazdy Ognistej, na jego szczycie zawisnie sześć skalpów. Powiedział to Żelazne Serce i tak się stanie!

## 5. SZPIEG

Następnego dnia około południa Helmers, Juggle-Fred i Hobble-Frank siedzieli znów razem przed domem przy jednym ze stołów. Boba przy nich nie było. Siedział w stajni u Herkulesa, czarnego służącego farmera.

Trzech mężczyzn przed domem od wczoraj łączyła zażyła przyjaźń. Rozmawiali żywo o wczorajszym zdarzeniu i jego krwawym zakończeniu. Nic więc dziwnego, że rozmowa zesłała na niejedną sprawę mającą związek ze śmiercią, w końcu nawet na upiory. Helmers i Fred byli stanowczo zdania, że jest niemożliwe, aby dusza zmarłego powracała i stawała się widoczna. Frank jednak bronił wiary w upiory i kiedy tamci dwaj nadal wątpili, zawołał gniewnie: — Na was dwóch nie ma rady. Gdybym był nieboszczykiem, to bym was dziś o północy wystraszył. To by was przekonało!

— Daj nam dowód, choćby jeden jedyny! — śmiał się Fred. — Wtedy ci uwierzemy.

— Dowód? Nonsens! Dowody niczego nie dowodzą! Słowo „upiór” istnieje, a więc straszysz. To przecież jasne. Moritzburski nauczyciel, któremu zawdzięczam wykształcenie, także wierzył w duchy. Dlatego muszę...

Frank przerwał, gdyż zobaczył zbliżającego się jeźdźcę w mundurze oficera dragonów Stanów Zjednoczonych.

Nadjeżdżał ostrym galopem z południa i zatrzymał konia przed trzema mężczyznami.

— Dzień dobry, dżentelmeni! — pozdrowił. — Jestem zapewne na farmie, którą zowią domem Helmersa?

— Tak, sir — odrzekł Helmers. — Jestem człowiekiem, do którego ten dom należy.

— Helmers osobiście? Cieszę się, że was spotykam, ponieważ przybywam zasięgnąć informacji.

— W jakiej sprawie?

— Tego nie da się tak szybko powiedzieć. Pozwólcie mi usiąść przy was na chwilę!

Oficer zsiadł z konia i zajął miejsce przy stole. Wszyscy trzej bacznie mu się przyglądali. Był silny i krępy i miał gęstą czarną brodę. Jego wzrok był ostry i kłujący. Jego warg nie można było zobaczyć, gdyż nosił szczesane w dół wąsy.

— Jestem kapitanem. Nazywam się Gordon Benyon i że tak powiem pełnię tu rolę zwiadowcy — rozpoczął lekkim tonem. — Nasza jednostka stoi w forcie Sili i zamierza pojechać na pustynię Llano Estacado.

— Dlaczego? — zapytał Helmers.

— Rząd federalny otrzymał wiadomość, że na pustyni popełnione zostały w ostatnim czasie liczne przestępstwa. To wymaga nareszcie surowej kary. Przestępstwa te dziwnie się ze sobą wiążą. Trzeba więc przyjąć, że mamy do czynienia z dobrze zorganizowaną bandą. Postanowiono ją zlikwidować. Dwa szwadrony dragonów otrzymały rozkaz, aby oczyścić pustynię z wszelkiej podejrzanej hołoty. Mnie wysłano naprzód, żebym zebrał informacje i nawiązał kontakty z ludźmi mieszkającymi w pobliżu pustyni. Jesteśmy naturalnie przekonani, że każdy uczciwy człowiek nas poprze.

— To się samo przez się rozumie, kapitanie Benyon! Cieszę się, że przyjechaliście do mnie i możecie być pewni, że będę waszą akcją popierał według moich możliwości. John Helmers znany jest jako ten, na którym każdy dobry człowiek może polegać.

— Słyszałem o tym i dlatego tu jestem.

Helmers obdarzył oficera pełnym zaufaniem. Opowiedział mu wprawdzie, czego się dowiedział od kupca, a następnie o wczorajszym pojedynku i śmierci obcego człowieka.

Benyon słuchał uważnie. Nie drgnął mu ani jeden mięsień twarzy, lecz oczy jego błyszczały. Helmers sądził, że to z powodu przejęcia się opisem walki. Uważniejszy obserwator byłby jednak zauważył, że błyski w oczach spowodowane były złością i nienawiścią.

Zacisnął pięść na rękojeści szabli i w pewnym momencie wydawało się nawet, że zgrzytnął zębami. Poza tym jednak zachował spokój i starał się nie okazywać niczego poza napiętą uwagą.

Skończywszy opowiadanie, Helmers rozwodził się jeszcze nad ogólną sytuacją w tej okolicy, nad niebezpieczeństwami pustyni Llano Estacado i wreszcie stwierdził, że przejazd dwóch szwadronów żołnierzy przez pustynię uważa za niezmiernie trudny. Będzie im brakowało paszy, a przede wszystkim wody. Aby zaś dobrze zaopatrzyć ludzi i zwierzęta, należało zabrać wiele zwierząt jucznych, co z kolei opóźniałoby wyprawę.

— Może macie rację — rzekł oficer. — Mnie to nie obchodzi, gdyż jest to sprawa dowódcy. Ale powiedzcie mi, sir, jak się właściwie przedstawia sprawa z tym upiorem pustyni Llano Estacado! Tyle się nasłuchałem o tej niepojętej istocie, ale niczego pewnego nigdy się nie mogłem dowiedzieć.

— To jesteście w takiej samej sytuacji, jak ja i wszyscy inni. Każdy słyszy o upiorze, ale nikt nie wie o nim nic pewnego. Tym, co wiem, mogę się z wami podzielić w krótkich słowach. Upiór Llano Estacado jest tajemniczym jeźdźcą, którego jeszcze nikt z bliska nie widział. Właściwie byłoby powiedzieć: każdy, kto zobaczył jego twarz, natychmiast ginął od kuli, która trafiła go w sam środek czoła. Zadziwiające jest to, że wszyscy ci zastrzeleni byli przestępcami, którzy grasowali na pustyni, czyniąc ją niebezpieczną. Z tego można wnioskować, że upiór jest osobą, która przyjęła na siebie zadanie karania przestępców za zbrodnie popełnione na pustyni.

— A więc to człowiek?

— Naturalnie!

— Ale jak to robi, że jest równocześnie wszędzie i pozostaje nieuchwytny? Musi przecież jeść i pić i mieć paszę i wodę dla swojego wierzchowca! Skąd to bierze?

— Tego właśnie nikt nie może pojąć.

— A jak to robi, żeby nikogo nie spotkać?

— Hm! Pytacie mnie naprawdę za wiele, sir. Widziano go, lecz tylko z daleka. Pędzi na koniu jak gnany wichrem. Często przed nim i za nim przyskają iskry. Mój znajomy spotkał go kiedyś nocą. Ten człowiek twierdzi, że mógłby przysiąc, iż głowę, ramiona, łokcie, łufę karabinu jeźdźcy, a tak samo pysk, uszy i ogon konia otaczały maleńkie płomyki.

— To przecież nonsens!

— Tak by należało sądzić. Ale mój znajomy jest człowiekiem miłującym prawdę, z ust którego nie usłyszałem jeszcze żadnego kłamstwa ani blagi.

Wtem zabrał głos Hobble-Frank. Mówił po angielsku, a więc prosto i rzeczowo jak wszyscy. Tylko kiedy mówił po niemiecku, mowa jego stawała się kwiecista.

— Otóż to! — zawołał. — Nikt nie chce wierzyć w istnienie zjawisk nadprzyrodzonych. Ja uważam, że duch pustyni Llano Estacado jest upiorną istotą, pozostałą po furiach starożytnej Grecji, i schronił się na Llano jak stary emigrant w izdebce na poddaszu. Chętnie wierzę, że otacza się płomykami i przyska iskrami. My zwykli śmiertelnicy wypuszczamy dym tytoniowy z ust całymi kłębami.

Dlaczegoż więc duch nie mógłby pluć ogniem?

— Ale czy duch może strzelać z karabinu? — spytał Benyon, obrzucając Hobble-Franka pogardliwym wzrokiem.

— Dlaczegożby nie? W budzie jarmarcznej widziałem kiedyś kure, która strzelała z małej armatki. Co jest możliwe dla kury, to tym bardziej musi być możliwe dla upiora.

— Posługujecie się, sir, osobliwą argumentacją. Nie wykazujecie przy tym wiele rozsądku ani bystrości.

Te słowa mocno Franka dotknęły. Odpowiedział ostro: — To na pewno jest prawdą. Mam jednak swoje powody, żeby nie mówić tak uczenie, jak bym właściwie mógł. Patrząc bowiem na waszą twarz, obawiam się, że w ogóle byście mnie nie rozumieli, gdybym użył dowcipnych zwrotów.

— Sir! — oburzył się oficer! — Jak śmiecie naśmiewać się z kapitana dragonów Stanów Zjednoczonych?

— Phy! Nie denerwujcie się! Wyście wpierv mnie obrazili, musicie więc spokojnie przełknąć moją odpowiedź, jeśli tego nie chcecie, to jestem gotów załatwić sprawę przy pomocy kuli z karabinu.

Było widać, że oficera kosztowało wiele trudu, aby opanować wściekłość; udało mu się jednak odrzec spokojnym tonem: — Byłoby mi przykro, gdybym was musiał zastrzelić. Umiem się co prawda doskonale obchodzić z bronią, nie jestem jednak żadnym awanturnikiem i biję się tylko z oficerami. Byłoby to zresztą niesłychaną niegrzecznością wobec pana Helmersa, gdyby w jego domu doszło do przelania krwi. Mam zamiar pozostać tu aż do przybycia moich żołnierzy i dlatego zależy mi na tym, żeby w tym domu panował pokój.

— Jestem wam za to wdzięczny, sir — włączył się Helmers. — Jeśli chcecie czekać u mnie, to wydam polecenie, żeby przygotowano dla was pokój, a dla waszego konia znajdzie się dobre miejsce w stajni.

Wstał, oficer również i obydwoj udali się z koniem do stajni. Później gospodarz wrócił sam i oznajmił dwom myśliwym, że Benyon pozostał w swoim pokoju, żeby wypocząć. Helmers cieszył się obecnością tego gościa i zapowiedzianym przybyciem dragonów. Frank jednak, pokręciwszy głową, powiedział po niemiecku:

— Mnie się ten człowiek wcale nie podoba. Ma coś takiego w twarzy, co obraża moje poczucie subtelności. Jego oczy wyglądają jak dwa oka tłuszczu na chudym rosole. Patrzą na człowieka złośliwie, a za tym spojrzeniem nie kryje się żadna mądrość. Nie chciałbym go wystawiać na próbę, czy jest uczciwym człowiekiem. Wątpię, czy potrafiłby wymówić hasło „Schiebebock”.

— Schiebebock? Dlaczego właśnie to słowo? — zapytał Juggle-Fred.

— Ty tego nie wiesz, mając takie przygotowanie? To słowo, które właściwie znaczy tyle co taczka, odegrało potężną rolę wówczas, kiedy Hunowie za czasów cesarza Temistoklesa chcieli zdobyć Łabę. Hunowie wieźli mianowicie cały swój ekwipunek na taczkach. Chcieli przejść przez rzekę nierozpoznani, podali się więc za brazylijskich Arabów. Nad rzeką stał jednak stary marszałek polny Derfflinger i kazał każdemu, kto chciał przejść, wymówić słowo *Schiebebock*. Kto tego nie potrafił, temu po prostu szabłą ścinano głowę. Ponieważ Hunowie nie umieli bez wysiłku wymówić „sz”, wszyscy wymawiali *Siebebock* i utracili głowy.

Dwaj słuchacze wpatrywali się w mówiącego z ogromnym zdziwieniem. Nie wiedzieli, czy się śmiać, czy płakać. — Ależ Frank! — zawołał wreszcie Fred. — Coś ci się pomyliło! *Schiebebock*! Pewnie masz na myśli słowo *Schiboleth*, którego Gileadczyzy domagali się od dzieci Efraima, jak zapisano w *Księdze Sędziów*?

— *Tacet!* albo też, ponieważ nie rozumiesz po hebrajsku, powiem ci to wyraźnie: zamknij jadaczkę! Pragnę cię ostrzec, Fred. Jeśli moje słowa nic już nie pomagają, to przystąpię do czynu. Po następnej obraźliwej Sofonisbie, będę się z tobą strzelał. Moja kula powali cię i taki będzie twój los, jak tego robotnika leśnego z Górnej Bawarii, który wieczorem przyszedł martwy do domu.

— Nie znam go.

— Tak sądzę, bo ty w ogóle nic nie wiesz. Ten robotnik leśny został zabity przez dąb, który zamierzał ściąć. Stolarz wiejski wykonał dla niego tablicę pamiątkową, pokrył ją ładnie zieloną farbą, na tym tle namalował drwala i dąb, a pod spodem umieścił następujący wiersz:

Szczęśliwy, nie stroskany

wyszedłem wczesnym ranem

do mojej pracy w bór.

nagle mnie dąb przygniata

i ach, pod koniec dnia już

w dom smutny mój powraca trup!

Franka tak poniosło natchnienie, że jeszcze by pewnie swej perory nie zakończył, gdyby mu nie przerwano. Mianowicie Helmers wskazał na północ i kiedy wszyscy skierowali tam wzrok, zobaczyli zbliżającego się jeźdźca. Hobble-Frank szybko powstał z ławki i zawołał: — Old Shatterhand!

Juggle-Fred przysłonił ręką oczy od słońca, wpatrzył się w nadjeżdżającego i rzekł pełen radości: — A więc jednak! Tak dawno marzyłem o tym, żeby go poznać!

Wstał tak samo jak Helmers i z uszanowaniem powitał sławnego westmana, który właśnie zeskoczył ze swojego wspaniałego karego ogiera. Myśliwy natychmiast podszedł do Helmersa, wyciągnął rękę na powitanie i powiedział po niemiecku: — Przypuszczam, że zapowiedziano panu mój przyjazd, panie Helmers. Mam nadzieję, że nie przybyłem nie w porę.

Helmers potrząsnął jego prawicę i odrzekł: — Hobble-Frank mi oczywiście powiedział, że pan przybędzie i ta wiadomość sprawiła mi niezmierną radość. Oddaję panu swój dom do dyspozycji. Niech się pan rozgości i pozostanie u mnie tak długo, jak tylko możliwe!

— Długo niestety nie mogę pozostać. Muszę przeprowić się przez pustynię Llano Estacado, żeby po drugiej stronie spotkać się z Winnetou.

— O tym także powiedział mi Frank i chciałbym jechać z panem, żeby zobaczyć wodza Apaczów. Ale proszę mi powiedzieć, skąd pan mnie zna! Zwrócił się pan do mnie od razu po nazwisku.

— Czy sądzi pan, że potrzeba szczególnie bystrogo umysłu, żeby poznać w panu właściciela domu Helmersa? Ma pan na sobie strój domowy i wygląda pan dokładnie tak, jak mi pana opisano.

— To pan się o mnie dowiadywał?

— Oczywiście. Na Dzikim Zachodzie wskazane jest, żeby możliwie wcześniej poznać ludzi, których się chce odwiedzić. Dowiedziałem się, że pan jest Niemcem i dlatego odezwałem się do pana w naszym ojczystym języku. Czy wolno mi zapytać, kim jest ten drugi pan?

— Nazywają mnie zwykle Juggle-Fred — przedstawił się były sztukmistrz. — Jestem panie zwyczajnym włóczęgą stepowym i nie śmiem przypuszczać, że moje nazwisko jest panu znane.

— Dlaczego nie? Kto się tak długo jak ja włóczył po Zachodzie, ten chyba musiał słyszeć o Juggle-Fredzie. Pan jest dzielnym tropicielem śladów, a co ważniejsze, dobrym człowiekiem. Oto moja ręka. Bądźmy dobrymi kolegami, jak długo los zezwoli nam być

razem! Jakkolwiek na Dzikim Zachodzie nie liczą się różnice społeczne, to jednak zgodnie ze zwyczajem do wybitnych myśliwych każdy odnosi się ze szczególnym szacunkiem.

Ze szczęśliwie uśmiechniętej twarzy Freda przebijała duma, jaką odczuwał, że Old Shatterhand w ten sposób go wyróżnił. Ujął podaną mu rękę, serdecznie ją uściskał i odrzekł: — Jeśli pan mówi o koleżeństwie, to jest to dla mnie zaszczytem, na który muszę dopiero zasłużyć. Chciałbym być przy panu jak najdłużej, żeby się od pana uczyć. Ja także noszę się z zamiarem przebycia Llano Estacado. Byłbym panu wdzięczny, gdyby mi pan pozwolił przyłączyć się do siebie.

— Bardzo chętnie, sir. Przez Llano Estacado najchętniej jedzie się w licznym towarzystwie. Oczywiście przyjmuję, że jeden nie będzie musiał czekać na drugiego. Kiedy pan chce wyruszyć?

— Zostałem zwerbowany na przewodnika przez pewną grupę poszukiwaczy diamentów. Ci ludzie mają się tu dzisiaj zjawić.

— To mi odpowiada, gdyż chcę jutro jechać dalej. Ponieważ wspomniał pan o poszukiwaczach diamentów, przypuszczam, że chcą zapewne jechać do Arizony?

— Zupełnie słusznie!

— No to zobaczy pan pewnie także Winnetou. Miejsce, w którym mam się z nim spotkać, leży na pańskiej drodze.

Tymczasem podszedł rozpromieniony Murzyn Bob, żeby się przywitać z Old Shatterhandem i zająć się jego koniem Hatatitlą. Potem wszyscy usiedli, a Helmers wszedł do domu, aby zamówić smaczną przekąskę dla swoich gości. Napoje przyniósł zaraz ze sobą i teraz siedzieli wszyscy razem, omawiając wydarzenia poprzedniego dnia. Należało się bowiem z nimi zapoznać.

Oficer dragonów powiedział, że chce wypocząć. Kiedy jednak znalazł się w przydzielonym mu na poddaszu pokoju, bynajmniej nie wypoczywał. Zamknął drzwi na zasuwkę i w zamyśleniu chodził po pokoju tam i z powrotem. Okno pokoju wychodziło na północ i dlatego mógł widzieć przybycie Old Shatterhanda. Stał przy oknie i obserwował myśliwego.

— Kim może być ten człowiek i dokąd zamierza się wybrać? — pytał sam siebie. — Prawdopodobnie ma również zamiar przebyć Llano Estacado. To jest zastanawiające. Ma wspaniałego konia i robi wrażenie, że jest westmanem. Jeśli natrafi na ślad niemieckich emigrantów, może nam zepsuć całą sprawę. Już przed tym Juggle-Fredem trzeba się mieć na baczności. Całe szczęście, że kupcy diamentów nie przybędą na farmę. Będzie tu czekał na nich zbyt długo, aby nam mógł jeszcze zaszkodzić. Muszę tego nowego przybysza także nakłonić, żeby tu został, dopóki nasz plan nie zostanie wykonany.

Oby tylko ci dwaj wczoraj spotkani nie znaleźli się tu zbyt szybko i nie udaremniłi naszego planu!

Benyon odczekał jeszcze chwilę, a potem zszedł, aby się przyłączyć do mężczyzn, którzy siedząc przed domem zajęci byli jędem.

Ten rzekomy oficer dragonów był w rzeczywistości przebrany sęmem pustyni Llano Estacado, a mianowicie nikim innym, lecz Stewartem, który poprzedniego dnia zaczął i ścigał owych dwóch Komanczów, a potem spotkał Dave'ego i Jemmy'ego.

Old Shatterhand został tymczasem dokładnie poinformowany o wydarzeniach poprzedniego dnia, a Helmers wspomniał o przybyciu oficera. Wtem pojawił się Stewart i Helmers kontynuował: — Właśnie kapitan nadchodzi. Może więc sam opowiedzieć, w jakim celu się tu znalazł. Hola, żono, jeszcze jeden talerz dla oficera!

To zdanie skierowane zostało do gospodyni domu, która pojawiła się w oknie żeby sprawdzić, czy gościom czegoś nie potrzeba. Przyniesiono talerz i oficer zasiadł do wspólnej biesiady. Jakież było jego przerażenie, gdy usłyszał nazwisko Old Shatterhanda; starał się jednak z całych sił opanować strach. Przyglądał się bacznie westmanowi. Myśliwy to widział, udawał jednak, że niczego nie zauważył.

Oficer powtórzył relację o celu swojej podróży, którą zdał po przybyciu na farmę. Uszło przy tym jego uwadze, że Old Shatterhand wciągnął swój kapelusz głębiej na czoło i spod runda ukradkiem obserwował mówiącego. Kiedy Benyon skończył, myśliwy spytał niefrasobliwie: — I jak mówicie? Gdzie stacjonuje wasz oddział, sir?

— Przy forcie Sili.

— Stamtąd rozpoczęliście waszą zwiadowczą jazdę?

— Tak.

— Byłem przed laty w forcie Sili, kiedy komendantem był tam pułkownik Olmers. Jak nazywa się obecny komendant?

— Pułkownik Blaine.

— Nie znam tego człowieka. Mówicie, że wasi dragoni nadejdą tu w tych dniach? Jaka szkoda, że nie przyjdą już dziś lub jutro!

Moglibyśmy z nimi jechać przez Llano Estacado, co zapewniłoby nam bezpieczeństwo.

— To poczekajcie na nich. Jeden dzień możecie w końcu stracić?

— Jeden dzień? Hm! Czyż naprawdę sądzicie, że rozchodzą się o jeden dzień? Co do tego mamy różne zdania!

— Jak to?

— Ponieważ jestem przekonany, że wasi dragoni nigdy tu nie przybędą. Wiem bowiem dokładnie, że w forcie Sili ani w jego pobliżu nie znajduje się żadna jednostka wojskowa, mająca rozkaz udania się na Llano Estacado.

— Oho! Chcecie mi zadać kłam? — wybuchnął rzekomy oficer.

— Tak, w samej rzeczy! — odparł Old Shatterhand tak samo spokojnie jak przedtem.

— Co u diabła! Czy wiecie, że to jest obraza, która może być zmyta tylko krwią?

— Tak, właściwie powinniśmy się bić. Gdybyście oczywiście byli faktycznie oficerem dragonów Stanów Zjednoczonych!

— Człowieku! — krzyknął Stewart, wydzierając jeden ze swoich pistoletów zza pasa. — Jeszcze jedno takie słowo, a położę was trupem.

Jeszcze tej groźby nie dokończył, kiedy Old Shatterhand stał już przed nim, wyrwał mu pistolet z ręki, a równocześnie drugi zza pasa i odezwał się tym razem zupełnie innym tonem: — Nie tak śmiało, człowieku, w przeciwnym razie moglibyście tego pożałować! Jeśli was oszczędzam, to tylko dlatego że nie mam oczywistego dowodu waszej winy. Najpierw unieszkodliwiał wasze rewolwery. — Rzekłszy to, opróżnił broń z kul i mówił dalej:

— A teraz chcę wam powiedzieć, że właśnie idę z fortu Sili i znam jego obecnego komendanta. Poprzedni co prawda nazywał się Blaine, lecz został przed trzema tygodniami odwołany, a jego miejsce zajął major Owens, czego zdajecie się jeszcze nie wiedzieć.

Twierdzicie, że przed niespełną tygodniem wyjechaliście z fortu Sili, a więc powinniście znać majora Owensa. Ponieważ tak nie jest, to jasne, żeście tam nie byli i ta historia o waszych dragonach i ich rzekomej wyprawie na Llano Estacado jest po prostu wyssana z palca!

Stewart znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Próbował ukryć swoje zakłopotanie i rzekł: — No dobrze, przyznaję, że moi żołnierze nie znajdują się w pobliżu fortu Sili. Ale czy to wystarcza, żeby całą sprawę uważać za zmyśloną? Jestem zmuszony do zachowania ostrożności i nie wolno mi zdradzić właściwego miejsca stacjonowania mojego oddziału.

— Nie opowiadajcie mi takich bzdur! Zresztą widzę was nie po raz pierwszy. Czy nie przesłuchiowano was kiedyś w Las Animas w sprawie napadu na pociąg? Udało wam się wówczas przy pomocy kilku włóczęgów dostarczyć alibi. Ale winni byliście na pewno. Uniewinniono was co prawda, lecz tylko dzięki pospiesznej ucieczce uniknęliście linczu.

— To nie byłem ja!

— Nie zaprzeczajcie! Wasze nazwisko brzmiało wtedy Stuart albo Stewart, lub podobnie. Jak się teraz nazywacie i jaki cel ma wasze obecne przebranie oficera dragonów nie wiem i nie zamierzam tego dociekać. Podnieście tylko wasze wąsy; jestem przekonany, że ukaże się pod nimi mała zajęcza warga.

— Kto was upoważnia do brania mnie na spytki? — powiedział Stewart w bezsilnym gniewie.

— Ja sam. Zresztą nie muszę wcale widzieć waszych ust. Poznaje się to po waszej mowie i wiem, co o was myśleć. Tu macie waszą broń. Wyoście się stąd jak najprędzej i bądźcie radzi, że się wam tym razem udało tak łatwo wywinąć z matni. Strzeżcie się jednak wchodzenia mi ponownie w drogę!

Old Shatterhand rzucił Benyonowi pozbawione kul pistolety pod nogi. Stewart podniósł je, zatknął za pas i rzekł: — To co mi zarzucacie, jest po prostu śmieszne. W każdym razie mylicie mnie z kimś innym. Mam swoje dokumenty w pokoju i przyniosę je wam. — Benyon odszedł.

— Co za nieprzyjemna scena! — zdenerwował się Helmers. — Czy jesteście całkowicie pewni swego, sir?

— Zupełnie — odpowiedział Old Shatterhand.

— Czyż zaraz tak nie myślałem? — wtrącił się Hobbler-Frank. — Ten osobnik ma wstrętną gębę człowieka mijającego się z prawdą i mającego wiele na sumieniu. Także mu już powiedziałem, co o nim myślę.

Jakiś czas rozprawiano jeszcze o tym zajściu, a potem rozmowa zeszyła znowu na pustynię Llano Estacado. Każdy znał jakąś straszną historię, która się tam wydarzyła. Rozmowa pociągnęłaby się jeszcze długo, gdyby nie zjawił się Murzyn Bob z Murzynom Helmersa. Herkules przyszedł mianowicie do swojego pana w następującej sprawie:

— Massa Herkules zapytać, gdzie umieścić dużo koni, jak one przyjsć?

— Jakie konie? — zapytał gospodarz.

— Konie żołnierzy, po które oficer teraz pojechać.

— Ach! On odjechał?

— Tak, odjechać. Przedtem powiedzieć, że chce przyprowadzić dużo jeźdźców do domu Helmersa.

— A więc oddał się po kryjomu. To dowodzi, że nie ma czystego sumienia. W którym kierunku właściwie pojechał?

— On położyć siodło na konia, wyciągnąć go ze stajni, wsiaść, objechać stajnię, a potem odjechać tam — przy ostatnim słowie Murzyn wskazał na północ.

— To jest podejrzane. Należałoby za nim pojechać. Mam wielką ochotę zapytać go, dlaczego odjechał bez pożegnania.

— Zróbcie to! — uśmiechnął się Old Shatterhand. Nie zajechalibyście daleko na północ!

— Dlaczego?

— Ponieważ ten kierunek jest tylko podstępem z jego strony. Ten człowiek knuje na pewno coś złego. Ponieważ widział, że go przejrzałem, uważał za wskazane ulotnić się, lecz na pewno nie w tym kierunku, na którym mu zależy. To co opowiadał o wojsku, było także błagą.

— Teraz i ja w to wierzę. Ale powiedzcie mi przynajmniej, w jakim celu właściwie do mnie przybył!

— Mogę także snuć tylko domysły. Pewne jest, że przybył tu, ażeby się o czymś dowiedzieć. Co to może być? Wasze obejście jest dla wielu wyjściowym punktem podróży przez Llano Estacado. Myślę, że chciał sprawdzić, czy nie ma u was obecnie ludzi, którzy zamierzają przepłynąć się przez pustynię.

— Hm! — mruknął Helmers. — Wiem, że uważacie tego człowieka za sępa pustyni.

— Oczywiście.

— To nie powinniśmy go wypuścić, lecz unieszkodliwić. Ale bez konkretnych dowodów przeciwko niemu było to niemożliwe. Dowiedział się, że Juggle-Fred oczekuje kupców diamentów. Może teraz pojechał, żeby przygotować napad.

— W to i ja jestem gotów uwierzyć. Ten człowiek nie znajduje się sam w tej okolicy. Towarzyszą mu zapewne inni, którzy gdzieś czekają na jego powrót. Nie mogliśmy mu nic zrobić. Nie wolno mi go było zatrzymać, jakkolwiek przypuszczałem, że chce się wymknąć niepostrzeżenie. Teraz jednak, ponieważ go nie ma, przekonam się przynajmniej, czy moje przecucie było słuszne. Podążę jego śladem. Ile czasu minęło od jego wyjazdu?

— Być jedna godzina i może jeszcze pół — zastanawiał się Murzyn, do którego pytanie zostało skierowane.

— To trzeba się spieszyć. Czy macie panowie ochotę jechać ze mną. Helmers nie mógł odejść od swoich zajęć na farmie. Natomiast Hobbler-Frank i Juggle-Fred z radością zgłosili gotowość wspólnej jazdy i wkrótce zarówno oni jak i Old Shatterhand dosiedli koni i pojechali śladem podejrzanego.

Ślad ten prowadził tylko kawałek drogi w kierunku północnym, potem skręcał na wschód, następnie na południe i wreszcie na południowy zachód. W ten sposób Stewart zatoczył trzy czwarte koła, które miało bardzo małą średnicę.

Old Shatterhand jechał na czele, wychylony daleko do przodu, żeby nie zgubić śladu. Kiedy się przekonał, że od pewnego miejsca ślad przechodzi w linię prostą, zatrzymał konia i zapytał: — Mister Fred, co by pan powiedział o tym śladzie? Czy możemy mu dowierzać? Zapytany, który zdawał sobie sprawę, że Old Shatterhand chce go trochę przeegzaminować, odrzekł: — W każdym razie od tego miejsca hultaj puścił farbę. Jedzie teraz prościutko na pustynię Llano Estacado i...

Hobbler-Frank nie dokończył zdania i zastanawiał się.

— No i?

— Zdaje się, że się bardzo śpieszy. Łuk, jaki zakreślił wokół domu Helmersa, jest bardzo mały. Nie miał czasu na większe nadkładanie drogi. Poza tym jechał wyciągniętym galopem. Coś go musi gnać naprzód.

— Cóż by to mogło być?

— Ba! Gdybym to mógł powiedzieć, sir. Na tym się niestety kończą moje umiejętności. Może panu uda się łatwiej zgadnąć.

— Nie chcę się wdawać w zgadywanie. Lepiej będzie się upewnić. Mamy przecież czas i możemy poświęcić temu kilka godzin. Jedźmy jeszcze możliwie szybko kawałek wzdłuż śladu!

Puścili się galopem. Mogli to śmiało zrobić, gdyż ślad był teraz bardzo wyraźny.

Wkrótce można się było przekonać, że farma Helmersa leżała na granicy gruntu nadającego się pod uprawę. Okolica szybko zmieniała swój wygląd. Na północ od farmy rozciągał się jeszcze las. Na południe od niej rosły już tylko pojedyncze drzewa, które im dalej od farmy, tym bardziej zanikały. Krzaki stawały się cieńsze i rzadsze. Kończyła się trawa stepowa, a zaczynały się pokazywać krzewy meskitu jako niezawodny znak, że grunt staje się coraz bardziej nieurodzajny i suchy. Potem coraz częściej pokazywały się łąchy piasku, a powierzchnia stepu, dotychczas pofałdowana przechodziła w jednostajną równinę.

Wszędzie było widać tylko piasek i piasek. Jedyne tu i ówdzie uwypuklała się wysepka trawy. Inne miejsca okrywała szarym płaszczem bylica. Nieco dalej na pierwszy plan wysuwały się kolczaste kaktusy. Opuncje tworzyły nieprzebyte gąszcz, a różne gatunki cereusa sterczały jak potężne kolumny. Stewart ominął miejsca porośnięte kaktusami, ponieważ kolce tych roślin są dla koni niebezpieczne. Dawał swojemu wierzchowcowi tylko krótkie chwile wytchnienia; potem zmuszał go znowu do galopu, jak na to wskazywały głębokie odciski kopyt.

Trójka myśliwych jechała ciągle dalej. Minęły już ponad dwie godziny od chwili opuszczenia przez nich farmy Helmersa. Zrobili już co najmniej piętnaście mil angielskich, a jednak nie udało im się jeszcze dopędzić ściganego.

Wtem zauważyli ciemny pas ziemi, wrzynający się od lewej strony ostro w piaszczystą równinę. Było to wzniesienie ziemi nieco wyższej. Na pagórku rosły jednak tylko krzaki meskitu. Ślad prowadził do tego skrawka ziemi. Jeźdźcy powinni by tam dojechać w dwie minuty. Nagle Old Shatterhand wstrzymał konia, wskazał przed siebie i ostrzegł towarzyszy: — Uwaga! Za tymi krzakami zdają się być ludzie. Nie widzieliście nic?

— Nie — stwierdzili Fred i Frank.

— Mnie się jednak wydawało, że tam się coś rusza. Mój koń także coś zwietrzył. Trzymajmy się lewej strony, żebyśmy się znaleźli za krzakami meskitu, które nas osłonią.

Zatoczyli łuk i popędzili konie, by jak najszybciej pokonać otwartą przestrzeń, na której mogli być widziani. Kiedy dojechali do krzewów, Old Shatterhand zsiadł z konia.

— Zostańcie tu i trzymajcie mojego ogiera! — zwrócił się do dwóch traperów. — Chcę się rozejrzeć. Miejcie jednak broń w pogotowiu i bądźcie ostrożni! Gdybym musiał strzelać, to szybko do mnie dołączcie!

Schylił się i przecisnął przez krzaki, za którymi zniknął. Po niespełna trzech minutach był z powrotem. Uśmiech zadowolenia igrał na jego wargach.

— Nie jest to ten rzekomy oficer — oznajmił — ani też jego kamraci. Spotykamy tu raczej dwóch starych dobrych znajomych w towarzystwie młodego Indianina. Uważajcie!

Old Shatterhand, włożywszy dwa palce w usta, zagwizdał przeciągle i wibrująco. Nie było odpowiedzi.

— Są zaskoczeni — stwierdził. — A więc jeszcze raz! Myśliwy powtórzył gwizd. Ledwie przebrzmiał, dał się słyszeć donośny głos: — Halo! Co się tam dzieje? Ten gwizd w bezludnym Llano Estacado! Czyżby to było możliwe? Old Shatterhand, Old Shatterhand!

— Tak, to on! — odezwał się drugi radosny głos. — Idź przodem! Idę za tobą. To on i Hobbler-Frank jest z nim. A ten trzeci, no, sądzę że tego też powinniśmy znać!

W krzakach zatrzeszczało i niebawem wypadli z nich obaj traperzy, Davy pierwszy, a zaraz za nim Jemmy. Podbiegli do Old Shatterhanda i zaczęli go ścisnąć jeden przez drugiego.

— Dosyć, chłopcy, nie zadusicie mnie! — bronił się myśliwy. — Chętnie się pozwolę obejmować, lecz pojedynczo, a nie równocześnie przez dwóch takich niedźwiedzi jak wy!

— Bez obawy! Nie zadusimy pana! — stwierdził Jemmy. — Poza tym chcę się teraz przywitać z Hobbler-Frankiem, a Davy niech przyciągnie Juggle-Freda do swojego długiego tułowia. Ale jak pan wpadł na pomysł, żeby zagwizdać? Czy pan wiedział, że my siedzimy za krzakami?

— Oczywiście. Ależ z was westmani! Pozwalacie się podejść i podpatrzeć, niczego nie spostrzegając!

Teraz wyszedł również z krzaków młody Komancz, Żelazne Serce. Zobaczył Old Schatterhanda i rzekł pełen szacunku: — Ninanton, Grzmocąca Ręka! Schiba-bigk, syn Komanczów, jest za młody, żeby mógł patrzeć w twarz tak sławnemu wojownikowi. — Rzekłszy to, odwrócił się zgodnie z indiańskim zwyczajem. Old Shatterhand podszedł jednak szybko do niego, położył mu rękę na ramieniu i powiedział: — Słyszałem o tobie. Jesteś synem mojego przyjaciela Tevua-schohe, wodza Komanczów, z którym wypaliłem fajkę pokoju. Jest on dzielnym wojownikiem i przyjacielem „białych”. Gdzie teraz rozbił swój namiot?

— Jego duch jest w drodze do Krainy Wiecznych Łowów, do której wolno mu będzie wejść dopiero wówczas, kiedy Żelazne Serce zdejmie skalpy jego mordercom.

— Nie żyje? Gwiazda Ognista nie żyje? Zamordowany? — Zawołał Old Shatterhand. — Powiedz, przez kogo?

— Schiba-bigk nie będzie o tym mówił. Zapytaj moich białych przyjaciół, którzy widzieli jego zwłoki i razem ze mną pogrzebali je dziś rano.

To powiedziawszy, wycofał się znowu w zarośla. Old Shatterhand zwrócił się do Davy'ego i Jemmy'ego: — Zdaje się, że macie nam straszne rzeczy do zakomunikowania. Tu słońce bardzo pali, chodźmy do cienia, gdzieście poprzednio siedzieli. Tam opowiecie mi, co się stało.

Dwaj przyjaciele szli na przełaj przez krzaki. Trzej pozostali poprowadzili konie wokół zarośli. Na miejscu siedział już młody Komancz. Biali usiedli również i Jemmy zaczął opowiadać wczorajsze przeżycia. Kiedy zreferował spotkanie z młodym Komanczem, dodał: — Dziś rano złożyliśmy zwłoki wodza do tymczasowego grobu, w którym będzie spoczywał, aż przybędą jego wojownicy, żeby mu wnieśli grobowiec jakiego jest godzien. Potem udaliśmy się w pościg za mordercami.

— Sądziłem, że chcieliście zająć na farmę Helmersa — zauważył Old Shatterhand.

— Tak, lecz chcieliśmy tam przybyć już z konkretnymi rezultatami naszych poszukiwań; wydaje się bowiem, że coś się przygotowuje na pustyni Llano Estacado. Pojechaliśmy więc wprost z Żelaznym Sercem za mordercami.

— To mogę tylko pochwalić. Czy udało się wam znaleźć ślad?

— Oczywiście, jakkolwiek z pewnym trudem. Ci hultaje pojechali na południe i utworzyli coś w rodzaju posterunków, prawdopodobnie po to, żeby pilnować znajdującego się tam obozu.

— Kto tam obozował?

— Nie możemy tego powiedzieć dokładnie. Przypuszczalnie byli to emigranci. Widzieliśmy koleiny wozów, zaprzęgniętych w woły i ślady wielu koni. Według naszej oceny nocowało tam mniej więcej około pięćdziesięciu ludzi.



— Już ich tam nie było? W jakim kierunku wyruszyli?

— Na południowy zachód.

— A więc na pustynię Llano Estacado? Z wozami, zaprzęgniętymi w woły? Na Jowisza! Albo mają wyjątkowo dzielnych przewodników, albo też ktoś ma zamiar wciągnąć ich w pułapkę! Co pan sądzi, Jemmy?

— To drugie.

— Dlaczego?

— Ponieważ tych pięciu morderców Gwiazdy Ognistej macza w tym palce. Poszukiwacze diamentów także przyłączyli się do tej karawany, która wnioskując ze śladów musiała wyruszyć krótko po północy. To daje wiele do myślenia. Widać, że hultaje postanowili tych ludzi jak najszybciej odciągnąć od farmy Helmersa.

— Mam nadzieję, żeście poszli za karawaną?

— Nie, sir. Mieliliśmy do czynienia tylko z mordercami wodza. Ci jednak, jak wynika ze śladów, nie przyłączyli się do karawany, lecz pojechali prosto na zachód. Jechaliśmy ich tropem. Poza tym odkryliśmy ślad samotnego jeźdźcy, który jadąc z okolicy farmy Helmersa musi zapewne jeszcze wieczorem dojechać do karawany.

— Tak? Jeszcze wieczorem? To z pewnością był ów czcigodny misjonarz mormonów, Tobias Preisegott Burton. Sprawa zdaje się wyjaśniać. Dalej mister Jemmy! Co stało się z odkrytym przez was śladem?

— Te łotry jechały bardzo szybko i dlatego ślad był wyraźny. Potem jednak zastanowiło nas, że jeden jeździec odłączył się od grupy. Ślad jego konia prowadził na północ. Musieliśmy jakiś czas podążać za nim, by się upewnić, że się nie mylimy.

— Hm! To zastanawiające. Przypuszczam, że to był ten oficer.

— Oficer? — zapytał Jemmy. — W tej grupie nie było żadnego oficera.

— Wiem już. Ale może ci hultaje mieli ze sobą mundur oficerski. Pewnie niedługo tę sprawę wyjaśnimy. Rozmawialiście z tymi ludźmi. Czy nie było wśród nich krępego, z twarzą okoloną ciemną brodą?

— Wnosząc z waszego opisu, mógł to być ich przywódca Stewart.

— A wąsiska miał szesane w dół, jakby nimi chciał zakryć wargi? Czy nie zaobserwowaliście może, jakie miał usta?

— Naturalnie! Stewart miał małą zajęczą wargę. Można to było zauważyć, kiedy mówił.

— Pięknie! To ten! Zajechał na farmę Helmersa, aby sprawdzić, czy jemu i jego przedsięwzięciu nie zagraża jakieś niebezpieczeństwo. Dalej!

— Właściwie nie chciałbym dalej opowiadać. Przyznawać się do własnej głupoty nie jest bynajmniej przyjemnie. Lepiej mów ty dalej, stary Davy!

— Pięknie dziękuję! — odparł „Długi”. — Kto zjadł dobre mięso, ten niech także gryzie twardą kość. Dlaczego właśnie ja mam kontynuować opowiadanie od tego miejsca, gdzie zaczyna się nasza głupota?

— Bo masz taki miły sposób, że nawet wady i usterki potrafisz przedstawić jako coś doskonałego.

— Już wiem! Zawsze jestem tym, który ... ale ponieważ wypaliłem z tobą fajkę pokoju, postaram się być wspaniałomyślnym i spróbuję. Wicie panowie, sprawa tak się przedstawia, że później zgubiliśmy ślad i mimo usilnych poszukiwań nie odnaleźliśmy go.

— Niemożliwe! — zawołał Old Shatterhand. — Davy i Jemmy zgubili ślad? Gdyby mi to ktoś inny powiedział, zarzuciłbym mu kłamstwo.

— Dziękuję panu, za dobre mniemanie o nas! Ale ponieważ mówi to panu sam Długi Davy, musi pan w to wierzyć!

— Niewątpliwie. Ale jak do tego doszło?

— W najprostszy sposób na świecie. Tu przed nami, gdzie się kończą zarośla meskitu, zaczyna się grunt skalisty, który ciągnie się milami na wschód i na południe. Ten grunt powinniście zobaczyć, a pojęlibyście, że tam można zgubić trop.

— Znam tę trasę. Meksykanie, do których ta okolica kiedyś należała, nazywają ten kawałek drogi *el plano del diablo*, czyli płaskowyżem diabła.

— Słusznie! A więc zna pan tę drogę. No, to mnie pan uspokaja, gdyż nie będzie pan nas uważał za żółtodzióbów, jeśli szczerze przyznam, że ślad jakby ktoś nam zdmuchnął sprzed nosa.

— Hm! Ale czterech jeźdźców przecież nikt nie zdmuchnie!

— Nie. Jednak jeśli konie na tym twardym jak żelazo i gładkim kamieniu nie pozostawiają żadnych śladów, to ich też nie może być widać, sir. Nasz Komancz mimo młodego wieku jest mistrzem w czytaniu śladów. Ale mówię panu, że nawet on nie wiedział, co robić.

— Ciekaw jestem, czy mnie by też tak poszło!

— No, pan! Pan i Winnetou odkrylibyście ślady nawet wtedy, gdyby ci łotrykowie w powietrzu jechali! I prawie chciałoby się wierzyć, że tak było. Mówię panu, nie było widać nawet najmniejszego rozgnieczonego kamyczka, ani najmizerniejszej szczelinki, która mogłaby powstać przez uderzenie podkową. Naturalnie zrobiliśmy to, co każdy dobry westman byłby przedsięwziął: Jechaliśmy wzdłuż granicy skalnego gruntu, aby znaleźć miejsce, w którym jeźdźcy zjechali znów na piasek. Posuwaliśmy się tak wolno, że jeszcze dotychczas nie zdążyliśmy zbadać całej przestrzeni, jakkolwiek znajdujemy się już na północ od tego punktu, w którym jeden z jeźdźców opuścił pozostałych czterech, aby jak pan mówił zajechać na farmę Helmersa. Zresztą, kiedyśmy się przedostali na tę stronę, zobaczyliśmy samotnego jeźdźcy, który dość daleko stąd galopował w kierunku południowym. A kiedyśmy potem doszli do tych krzaków, zauważyliśmy, że tu się zatrzymywał.

Old Shatterhand nadstawił uszu. Chwilę zdawał się nad czymś zastanawiać, potem powstał z miejsca, badał wszystkie odciski kopyt znajdujące się na brzegu zarośli meskitu i oddalił się trochę. Wreszcie zawołał: — Mister Davy, czy pan albo Jemmy byliście także tutaj, gdzie teraz stoję?

— Nie, sir — odrzekł zapytany.

— No to przyjdźcie tu wszyscy!

Kiedy podeszli, wskazał na krzaki i wyjaśnił: — Tu widać zupełnie wyraźnie, że ktoś wcisnął się do tej gęstwiny. Tu się odłamała gałązka, a powierzchnia złamania jest jeszcze świeża. Stało się to więc niedawno temu. Chodźcie za mną dalej, moi panowie! Oglądając dokładnie każdą gałązeczkę i każdy cal ziemi, wciskał się coraz głębiej w zarośla, aż stanął przed piaszczystą łąką. Miała ona kilka kroków długości i prawie tyle szerokości i nic na niej nie rośło. Na piasku nie było widać najmniejszego źdźbła trawy. Tu ukląkł i zdawało się, że chce zbadać każde ziarenko piasku. Wreszcie podniósł się z uśmiechem zadowolenia i obejrzał również pozostałe brzegi zarośli wokół piaszczystej wysepki. Potem wskazał na jedno miejsce w zaroślach i stwierdził: — Tu także ktoś wszedł

do tej kryjówki. Założę się, że ten osobnik zsiadł z konia tam przed krzakami na skalistym gruncie. A teraz mister Davy proszę mi odpowiedzieć na dwa pytania: — Czy to było na południe stąd, gdzie ten człowiek odłączył się od pozostałej czwórki?

— Na południowy wschód.

— Pięknie. Czy ten człowiek, który potem stąd odjeżdżał, miał na sobie mundur wojskowy?

— Nie.

— W takim razie jestem pewien, że przywódca tych pięciu, po odłączeniu się od pozostałych, przyjechał tu, żeby wziąć mundur i już jako oficer zjechał do domu Helmersa. Potem, kiedy się stamtąd po kryjomu oddalił, przyjechał tu z powrotem, aby zamienić mundur na zwykłe ubranie.

— Co pan mówi! Czy uważa pan to miejsce za szafę na odzież?

— Tak, przynajmniej za skrytkę, jak rzekomo łowca bobrów nazywa dół, w którym chowa swoje futra. Wyjmijcie wasze noże i odkopcie piasek! Widać, że niedawno ktoś go wyrównywał.

Usłużny Hobble-Frank rzucił się natychmiast na ziemię i zaczął tak pilnie rozgrzebywać piasek gołymi rękami, jakby oczekiwał, że znajdzie tu wszystkie skarby Golkondy. To podziałało na innych i poszli za jego przykładem. Piasek sypał się na wszystkie strony. Zapaściwszy ręce zaledwie na ćwierć metra w głąb, Frank zawołał:

— Mam, panie Shatterhand! Moje palce natrafiły na coś twardego.

— Tylko dalej, dalej! — napominał Jemmy. — To twarde może być także skała.

— Ryję już przecież jak kret. To nie skała, lecz drewno. Macie! Same cienkie tyczki.

— To są kaktusowe żerdzie — objaśnił Old Shatterhand — które są tak połączone, że tworzą szeroką powierzchnię, a tym samym pokrywają kryjówki.

To mniemanie okazało się słuszne. Proste łodygi kaktusa spojone plecionką tworzyły czworokątną pokrywą, która zamykała głęboką jamę. Dziura miała dobre dwa łokcie sześciennego objętości i po brzegi wypełniona była różnymi przedmiotami.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła się w oczy była szabla i ... mundur, na którym leżała stara złożona gazeta.

— Mundur oficera i szabla giermka rycerza-rozbójnika — dziwił się Frank, wyciągając szablę z pochwy i tnąc nią powietrze. — Gdyby ten łotr tu był, to bym mu ...

— Drogi Franku, proszę o ten papier! — przerwał mu Old Shatterhand.

— Już, zaraz! Mowę mogę wygłosić przecież później, po wypróżnieniu tej jamy morderców.

Podał gazetę Old Shatterhandowi. Ten rozłożył ją i znalazł w niej kartkę pisaną ołówkiem. Myśliwy przeczytał głośno jej treść: — *Venid pronto á nuestro escondite! Precaucion! Old Shatterhand está en casa de Helmers.*

— To znaczy? — zapytał Fred. — No, Frank, jesteś przecież znawcą języków obcych.

— Owszem — odpowiedział Frank. — Jest mowa o Old Shatterhandzie i Helmersie. Ale ten hebrajski jest tak zanieczyszczony indiańskimi okruciami i przeżarty indogermańskimi trychinami, że zaraz przy pierwszym słowie serce mi się kraje. Umywam ręce i wolę zająć się mundurem.

Zaczął dokładnie badać kieszenie munduru. Old Shatterhand tymczasem przetłumaczył z hiszpańskiego: — Przyjdźcie szybko do naszej kryjówki. Uwaga! Old Shatterhand znajduje się u Helmersa. Na razie odłożono odszyfrowanie istotnego znaczenia tych słów. Najpierw wszyscy chcieli wiedzieć, co się znajduje w skrytce. Zawierała noszoną, lecz jeszcze nadającą się do użytku odzież najrozmaitszych form, kolorów i wielkości, strzelby, pistolety, noże, ołów, blaszane pudełka, spłonki i wreszcie baryłkę, do połowy wypełnioną prochem strzelniczym. Wszystkie kieszenie ubiorów były wypróżnione. Poza tym wydobyto z jamy kilka sztuk odzieży indiańskiej.

— Odzież spalimy — zdecydował Old Shatterhand. — Wszystkie inne rzeczy są dobrą zdobyczą i każdy niech sobie z nich wybierze, co mu odpowiada. Resztę zabierzemy do Helmersa. Jestem przekonany, że sępy Llano mają jeszcze więcej takich kryjówek, w których przechowują swoje zapasy. Mundur należał zapewne do jakiegoś oficera, a odzież indiańska do tubylców, których rabusie zamordowali. Ze wszystkich znalezionych przedmiotów tylko ta kartka ma dla mnie pewną wartość. Co byście wywnioskowali z jej treści, mister Fred?

— Dwie sprawy — odparł zapytany. — Po pierwsze, że ten drab panicznie się pana boi. Zostałby w każdym razie dłużej na farmie Helmersa, gdyby pana tam nie spotkał.

— A po drugie?

— Po drugie, ma on tu kamratów, których tą kartką ostrzega. Oni także chcą się dostać na pustynię Llano Estacado. Przyjdą tu, żeby otworzyć skrytkę. Zamawia ich na jakieś umówione miejsce, które nazywa kryjówką. Tym mianem określa miejsce zbiórki.

— Pańskie przypuszczenie pokrywa się z moim. Jak z tego stanu sprawy wynika, nie potrzebujecie już szukać zagubionego śladu. Ten człowiek na pewno przyłączy się znowu do swoich kompanów. Żeby do nich dotrzeć, wystarczy iść za nim. Jego ślad staje się od tego miejsca bardzo wyraźny. Prowadzi w każdym razie do kryjówki, o której jest mowa w liście. Możecie się chyba domyślić, w jakim celu ich tam wzywa?

— Naturalnie! Chce z nimi napaść na emigrantów.

— Też tak przypuszczam. I jak wynika z jego pośpiechu, chce tego dokonać bardzo szybko. Musi się przecież obawiać, że my przejrzymy jego intrygi i udaremnimy planowany napad. Dlatego chce przyspieszyć wykonanie planu.

— Musimy się więc także spieszyć, sir! Czy nie byłoby najrozsądniej, gdybyśmy zaraz za nim jechali? Jest przywódcą, duszą całego przedsięwzięcia. Jeśli więc dopadniemy go, to napad nie dojdzie do skutku.

— Wątpliwe! — stwierdził Old Shatterhand. — Był co prawda rzecznikiem całej piątki, nie wiemy jednak, czy jest zwierzchnikiem wszystkich sępów pustyni Llano Estacado. Zatrzymując go, wcale nie unieszkodliwimy pozostałych łotrzyków. Zresztą nie wierzę, żebyśmy go mogli dopędzić. Nasze konie są zmęczone, a słońce zajdzie niebawem. Zanim byśmy go dogonili, zapadłaby noc. Nie, niech sobie dzisiaj jedzie. Jego ślad będzie jutro także widoczny. Wszyscy zanocujecie w tym miejscu, aby ująć tych, dla których pozostawiona została kartka, oczywiście, jeżeli przybędą. Ja pojedę sam na farmę Helmersa, zawiozę znalezione przedmioty i wrócę z Bobem. Dwóch z was proszę o pożyczanie mi koni. O świcie będę z powrotem. Wtedy wyruszamy i mam nadzieję, że nasz wypad nie będzie daremny. Będzie nas wówczas siedmiu i jestem przekonany, że poradzimy sobie z sępami.

Propozycja ta znalazła ogólne uznanie. Każdy wyszukał sobie coś, co mu się podobało ze znalezionej w skrytce broni i amunicji. Odzież natomiast złożono na piasku i roznieciwszy przy pomocy suchych gałązek ognisko, spalono. Resztą objuczono konie Franka i Freda. Stos dymił jeszcze, kiedy Old Shatterhand odjeżdżał. Przyrzekł postarać się o żywność i mały zapas wody. Siedząc już na koniu, wskazał na zachód i zauważył:

— Zdaje mi się, że stamtąd coś nadciąga, burza, czy coś podobnego. To jest trąba powietrzna, która niestety nigdy nie sprowadza deszczu na Llano Estacado.

Z tymi słowami odjechał klusem na północ. Pozostali, sprowokowani jego uwagą, obserwowali zachodnią, część nieba, gdzie ponad słońcem ukazały się lekkie obłoki, zabarwione czerwonawo i szaro. Utworzyły one coś w rodzaju pierścienia, pośrodku którego zbierał się złocisty blask. Nie wyglądało to wcale groźnie i słowa Old Shatterhanda zostały przyjęte, jak spostrzeżenie nie mające właściwie żadnego znaczenia. Tylko Komancz trwożnie przypatrywał się obłokowi, mrużąc pod nosem:

— *Ekapuschtketupa*, usta błyskawicy!

## 6. GODZINA DUCHÓW

Po odjeździe Old Shatterhanda wszyscy znów usiedli i rozmawiali dalej. Szczegółowo zwłaszcza omawiano wydarzenie na farmie Helmersa. Czas szybko upływał i nikt nie zwracał uwagi na niebo, które przybrało całkiem odmienne zabarwienie. Tylko Komancz, siedzący milcząco na uboczu, obserwował tę zmianę dokładnie.

Mały pierścień utworzony z obłoków rwał się dołem i przybrał kształt podkowy, której ramiona rosły w oczach, wydłużając się w kierunku ziemi. Ramiona te, jak dwie wąskie warstwy, tworzyły niemal północny kraniec pola widzenia. Pomiedzy nimi było czyste, jasne niebo. Bliższa warstwa obniżyła się i wówczas horyzont południowy przybrał barwę czerwono-pomarańczową, jakby lekko przyprószoną kurzem. Wyglądało to tak, jakby tam szalała wichura, wzbijając piasek ku niebu.

Na wschodzie zrobiło się ciemno, atmosfera przesycała się gęstymi oparami, a jednak nie było widać żadnych chmur. Nagle Indianin skoczył na równe nogi i zapominając o samoopanowaniu, które jest największą cnotą Indian, wskazał czarną ścianę nieba na wschodzie i krzyknął:

— *Pijänowit-natscho* — upiór Llano Estacado!

Wszyscy zerwali się, ogarnięci strachem. Dopiero teraz zauważyli, jak niebo się zmieniło. Ostupieli z przerażenia. Ponad linią i horyzontu, mniej więcej na trzy wysokości człowieka, galopował jeździec. Wraz z nim z taką samą szybkością przesuwała się po czarnym ekranie nieba okrągła, jasno oświetlona plama, tak że człowiek i koń sprawiali wrażenie ciemnego ruchomego cienia, jasno obramowanego.

Człowiek i koń byli nadnaturalnej wielkości. Wszystkie szczegóły sylwetki jeźdźcy można było wyraźnie rozpoznać. Prawą ręką trzymał cugle konia, jego głowa okolona była długimi, falującymi włosami, ozdobionymi po indiańsku. Strzelba, przewieszona przez głowę, obijała mu się po plecach. Grzywa i ogon koński powiewały na wietrze. Upiorne zwierzę pędziło jak gnane przez piekło.

I to działo się w biały dzień, godzinę przed zachodem słońca! Sprawiało to na patrzących niesamowite, budzące zgrozę wrażenie. Nikt się nie odezwał. Czarna ściana nieba urywała się na południu niemal prostopadle. Do tego miejsca pędził jeździec. Zbliżał się do niego z wielką szybkością. Jeszcze dziesięć skoków konia, jeszcze pięć, jeszcze trzy, jeszcze jeden... koń wpadł w próżnię i znikł wraz z jeźdźcem. Jasne obramowanie też już nie było widoczne.

Wszyscy stali jeszcze ciągle bez słowa. To spoglądali tam gdzie się zjawisko wynurzyło, to znów patrzyli na siebie. Wtem Jemmy otrząsnął się, jakby go przeniknęła dreszcz zimna i oznajmił:

— Wszelki duch! Jeśli to nie był upiór Llano Estacado, to już nigdy więcej nie będę mył twarzy. Zawsze sądziłem, że to niedorzeczność, teraz jednak widzę, że człowiek musiałby być wprost szalony, gdyby jeszcze wątpił. Czuję się całkiem upiornie. A jak ty się czujesz, stary Davy?

— Tak jakbym był starą sakiewką, w której nie ma ani jednego centa. Czuję w sobie absolutną pustkę; tylko skóra i powietrze. I patrzcie, jak szybko zmienia się koloryt nieba! Tego jeszcze nigdy nie było!

Górny skraj wspomnianej czarnej ściany zabarwił się krwistoczerwone. Powietrze przesywały płomieniste języki w górę i w dół. Jedno ramię widocznej jeszcze na niebie podkowy obniżało się. I im niżej opadało, tym bardziej rozszerzało się i ciemniał pas tego ramienia. Na południu kłębiło się, jakby wichura smagała morze pyłu i dymu. To wszystko zbliżało się coraz bardziej. Na słońce nasuwała się ciemna zasłona, która z sekundy na sekundę przybierała na wysokości i szerokości. Ciemny pas chmur zdawał się teraz wręcz spadać z nieba. Nagle przerażonych ludzi przeniknęło niezwykle zimno. Z dała było słychać głośnie wycie.

Na miłość boską do koni! — krzyknął Juggle-Fred. — Szybko! W przeciwnym razie rozbiegną się! Przyciągnijcie je do ziemi. Muszą się położyć. Trzymajcie je mocno, ale sami także rzućcie się płasko na ziemię!

Cała piątka pobiegła do trzech koni, które prychały strwożone i wcale nie stawały oporu, kiedy je ciągnięto ku ziemi. Leżały tuż przy krzakach i wsadziły łby pod gałęzie. Ledwie ludzie zdążyli rzucić się na ziemię, rozpętało się istne piekło. Rozległy się świsty, jęki, wycia, szum, huk, trzaski i ryki nie dające się wprost opisać. Ludzie mieli wrażenie, że narzucono na nich nagle bardzo ciężkie przykrycie. Z taką siłą zostali przyciśnięci do ziemi, że nie udałooby im się teraz podnieść, choćby się nie wiem jak wysilali. Czuli zimno w całym ciele, a ich oczy, nosy, usta i uszy jakby się nagle zatkały. Nie mogli złapać oddechu i byli bliscy uduszenia się. Nagle powiało nad nimi znowu żarem i wycie pustyni Llano Estacado przebrzmiało. Konie zerwały się z ziemi i rżały głośno. Po smolisto-czarnej i mroźnej nocy, która raptownie zapadła, rozbłysło znowu słońce i rozlało wokoło swe ożywcze ciepło. Można było otworzyć usta; można było oddychać. Pięć ludzkich postaci zaczęło się poruszać. Poprzecierali oczy i rozejrzeli się wokół siebie. Przysypani byli grubą warstwą piasku. To było to przykrycie, które narzuciło na nich tornado.

Bo było to tornado, jeden z owych środkowoamerykańskich cyklonów, nie znajdujących bodaj nigdzie indziej podobnych sobie pod względem siły. Zniszczenia, jakie wyrządza taki huragan, bywają okropne, wprost nieprawdopodobne. Osiąga on szybkość do stu kilometrów na godzinę i przeważnie towarzyszą mu zjawiska elektryczne, które utrzymują się dość długo w atmosferze. Nawet samum na Saharze nie dmie z taką siłą i tylko straszliwa burza piaskowa lub zamieć śnieżna dzikiej pustyni Gobi dadzą się porównać z mocą tego tornado.

Pięciu mężczyzn podniosło się z ziemi i otrzępało z piasku odzienie. Krzaki stanowiły przeszkodę dla lotnego piasku. Ułożył się on pod nimi warstwami, jak wydma dwułokciowej wysokości.

— Chwała Bogu, że wyszliśmy z tego bez szwanku! — zauważył Jemmy. — Biada tym którzy podczas tornado znajdowali się na otwartej przestrzeni Llano Estacado! Są zgubieni!

— Nie tak bezwarunkowo jak sądzicie — odparł Fred. — Te okropne burze mają na szczęście często zasięg tylko szerokości połowy mili angielskiej. Tym większa jednak jest ich siła. Ten szalejący prąd powietrzny zalał nas tylko bocznymi falami. Gdybyśmy się znaleźli w jego środku, kto wie jak daleko by nas porwał i gdzie roztrzaskał.

— Zupełnie słusznie! — przytaknął Davy. — Znam to. Kiedyś nad rzeką Conchos widziałem spustoszenia wyrządzone przez tornado. W puszczy powyrywał drzewa, tworząc pośrodku prostą, szeroką drogę. Drzewa olbrzymie o średnicy pnia do dwóch metrów zostały wyrwane z korzeniami i leżały w nieładzie jedne na drugich. Ta osobliwa poręba, na której nie utrzymało się ani jedno drzewo, miała boki tak ostro ścięte, że drzewa znajdujące się po jej prawej i lewej stronie zostały tylko lekko uszkodzone. Jankesi nazywają ten rodzaj burzy huraganem i nadają tę nazwę również powstałym przez huragan przesiekom.

— To było wystarczająco straszne! — stwierdził Hobble-Frank. — Nie mogłem złapać tchu. Mój klarnet w piersiach gwizdał już niemal z ostatniej dziurki. W Saksonii mieliśmy też od czasu do czasu burze, ale niebawem one tam takie dzikie i złośliwe jak tutaj. Najgorszy saksoński orkan w porównaniu z amerykańskim tornado jest zwykłą igraszką, wręcz majowym wietrzykiem, wystarczającym do tego, żeby swym podmuchem ostudzić gorącą kawę. A na dodatek jeszcze pyskaty osioł Davy'ego omal mnie na śmierć nie zatratował. Nie chciał już w końcu dłużej leżeć i wziął moją szlachetną postać za...

— Muł, chciałeś zapewne powiedzieć — przerwał mu Jemmy.

— Nieee, pyskaty osioł mówię! Kto tak tupie, jest największym osłem, jaki być może. Właściwie powinienem Davy'ego zaskarżyć o odszkodowanie. Ale kto tak jak ja jest samotny na świecie, ten jest w ogóle bezbronny.

Słońce, które niedawno było zupełnie zaciemnione, teraz znów słało na ziemię swoje promienie. Były one jednak swoiście zabarwione, niemal szafranowo-złote. Kontury nieba zlewały się w tym zabarwieniu, a ziemia zdawała się wokoło podnosić ku, niebu. Wyglądało to tak, jakby tych pięciu ludzi stało w najniższym punkcie wnętrza głębokiej niecki.

Trzy wierzchowce nie uspokoiły się jeszcze całkowicie. Zdenerwowane parskały i tupały. Chciały czmychnąć i trzeba je było mocno przywiązać. Coś wisiało w powietrzu, przeciwko czemu broniły się płuca. Nie były to mikroskopijne cząsteczki piasku, lecz coś nieokreślonego.

Komancz rozłożył na piasku swój koc i rozciągnął się na nim. Swoje wzburzenie pojawieniem się upiора Llano szybko opanował i nawet teraz po tak dziwnych zjawiskach przyrody zachowywał milczącą rezerwę, jak na Indianina przystało. Czterej biali usiedli w jego pobliżu, a Jemmy zwrócił się do niego z pytaniem: — Czy mój młody czerwony brat przeżył już kiedyś taką burzę?

— Kilkakrotnie — odparł zapytany. — Żelazne Serce został porwany przez morderczy wiatr i zakopany w piasku; ale wojownicy Komanczów znaleźli go. Widział wyrwane z korzeniami drzewa, których pnie ledwie dały się objąć sześciu ludziom.

— Ale upiора pustyni Llano Estacado zapewne jeszcze nie widziałeś?

— Żelazne Serce spotkał go przed trzema zimami, kiedy jechał ze swoim ojcem przez Llano Estacado. Usłyszeli strzał. Kiedy dojechali do miejsca, gdzie strzał padł, zobaczyli upiора, oddalającego się galopem na czarnym koniu. Na miejscu natomiast leżał biały człowiek, w czole którego widniała dziura od kuli. Wódz Komanczów znał zabitego. Był to morderca, który był postrachem pustyni.

— Jak wyglądał upiór?

— Miał głowę i tułów białego bawołu, na karku którego jeżyła się kosmata grzywa. To był straszny widok. Mimo to jest on jednak dobrym duchem, w przeciwnym bowiem razie nie przybrałby postaci świętego zwierzęcia. Poza tym Komancze wiedzą dokładnie, że zabija on tylko złych ludzi, podczas gdy dobrzy cieszą się jego opieką. Żelazne Serce zna dwóch Komanczów, którzy zabłądzili na pustyni i byli bliscy śmierci. Upiór zjawił się u nich nocą, dał im mięso i wodę oraz wskazał im właściwą drogę.

— Mówił także z nimi?

— Rozmawiał z nimi w ich języku. Dobry duch mówi wszystkimi językami, gdyż Wielki Duch go tego nauczył. *Howgh* — Żelazne Serce odwrócił się. Wyrazem „howgh” dał do zrozumienia, że już dość powiedział i pragnie milczeć.

Natomiast głos zabrał znowu Hobble-Frank, zwracając się do Freda: — Co ty właściwie mógłbyś powiedzieć o tym zjawisku?

Zobaczyć w biały dzień prawdziwego upiора; to przecież można umrzeć ze strachu. Gęsia skórka nabrzmiała mi jak balon!

Fred odrzekł z uśmiechem: — Nie powinieneś być tak bardzo przerażony. Zjawisko, którego byliśmy świadkami, da się może wyjaśnić w sposób całkiem naturalny. Pomyśl tylko o zjawisku Brockenu, którego genezę udowodnił przekonująco niejaki Nehse, właściciel gospody na tej górze.

— O tym naturalnie także wiem. Widmo Brockenu jest zjawiskiem atmosferycznym, powstającym wskutek osiadania w atmosferze ozonu i tlenu, i rozkładania się ich we mgłę na żarzące się kulki gradu. Tu jednak na Llano Estacado mamy do czynienia z prawdziwym upiorem. Widzieliśmy go, jak jechał po niebie konno. Nie było to powietrze ani żadna mgła, lecz widoczna postać nadprzyrodzonej istoty. Jakież tu może zachodzić złudzenie optyczne?

— Hm! Ja sam kiedyś jako magik wywoływałem sztuczne upiory.

— Lepiej byś się tym nie chwalił, gdyż tworzenie sztucznych upiórów to naprawdę okropne szachrajstwo! W jaki sposób ci się to udawało?

— Bądź to przez ukośnie leżącą szybę szklaną, bądź to przy pomocy skrzynki zwanej „camera obskura”.

— To ja też potrafię. Kiedyś sobie sam zbudowałem taką camera procura. Właściwie to mi się udało, ale niestety zapomniałem umieścić otwór tam, gdzie się wysypuje soczewicę. Zresztą w żadnym sklepie warzywnym nie mogłem dostać tego gatunku soczewicy, więc na razie tę sprawę odłożyłem.

Fred, Jemmy i Davy wybuchnęli na to tak homerycznym śmiechem, że poważny Komancz szybko się odwrócił i skierował na nich zdziwiony wzrok. Frankowi jednak twarz ściągnęła się gniewem i zawołał:

— *Silicium!* Milczcie! Jeżeli wasz szyderczy śmiech natychmiast nie ustanie, to sprawię wam, białym braciom, taką rzeź, jak Mahomet drugi Paryżanom!

— Nie macie się co śmiać z mojej *camery procura!* Była zupełnie prawidłowo skonsternowana, ale ja jako urzędnik leśny nie miałem czasu wyhodować sobie tej soczewicy. Żegnaj was i odchodzę. Wasze szyderstwo wymaga zemsty. Odchodzę, lecz *manus manum lavendat*, czyli po niemiecku: moja ręka zmyje wam jeszcze wasze głowy lawendą. *Ho...ho...ho...howgh!*

Frank rzucił im ostatnie słowo z oburzoną miną i oddalił się, znikając za krzakami, by w ten sposób ukarać ich dodatkowo pozbawieniem widoku swojej osoby.

Nikt się tą karą szczególnie nie przejął, ponieważ wszyscy znali wystarczająco małego dziwaka. Wrócili do rozmowy o tornado i o poprzednim pojawieniu się upiора pustyni. Ci trzej mężczyźni bynajmniej nie byli prostakami; zwłaszcza Fred posiadał dużo wiadomości. Byli więc przekonani, że mieli do czynienia ze zjawiskiem optycznym, lecz nie umieli go sobie wyjaśnić.

Tak mijął czas i zapadła noc. Zrobiło się tak ciemno, że z odległości pięciu kroków nie można było niczego zobaczyć. Frank doszedł do grupy. W takich ciemnościach nie chciał być sam w takim miejscu. Jego oburzenie jeszcze całkiem nie minęło. Nie powiedział ani słowa i nie położył się tuż przy innych, lecz z pewnego oddalenia przysłuchiwał się uważnie temu co mówili. Słyszeli jak się kręci, a ponieważ

od czasu do czasu zrywał się, wnioskowali, że miał ochotę wtrącić się do rozmowy, zwłaszcza kiedy któryś powiedział coś, o czym Frank był przeświadczony, że jest inaczej. Zawsze jednak kładł się z powrotem. Jego chęć dąsania się okazała się silniejsza od skłonności do chwalenia się urojonymi wiadomościami.

Powietrze tymczasem oczyściło się i lżej było oddychać. Lekki wietrzyk, który powiał od południowego zachodu, wywołał po skwarze dnia przyjemne wrażenie. Pokazało się kilka gwiazd, które wskazywały obozującym czas.

Nie rozmawiali już i starali się zasnąć. Zakłócenie spokoju przez jakąś wrogą istotę było mało prawdopodobne, a Old Shatterhanda nie można się było jeszcze spodziewać. Wszyscy biali istotnie zasnęli. Tylko Komancz patrzył w niebo szeroko otwartymi oczami, chociaż ubiegłej nocy nie spał ani minuty. Śmierć, a raczej morderstwo, dokonane na jego ojcu, poruszało młodą duszę łaknącą zemsty.

Tak upływał kwadrans za kwadrans. Nagle śpiących obudził głośny okrzyk Indianina. Zerwali się do pozycji siedzącej.

— *Mabuni namachzo* — patrzcie tam! — wskazał na południe. Mimo ciemności widzieli jego wyciągnięte ramię i zwrócili wzrok we wskazanym kierunku. Na widnokregu pokazała się jasna plama w kształcie wąskiego klina. Nie robiła wrażenia czegoś nadzwyczajnego, a jednak przykuwała uwagę patrzących.

— Hm! — mruknął Jemmy. — Gdyby to było na wschodzie, pomyślałbym, żeśmy tak długo spali i że już zaczyna świtać.

— Nie — stwierdził Davy. — Brzask wygląda inaczej. Linie obwodowe tej jasnej plamy są za ostre.

— Właśnie dlatego że jest ciemna noc.

— A ponieważ jest ciemna noc, nie może jeszcze świtać. Dzień i noc zlewają się. Tam jednak widać ostre kontury.

— Może to ogień?

— Ogień na pustyni Llano Estacado, gdzie nie ma żadnego drzewa? Hm! Cóż by się tam paliło? Zresztą ta jasna plama powiększa się. I do tego jeszcze zmienia się kierunek wiatru. Wiał wprawdzie z południowego zachodu. Teraz wieje wprost z zachodu, przybiera na sile i staje się chłodniejszy. Co to może znaczyć?

— W żadnym wypadku nie jest to zorza polarna — wyjaśnił Fred. — A zorzy południowej zapewne nikt tu jeszcze nie widział.

Frank dotychczas milczał. Teraz jednak musiał zabrać głos, w przeciwnym razie serce by mu pękło. — Ta jasna plama ma swoje znaczenie — powiedział. — Pozostaje w każdym razie w związku z upiorem pustyni Llano Estacado. Niedawno pojechał na południe. Może tam ma swój namiot i siedzi teraz przy domowym ognisku.

Wszyscy najchętniej znowu by się roześmiali; opanowali się jednak. Fred natomiast zapytał: — Czy sądzisz, że duch rozpala sobie ognisko obozowe?

— Dlaczego nie? Przy tak zimnym wietrze, jaki teraz wieje? Powietrze stawało się rzeczywiście ostrzejsze. Strzałka na różny wiatrów posuwała się coraz bardziej ku północy. A na południowym niebie jasność wstępowała coraz wyżej. Jakby wschodziła tarcza ogromnej gwiazdy. Tworzyła teraz prawie półkole z krwistoczerwonym jądrem pośrodku, które rozszerzając się, przybierało na obrzeżu coraz jaśniejszą barwę. Otaczały je kontury łuku, na którym zdawały się przewalać warstwy ciemnych chmur i ogniste kłęby.

Całe zjawisko przedstawiało straszny, lecz zarazem wspaniały widok. Piątka mężczyzn stała zdumiona. Nikt nie odważył się odezwać. Wiatr wiał teraz dokładnie z północy. W przeciagu kwadransa zmienił kierunek o dziewięćdziesiąt stopni. Nie było jednak słyhać żadnego szumu ani świstu. Przeciwnie, w podstępnej ciszy leciał ku wspaniale oświetlonej stronie nieba. Przy tym było niesamowicie zimno.

— To powinien widzieć Old Shatterhand! — przerwał milczenie Juggle-Fred. — Niestety nie może jeszcze być z powrotem, gdyż jest dopiero północ.

— Północ! — wymamrotał Hobble-Frank. — Godzina duchów. Tam, gdzie się pali, dzieje się coś strasznego!

— Co tam poza ogniem może być strasznego?

— Nie pytaj się tak głupio! O północy otwiera się świat podziemny, wychodzą stamtąd upiory i swawolą przez całą godzinę. Jak każdy kraj i naród ma swój charakter, tak też upiory w każdej części świata mają swoje indywidualne cechy i szczególne upodobania. W jednej okolicy ukęrcą ludziom szyję, a w innej duszą na rozstajnych drogach. Któż jednak wie, jakie szczególne skłonności mają tutejsze upiory? Mogą to być właśnie najbardziej niebezpieczne i najgorsze, jakie tylko istnieją. Dlatego bądźmy ostrożni i... Boże mój, czy nie miałem racji? Spójrzcie tylko tam! Nadjeżdża!

Frank wykrzyknął ostatnie słowa w przerażeniu. To co się teraz działo, mogło napędzić strachu najbardziej nieustraszonemu człowiekowi. Upiór pustyni Llano Estacado zjawił się powtórnie.

Była już mowa o tym, że to dziwne zjawisko świetlne tworzyło potężne półkole na południowej stronie nieba. Tam gdzie łuk tego półkola stykał się po lewej stronie z linią horyzontu, wychynęła nagle postać olbrzymiego jeźdźcy. Koń był czarny, a jeździec biały.

Miał kształt bawołu. Zupełnie wyraźnie widać było głowę z obydwoma rogami, kark z niezbyt długą zwichrzoną grzywą, powiewającą na wietrze, i tułów, łączący się z końskim zadem. Całe to zjawisko okalały iskrzące się kontury.

Koń, w szalonym galopie, nie cwałował po prostej tworzącej średnicę płonącego półkola, lecz w górę wewnątrz półkolistej tarczy, po lini łuku, aż do jego najwyższego punktu.

Potem zjawisko to przesunęło się na prawą stronę żarzącej się tarczy i po łuku sunęło w dół, aż do linii widnokregu. Tam znikło tak nagle, jak się pojawiło.

Patrzącym, mimo zimnego powietrza, które ich owiewało, zrobiło się gorąco. Czy można było myśleć o złudzeniu? Nie, to była rzeczywistość. Nawet rozważny Komancz pozbył się swojej zwykłej rezerwy i powtarzał jedno „uff” za drugim.

Wszyscy stali, czekając, czy zjawisko się powtórzy. Niestety. Jakiś czas półokrag jeszcze płonął z równą mocą, potem skraj łuku utracił swoją ostrość, a całość nieco przygasła.

Wtem dały się słyszeć na piasku miękkie uderzenia kopyt końskich. Jeźdźcy zatrzymali się i zeskoczyli z wierzchowców. Byli to Old Shatterhand i Bob z końmi Franka i Freda oraz dwoma końmi jucznymi, obładowanymi wodą w węzłach.

— Dzięki Bogu, że jeszcze żyjecie! — zawołał myśliwy. — Uważałem was już prawie za straconych i obawiałem się, że będę musiał wygrzebywać wasze zwłoki z piasku.

— Tak bardzo nam się tornado jednak nie dało we znaki — odpowiedział Fred. — Otarło się o nas tylko. Musieliście się bardzo spieszyć. Jeszcześmy was nie oczekiwali.

— Tak, mamy za sobą forsowną jazdę, gdyż ogromnieśmy się o was niepokoiili. Tornado przeszło tuż koło farmy Helmersa.

Widzieliśmy spustoszenia jakie pozostawiło, a z kierunku, z którego szedł huragan, należało wnioskować, że i was ogarnął. Na szczęście obszedł się z wami dość łaskawie.

Fred opowiedział pokrótce o dwukrotnym pojawieniu się upióra i dodał: — To, co mówię, sir, widziało pięć par oczu. Ale pojąć i wyjaśnić tego nie umiem. Nie ma chyba człowieka, który by mógł wykazać, czy mamy do czynienia z uludą, czy z rzeczywistą istotą. — A jednak istnieje taki człowiek i ja nim jestem! — wpadł w słowo Hobbler-Frank. — O żadnym oszustwie nie może być mowy. Upiór jest nadziemską istotą, galopującą w powietrzu. Jest w tej chwili po północy. Czas, który Jankes nazywa godziną duchów. Ta okoliczność wyjaśnia całe zjawisko i jest najlepszym dowodem, że mamy do czynienia z duszą zmarłego, przybyłą z drugiego świata. Nie sądzę, żeby się ktoś odważył mi zaprzeczyć.

Pomylił się jednak, gdyż Old Shatterhand poklepał go po ramieniu i zapytał uprzejmie: — Czegóż by człowiek mógł oczekiwać, gdyby się odważył zaprzeczyć, drogi Franku?

— Hm, to byłoby rozmaicie, w zależności od osoby przeczącej. Freda lub Jemmy'ego zmiażdżyłbym po prostu dowodami. Ale gdyby mi pan zadał jakieś skromne pytanie, to wyjątkowo byłbym skłonny udzielić panu z największym spokojem wyjaś... do licha, to się znowu zaczyna!

Światłość na południu obsuwała się coraz niżej i coraz bardziej bledła. Zdawało się, że całkiem zniknie. Kilka minut leżała jeszcze tylko jak błąda poświata na widnokręgu. Potem jednak blask znów się rozjaśnił i jak po iskrzącym się lonicie przesuwał się coraz dalej na zachód. Tam się zatrzymał i z niesłychaną szybkością przekształcił się w morze płomieni, oświetlające połowę nieba.

— Takiej godziny duchów jeszcze nie przeżyłem — zawołał Frank. — Te płomienie są nadprzyrodzonego pochodzenia, gdyż...

— Nonsens! — przerwał mu Old Shatterhand. — Sprawę tę można bardzo łatwo wytłumaczyć. Tam płonie całkiem naturalny ogień.

— Co by się tam miało palić!

— Uschnięte kaktusy. Jak wiadomo, na Llano Estacado milami ciągną się pola kaktusów, które rosną tak gęsto, że nie można się tamtędy konno przedostać. Kiedy rośliny są uschnięte, wystarczy jedna iskra, żeby w okamgnieniu powstało morze ognia.

— To prawda — potwierdził Fred — i wiem, że na południe i na zachód stąd ciągną się znaczne połacie kaktusów.

— No, to mamy już wytłumaczenie, skąd się wziął ogień, a wkrótce złapiemy za kołnierza także rzekome upiory!

— Oho! — wtrącił się Hobbler-Frank. — „Rzekome upiory”? One były prawdziwe. I jak pan wpadł na to, że to nie było jedno i to samo widmo?

— Wnioskuje to z wyglądu tych postaci. Pierwszy upiór, który ukazał się w dzień, mógł być tym tak zwanym oficerem dragonów w innym przebraniu. Zresztą zobaczymy. Kim było drugie widmo, nie mogę naturalnie jeszcze powiedzieć. Nie znam nikogo, kto nosi futro z białego bawołu.

— Daj pan spokój, panie Shatterhand! Żaden człowiek nie potrafi jeździć po niebie, a to przecież miało miejsce, jak to widzieliśmy wyraźnie pięcioma parami oczu.

— Tak, obrazy poruszały się w powietrzu; oryginały jednak jechały po ziemi.

— Obrazy? to już przechodzi wszelkie granice! Przez całe swoje życie nie słyszałem, żeby obrazy mogły jeździć, i to w dodatku przez kwaśną materię atmosfery! W jakiż to sposób mogły powstać te obrazy?

— Przez kilka różnie ogrzanych warstw powietrznych, jakie się tworzą zawsze podczas pożaru.

— Tak! A więc obrazy powstają przez warstwy powietrza? To dla mnie coś nowego. Dotychczas sądziłem, że mogą być wywołane tylko przy pomocy ołówka, pędzla, lub fotografii?

— A nie także przy pomocy zwierciadła?

— Tak, o tym zapomniałem.

— No, więc powietrze może w różnych okolicznościach zastąpić zwierciadło.

— Aha! To mnie prędzej przekonuje, gdyż w nauce o mirażach jestem najznajmniejszym pośród mistrzów.

— Pięknie! Wobec tego przyzna pan, że pańskie widma były tylko mirażami, zupełnie jak...

Old Shatterhand zamilkł. Uwagę jego przykuł ogień, który ciemnoczerwoną łuną rozlewał się po niebie. Przed ogniem kotłowały się chmury. Powyżej pułapu chmur natomiast, lecz z frontowej strony ognia, powstawał — wisząc swobodnie w powietrzu — odwrócony obraz nizinnej okolicy. Po lewej stronie, tam gdzie się obraz zaczynał, wyłaniał się z ciemności jeździec, ten sam którego przedtem wszyscy widzieli, odziany w futro bawołu, lecz w odwrotnej pozycji, to znaczy głową w dół.

— ... zupełnie jak ten tam! — dokończył Old Shatterhand przerwane zdanie, wskazując na odbicie.

Ledwie skończył mówić, ukazał się drugi jeździec, który pędził za pierwszym.

— Panie Jezu! — krzyknął Hobbler-Frank. — To przecież jest ten z dzisiejszego popołudnia, który pojawił się podczas tornenado!

— Tak? To jest on? — zapytał Old Shatterhand. — No, więc może się pan sam przekonać o tym, że chodzi tu o dwa różne zjawiska. I jeszcze więcej nadjeżdża!

Za ostatnio wymienioną postacią jechało teraz galopem jeszcze pięciu lub sześciu jeźdźców, wszyscy głowami w dół.

— Tego już za wiele! — oświadczył Hobbler-Frank. — Pięknie dziękuję za takie godziny duchów! Słyszałem co prawda o upiórach, które jeżdżą po nocy, trzymając własną głowę pod ramieniem; ale że teraz nawet wszyscy na głowach jeżdżą — tego mi jednak za dużo!

— Nie jest to nic strasznego. Poprzednie obrazy były odbite kilkakrotnie, a ten tylko raz. Dlatego ukazuje się odwrócony. Zresztą zaraz zapoznamy się z tymi upiórami. Szybko na koń, panowie! Zapewne ten jadący na przedzie, to tak zwany upiór pustyni Llano Estacado. Ścigają go, a ponieważ jest porządnym człowiekiem, musimy się trochę o niego zatroszczyć.

— Czyś pan oszalał? — zawołał Frank. — To byłoby grzechem przeciwko światu duchów. Niech pan się zastanowi nad tym, co powiedział nieśmiertelny Goethe:

Człowiek niech bogów nie kusi  
i nigdy ich podpatrywać nie pragnie!

Ale nikt na niego nie zwracał uwagi; wszyscy usłuchali wezwania Old Shatterhanda. — Czy zabierzemy także juczne konie? — spytał Davy.

— Tak, bo chyba tu nie wrócimy.

Dwa juczne konie, które przyprowadzili Old Shatterhand z Bobem, trzymano na wodzy. Frank, chociaż niechętnie, też dosiadł konia. Cała grupa ruszyła i z szybkością wiatru pognąła przez równinę. Z chwilą gdy jeźdźcy opuścili miejsce postoju, znikło im z oczu zjawisko na niebie. Było tylko widać buchający w oddali ogień. Na przedzie jechał Old Shatterhand. Nie kierował się wprost na blask ognia, lecz nieco w prawo od niego i to z ważkich powodów. Musiał przecież obliczyć kiedy osiągnie cel. Było to bardzo trudne, gdyż mirażu, który w dodatku znikł, nie można było z całą pewnością uważać za wskazówkę, a jeźdźcy, których szukał, poruszali się z wielką szybkością.

W ciągu dziesięciu minut jeźdźcy z Old Shatterhandem na czele zrobili chyba ze trzy mile angielskie, ale ogień był jeszcze ciągle bardzo daleko. Jego jasność natomiast zdawała się przybierać na sile.

Minęło jeszcze dziesięć minut. Wtem Old Shatterhand krzyknął i wznosił ramię, wskazując w prawo. Stamtąd zbliżały się dwa punkty, przodem jasny, a za nim ciemniejszy. Dalej za tymi dwoma widać było jeszcze kilka ciemnych punktów, które starały się dogonić dwa pierwsze. Byli to jeźdźcy.

Blask ognia padał na nich z tyłu i nieco z boku i już z daleka pozwalał dość wyraźnie rozróżnić kosmatą postać cwałującego na przedzie. Old Shatterhand wstrzymał konia i zeskoczył z siodła.

— Zsiadajcie! — zawołał do pozostałych. — Ponieważ jedziemy z ciemności, nie zauważono nas jeszcze, podczas gdy my ich, jadących pod światło, widzimy wyraźnie. Nasze konie niech się położą, lecz gdy tylko dosięgnę swego wierzchowca, zróbcie to samo!

Towarzysze Old Shatterhanda spełnili jego polecenie.

Old Shatterhand przezornie wybrał na miejsce postoju małe wgłębienie, leżące w cieniu. Kiedy konie tam się położyły, a jeźdźcy przy nich przykucnęli, jadący z jasności w ciemność mogli ich zobaczyć dopiero znalazłszy się tuż przed nimi. Oni natomiast mogli zupełnie wygodnie objąć wzrokiem całą rozciągającą się przed nimi równinę. Jeźdźca galopującego na przedzie dzieliło od nich może jeszcze pięćset kroków. Za nim w połowie tej odległości pędził drugi jeździec, za którym w takiej odległości cwałowało pozostałych sześciu.

— Co z nimi zrobimy, sir? Zastrzelimy ich? — spytał Davy.

— Nie. Nic nam nie zrobili, a ja przelewam krew ludzką tylko wówczas, kiedy jestem do tego zmuszony. Tylko z pierwszym ścigającym chciałem sobie pomówić. Pozwólcie mi wpierv załatwić moją sprawę samemu! Wam pozostanie tylko rozpedzić pozostałych.

Myśliwy odpiął lasso, które nosił wokół bioder. Jeden koniec, na którym znajdował się węzeł, przymocował do łęku przy siodle swojego spokojnie leżącego konia. Z drugiego końca, opatrzonego pierścieniem, utworzył pętlę, dość szeroką, by mogła objąć korpus człowieka. Pozostałą część pięciokrotnie plecionego i pewnie na dwadzieścia łokci długiego rzemienia przeprowadził między kciukiem i palcem wskazującym do łokcia. W ten sposób powstało wiele pętli, które ujął lewą ręką, podczas gdy pierwszą pętlę zatrzymał w prawej, trzymając pierścień między kciukiem a palcem wskazującym.

Robił to tak szybko, że skończył przygotowania, zanim nadjechał pierwszy jeździec. Teraz słychać już było tętent i niebawem ukazał się wysoki, mocno zbudowany kary koń. Jeździec miał na głowie czerep białego bawołu, którego kosmate futro okrywało grzbiet i boki konia. Twarz jeźdźca była tak głęboko ukryta w czaszce bawołu, że nie sposób jej było rozpoznać.

Kiedy jeździec znalazł się mniej więcej w odległości dziesięciu kroków od wgłębienia, Old Shatterhand wstał. Jeździec spostrzegł go natychmiast, lecz rozpedzonego rumaka udało mu się zatrzymać dopiero tuż przed nim. — Stój, kim jesteś? — zapytał myśliwy.

— Upiorem Llano — zabrzmiał stłumiony głos spod bawolego łba. — A ty?

— Old Shatterhand. Zsiądź spokojnie! Obронimy cię!

— Upiór Llano nie potrzebuje ochrony. Dziękuję wam! Zamaskowany jeździec popędził dalej. Wymiana zdań między nim a Old Shatterhandem trwała zaledwie chwilę. Mimo to tymczasem nadjechał drugi jeździec. Old Shatterhand stanął nad grzbietem swego leżącego konia, jedną nogą z prawej, drugą z lewej strony siodła, trzymając lasso w obydwóch rękach. Młasnął lekko językiem i Hataititla od razu stanął na równe nogi. Tak więc wierzchowiec i jeździec jakby wyrosli spod ziemi.

Nadjeżdżający przeląkł się postaci, która się tak nagle pojawiała. Jemu również nie udało się tak szybko, jak chciał, okiełznać swego konia. Jeszcze mniej panował nad rumakiem, niż upiór nad swoim. Przycwałował aż do Old Shatterhanda.

— Zatrzymaj się Indianinie — rozkazał myśliwy. — Kim jesteś?

— Psiakrew! Old Shatterhand! — wyrwało się obcemu. — Idźcie do diabła! — Spiął konia ostrogami, chcąc uciec.

— Zostańcie! — rozkazał myśliwy. Chciałbym z bliska zobaczyć waszą indiańską twarz. Kto wie, co się za nią kryje!

— Później, kiedy mi będzie bardziej odpowiadało!

To rzekłszy, obcy pomknął dalej. Ale Old Shatterhand ruszył natychmiast za nim.

Kiedy jeździec wykrzyknął szyderczo ostatnie słowa, młody Komancz poderwał się z ziemi.

— Uff! — zawołał. — To jest głos bladej twarzy i ja znam tego człowieka. Żelazne Serce ma także z nim porachunki.

Podniósł swoją strzelbę, złożył się do strzału i wycelował, lecz zaraz opuścił broń mówiąc: — Old Shatterhand już go ma!

Koń uciekiniera zrobił zaledwie kilka skoków, gdy Old Shatterhand, który cwałował tuż za nim, okręcił pętlę lassa cztery, pięć razy wokół głowy i rzucił ją na jeźdźca. Rzemień łatwo się odkręcił z pętli, które Old Shatterhand trzymał luźno w lewej ręce, a pierwsza pętla spadła na tors uciekającego. Ten natychmiast wstrzymał konia. Ponieważ lasso przymocowane było do siodła, rzemień szybko się wypręzał, pętla zaciągnęła się wokół jeźdźca i w ten sposób został ściągnięty z konia.

Old Shatterhand, który momentalnie zeskoczył ze swojego rumaka, podbiegł do leżącego na ziemi, daremnie usiłującego się oswobodzić.

Tymczasem nadjechało pozostałych sześciu jeźdźców, przebranych również za Indian, dlatego towarzysze Old Shatterhanda poderwali swoje konie i szybko je dosiedli. Sześciu przybyszów nie mało się przeraziło tym spotkaniem. Skręcili w bok, żeby wyminąć myśliwych. Wtedy jednak spostrzegli, że drugi jeździec, niewątpliwie ich przywódca, został ściągnięty lassem z konia. Rozpierzchli się natychmiast we wszystkie strony. Myśliwi pozwolili im uciec i podjechali do ich leżącego kamrata.

Człowiek ten został tymczasem przez Old Shatterhanda rozbrojony. Myśliwy zwrócił się do niego z zapytaniem: — Czy zechcecie mi powiedzieć, kim jesteście i po co ta maskarada? Chyba nie sądzicie, że Old Shatterhand mógłby was rzeczywiście uważać za wodza indiańskiego? Komu porwaliście te piękne orle pióra?

Pytany nie odpowiadał.

— Nawet tej grzeczności nie chcecie mi wyświadczyć? Zdaje się, że nie czujecie się zbyt pewnie. Zajrzymy wam więc w twarz!

Chwyteł powalonego w swe silne ramiona, uniósł go i postawił w ten sposób, by twarz jego oświetlił blask ognia. Potem złapał go za czuprynę i jednym szarpnięciem zdarł mu z głowy perukę razem z indiańską ozdobą.

— Do licha! — zawołał Juggle-Fred. — To przecież ten oficer dragonów! Co do kataru ten człowiek teraz na odmianę w przebraniu indiańskim? Cieszy mnie, że was tak szybko znowu widzę! Wasza szafa na odzież w krzakach została odkryta i wypróżniona. Żłście ją ukryli, sir. Wasz mundur także został znaleziony. Co wy na to? I co się teraz z wami stanie?

— Nic mi nie możecie zrobić! — wrzasnął ze złością skrępowany człowiek. — Kto z was zechce mi udowodnić, że spotkała go z mej strony choćby najmniejsza przykreść?

— Tak, tym się zaślaniacie. Nie przedsięwzięliście co prawda jeszcze niczego przeciwko nam, zamiary jednak, jakie knuliście, były złe. Na skutek tego moglibyśmy zgodnie z prawem prerii już cośkolwiek wziąć was w obroty. Nie jesteśmy jednak katami i dlatego puścimy was wolno.

— Musicie, gdyż niczego nie możecie mi udowodnić.

— Och, udowodnić można by wam było już niejedno. Ale to wcale nie jest konieczne. Mówię więc, że my, to znaczy biali, pozwalamy wam odjechać. Jest tu jednakże Indianin, który ma z wami rachunki do wyrównania. Przypatrzcie mu się dobrze!

Komancz wysunął się naprzód. Obcy przyjrzał mu się i oświadczył:

— Nie znam tego człowieka.

— Nie kłam, łajdaku! — zawołał Davy. — A może mnie i Grubego Jemmy'ego także nie znasz? Czyż nie napadliście bez powodu na dwóch Komanczów, z których jednego zabilście, a drugiego ścigaliście tak długo, dopóki nam się nie udało oderwać was od jego śladu? Nie zwlekaj więc i przyznaj się do winy!

— Nie przyznaję się do żadnej winy! — burknął uwięziony, zgrzytając zębami.

Wtedy Old Shatterhand położył mu ciężko rękę na ramieniu i rzekł:

— Widzicie jak sprawy stoją i przypuszczam, że przedstawiono wam mnie jako człowieka, z którym nie ma żartów. Co knujecie przeciw emigrantom, których wasz rzekomy mormon Tobias Preisegott Burton ma przeprowadzić przez Llano? Gdzie znajdują się teraz ci ludzie i dlaczego podpaliliście kaktusy? Jeżeli mi odpowiecie na te pytania zgodnie z prawdą, możecie oczekiwać łagodnego wyroku.

— Nie wiem czego chcecie. Nie znam tego Indianina ani tych dwóch ludzi, a najmniej człowieka o nazwisku Tobias Preisegott Burton. Nic mi także nie wiadomo o jakichś emigrantach.

— Dlaczego ścigaliście upiora Llano Estacado?

— Upiora? Śmieszne! Ten człowiek to łotr, który jednego z naszych ludzi zabił strzałem w czoło.

— Więcej nie macie nam nic do powiedzenia?

— Nie.

— To skończyłem z wami. Wasze plany zostaną zniweczone, gdyż emigrantów weźmiemy pod naszą opiekę. Kłamiecie więc tylko na waszą własną zgubę! Teraz niech mój czerwony brat powie, o co oskarża tego człowieka.

— Mój ojciec, Gwiazda Ognista, został przez tę bladą twarz postrzelony w brzuch, na skutek czego wódz umarł. *Howgh!*

— Wierzę ci. Dlatego od tej chwili morderca należy do ciebie. Zrób z nim co ci się podoba!

— Do stu piorunów — zawołał więzień. — To nie żaden bohaterski czyn z waszej strony. Jestem skrepowany lassem. Wobec tego łatwo będzie temu łajdakowi mnie zabić!

Komancz wznosił ramię na znak pogardy: — Żelazne Serce nie przyjmuje skalpu w podarunku. Osądzi mordercę, ale będzie przy tym tak postępował, jak przystało na dzielnego wojownika. Moi bracia zechcą chwilę poczekać!

Odszedł szybko w ciemności nocy i wrócił niebawem z koniem Stewarta. Zwierzę zatrzymało się po krótkim biegu, a wyostrzony słuch Indianina zdradził mu miejsce, w którym się znajdowało.

Żelazne Serce odłożył całą swoją broń, zatrzymując tylko nóż. Dosiadł swojego konia i zwrócił się do pozostałych: — Moi bracia zechcą rozwiązać tego człowieka i dać mu jego nóż. Potem niech ten człowiek wsiądzie na swojego konia i jedzie, dokąd chce. Żelazne Serce pojedzie za nim i będzie z nim walczył. Broń jest równa: nóż przeciwko nożowi. Jeśli Żelazne Serce po godzinie nie wróci, to znaczy że leży martwy w piasku Llano Estacado.

Według niepisanego prawa sawanny trzeba się było na to zgodzić. Stewart otrzymał nóż, został wyswobodzony z lasa i wskoczył na konia. Popędził w dal ze słowami: — Halo! Głupich nigdy nie brak. Moich planów nie możecie mi teraz pokrzyżować. Jeszcze się zobaczymy, a wtedy niech się Bóg zlituje nad wami!

Żelazne Serce wydał przeraźliwy okrzyk bojowy Komanczów i pognął za nim na swoim koniu jak strzała.

Mysłiwi pozostali na miejscu. Co prawda, kiedy się znów położyli, wymienili jeszcze kilka uwag, lecz okropności, których byli świadkami, tak ich przygnębiły, że wkrótce zamilkli.

Minął kwadrans i drugi. Ogień przybierał na sile. Wtem czekający posłyszeli tętent dwóch galopujących koni. Komancz wrócił, prowadząc za uzdę konia swego wroga. Przy jego pasie wisiał świeży skalp. On sam nie był nawet ranny.

— Żelazne Serce dostał swojemu ojcu jednego z morderców — powiedział spokojnie, dochodząc do leżących. — Innych niedługo pośle za nim. *Howgh!*

Takie było krwawe zakończenie tej godziny duchów.

## 7. PODEJRZENIE

Tam gdzie Nowy Meksyk wciska się swoją najbardziej na południowy wschód wysuniętą częścią w terytorium Teksasu, znajduje się jeden z najniebezpieczniejszych zakątków dalekiego Zachodu. Stykają się tam obszary zamieszkałe przez Komanczów i Apaczów: jest to okoliczność, która powoduje bezustanną niepewność dla tych, którzy te tereny odwiedzają.

Między tymi dwoma plemionami indiańskimi nie może dojść, jak długo będą istniały, do rzetelnego i trwałego pokoju. Wzajemna nienawiść jest za głęboko zakorzeniona. Nawet w czasach, kiedy topór wojenny jest zagrzebany, pod popiołem tli się zgubny ogień i przy najbłahszej okazji może na nowo buchnąć krwawo-czerwonym płomieniem.

Ta bezustanna na krótko tylko przygasająca wrogość, pociąga za sobą ze zrozumiałych względów najliczniejsze ofiary tam, gdzie oba terytoria ze sobą graniczą, a raczej się zazębiają. Granicy nie tworzy przecież żadna prosta linia. Nigdy właściwie nie została dokładnie wytyczona. Dlatego często obydwie strony obwiniają się o jej naruszenie i wtedy zazwyczaj fuzje, jak mawiał Bismarck, zaczynają same strzelać.

Westman nazywa tę niebezpieczną okolicę nożycami. Jest to trafne określenie. Linie graniczne są bowiem ruchome. Otwierają się i zamykają jak nożyce, i ten kto się dostanie między ich rozwarte ostrza, może mówić o szczęściu, jeśli wyjdzie cało. Biały, który się tam zapuszcza, jest albo bardzo odważnym albo bardzo nieostrożnym człowiekiem. W jednym i drugim wypadku sepy śmierci krążą stale nad jego głową.

Na północ od miejsca, w którym spływająca z gór Apache Mountains rzeka Toyah Creek wpada do Rio Pecos, tworzyła ona granicę pomiędzy terytorium Komanczów a ziemiami Apaczów.

Na zachód od tego miejsca teren wznosi się ku górom Salt Plaine Mountains, Sierra Guadalupe i Sierra Blanca, podczas gdy na wschód rozciągają się piaski wypalikonanej równiny, czyli osławiona pustynia Llano Estacado.



Ale pustynia Llano nie zaczyna się zaraz przy brzegu Rio Pecos. Od rzeki dzieli ją zwarty łańcuch górski, od którego odchodzą podłużne doliny. Wyglądają one ponuro i poprzecinane są wąskimi poprzecznymi jarami, mającymi wylot na Llano.

Bliskość rzeki powoduje, że tam gdzie warunki glebowe na to pozwalają, istnieje bujna roślinność. Nazwy „pustynia” nie należy tutaj tak samo jak na Gobi i Saharze brać dosłownie. Tam gdzie zachodni skraj pustyni Llano Estacado wznosi się ku wymienionym górcom, spływają różne ciekły wodne, które co prawda przeważnie wsiąkają w piasek, ale na swojej drodze pozostawiają jednak tyle wilgoci i tak nawadniają przyległy grunt, że na ich brzegach rosną krzaki, a nawet drzewa. Te zielone miejsca wrzynają się na kształt półwyspów i cypli w morze piasku Llano i tworzą pomiędzy sobą szersze lub węższe, głębsze lub płytsze zatoki, w których pleni się trawa i rozmaite zioła.

Szerzyła się nawet pogłoska, że pośrodku Llano znajduje się źródło wspaniałej wody pitnej, która bije z głębokich warstw ziemi i zbiera się w postaci małego jeziora na powierzchni, otoczonej zaroślami i drzewami. Starzy myśliwi opowiadali o tym, lecz sami tego źródła ani jeziora nigdy nie widzieli. Uczni, którzy o tym słyszeli, byli zdania, że obecność wody pośrodku pustyni Llano wcale nie jest taka niemożliwa.

Na brzegu rzeki Toyah Creek siedziało czterech mężczyzn, których wygląd nie budził właściwie zaufania. Zarówno ich włosy jak i brody były zwichrzone i potargane. Ich ubrania były w takim stanie, jaki każdy krawiec uznałby za nie nadający się do reperacji, a ich brązowe ręce i wysmagane wiatrem i wygarbowane zmienną pogodą twarze pozwalały przypuszczać, że od miesięcy nie zetknęły się z wodą. Byli natomiast świetnie uzbrojeni, gdyż przy każdym leżała odytłóćka, a poza nożem mieli po dwa rewolwery.

Trzech z nich było na pewno Jankesami. Dowodziły tego ich długie, chude postacie, pochylone do przodu tułowia o wąskich klatkach piersiowych i ostre rysy twarzy. Trudno jednak było określić przynależność narodowościową czwartego. Ten człowiek był krępy, miał szeroki tors, duże, szerokie ręce i szeroką twarz, z dużymi, mocno odstającymi uszami. Kto tylko przelotnie spojrział na jego oblicze, mógł łatwo wziąć go za Murzyna, gdyż twarz jego była czarna, a raczej granatowa, czarno nakrapiana, ale tylko do linii oczu. Miał zwyczaj ściągać kapelusz głęboko na czoło. Skoro tylko jednak zesunął go na kark, można było zobaczyć, że jego czoło aż do nasady nosa jest białe. Naskórek jego twarzy spalony został na skutek wybuchu prochu strzelniczego.

Mimo tego zeszpecenia, twarz ta nie była odpychająca. Kto się odkładnie przyjrzał temu osobnikowi, doszedł na pewno do przekonania, że to dobry człowiek.

To samo można było powiedzieć o trzech pozostałych osobach. Kto by ich spotkał w ich obecnym stroju w cywilizowanej okolicy, zapewne zszedłby im z drogi, lecz przy ich bliższym poznaniu wszelka obawa zniknęła.

Cztery konie pasły się na trawie, która rosła obficie między zielonymi krzakami. Widać było, że zwierzęta są bardzo zabiedzone. Siodła i uzdy były stare i w wielu miejscach prowizorycznie naprawiane.

Właściciele koni skończyli się posilać. Po kościach, wałających się po ziemi, można było poznać, że upiekli sobie na ogniu szopa pracza. Resztki małego ogniska jeszcze się dopalały. Rozmawiając bacznie lustrowali okolicę. Znajdowali się bowiem właśnie w „nożycach”, gdzie należało mieć oczy i uszy otwarte.

— Już czas, żeby się zdecydować — rozpoczął jeden z Jankesów, który zdawał się być najstarszym z biwakujących. Jeżeli pojedziemy przez Llano, to dotrzemy co prawda wcześniej do celu, narażemy się jednak na niejedno ryzyko i musimy przyjąć, że mięso, które teraz jedliśmy, było ostatnim przed długim postem, jaki nam grozi. Jeśli natomiast oberzemy jazdę wzdłuż rzeki Rio Pecos, to nie zaznamy głodu ani pragnienia, lecz nadłożymy drogi o cały tydzień. Jakie jest twoje zdanie, Blount?

Zapytany pogładził brodę w zamyśleniu i odrzekł: — Rozważywszy wszystko dokładnie, proponowałbym, żebyśmy jechali przez Llano i sądzę, że przyznasz mi rację, Porter.

— To przedstaw nam swoje powody!

— Tydzień, to zbyt długo. Nie chciałbym stracić tyle czasu! Jadąc wzdłuż Rio Pecos musimy być przygotowani na spotkanie z Apaczami i Komanczami, a na Llano Estacadoz sępami pustyni. To się wzajemnie znosi, jak plus z minusem. Nie musimy zresztą jechać przez całą szerokość Llano. Trzymając się wschodniej strony pustyni, mniej więcej w kierunku Rio Concho, dojedziemy do szlaku karawan, prowadzącego z fortu Leaton do Fortu Mason i wówczas nie potrzebujemy się obawiać ani przykrych spotkań, ani też głodu, czy pragnienia. Taki jest mój pogląd. Co ty na to, Falser?

— Zgadza się z tobą — przytaknął zapytany. — W ogóle jestem zdania, że pustynia Llano Estacado nawet w połowie nie jest tak niebezpieczna, jak to się wydaje. Kto ją raz przebył, aby się tylko jak najbardziej chwalić, przedstawia niebezpieczeństwo pustyni Llano Estacado w taki sposób, jakby była prawdziwym piekłem. Z przyjemnością oczekuję, żeby ją poznać.

— Właśnie dlatego, że jej jeszcze nie znasz — stwierdził Porter.

— Czy ty ją już może poznałeś?

— Nie. Słyszałem jednak co opowiadali o niej ludzie, w których prawdomówność nie można wątpić, i strach mnie obleciał. Teraz, kiedy znajdujemy się na jej skraju, zdaję sobie dopiero sprawę, na co się chcemy odważyć. Nikt z nas nie zna pustyni Llano. Jeżeli zabłądzimy, jeżeli skończy się nam woda, jeżeli ...

— Jeżeli, jeżeli i jeszcze raz jeżeli — przerwał mu Blount. — Kto ma tyle „jeżeli”, ten niech lepiej niczego nie przedsięwzię. Jesteś przecież odważnym człowiekiem. Czy teraz może się boisz?

— Bać się? Ani myślę. Pomiędzy ostrożnością a strachem jest jednak różnica i nie sądzę, żebyście mnie kiedyś widzieli wystraszonego. Jest nas czterech. Zastosuję się do tego, co postanowi większość. Zanim się powźmie decyzję, trzeba się zastanowić. Dwóch wypowiedziało już swoje zdanie. Postanowili przejść przez Llano. Teraz ty, New-Moon powiedz, czy chcesz się do nich przyłączyć, czy też nie!

To wezwanie skierowane było do człowieka z twarzą spaloną przez proch strzelniczy. Zapytany przyłożył rękę do ronda kapelusza, salutując jak żołnierz przed oficerem i odpowiedział: Rozkaz, panie Porter! Pojadę z panem wszędzie, nawet gdybym miał popaść w tarapaty.

— To mi nic nie mówi. Oczekuję konkretnej odpowiedzi. Wzdłuż Rio Pecos czy przez Llano?

— No to przez Llano, jeśli łaska. Tak bym sobie raz chciał obejrzeć tę starą piaskownię.

— Piaskownię? Nie łudź się, stary pucułowaty księżycu! Wyobrażasz sobie może, że z tej strony pustyni wejdiesz, a potem zaraz z tamtej strony wyjdiesz? Ta rzecz jest trochę większa, niż sobie wyobrażasz. Możesz jechać cztery lub pięć dni, zanim wyjedziesz z tej beczki piasku. I właśnie, jeśli przetniemy południową część pustyni, jest prawdopodobne, że natkniemy się na Indian.

— Niech się zjawia! Nigdy jeszcze żadnemu czerwonemu nie wyrządziłem krzywdy, więc nie muszę się obawiać tych ludzi. A gdyby się do nas wrogo ustosunkowali, to mamy przecież broń. Takich czterech silnych zuchów jak my, którzy tyle prochu już wachali, jest w stanie sprostać co najmniej dwudziestu a nawet większej liczbie Indian.

— To na pewno. Co się jednak tyczy wachania prochu, to wyprzedzasz mnie w tym o długość konia. Chyba cała beczka prochu eksplodowała przed twoją twarzą!

— To się prawie zgadza.

— Jak to się stało? Jeszcze nam tego nie opowiedziałeś. Czy za tym kryje się jakaś tajemnica?

— Bynajmniej. Ale niechętnie o tym mówię. Moje życie, a w każdym razie wzrok były wówczas poważnie zagrożone. Gdyby wtedy nie było przy mnie mojego starego przyjaciela Juggle-Freda, to byłbym teraz ślepy albo nawet martwy.

— Co? Ty znasz Freda? Dużo o tym człowieku słyszałem.

— Byliśmy dobrymi kolegami i wspólnie popełniliśmy niejedno szaleństwo, przy którym innych ludzi strach by ogarnął. Chętnie bym go znowu zobaczył! Jestem mu winien wdzięczność za to, że udaremnił wówczas plan Stealing-Foxa.

— Stealing-Foxa? — spytał Porter zaskoczony. — To spotkałeś się także z tym osławionym hultajem?

— Niestety! Poznałem go nawet dokładnie, niżbym sobie tego życzył. Zwał się Henry Fox, a przynajmniej sam tak siebie nazywał. Czy to było jego prawdziwe nazwisko, tego nie wiem. Należy przypuszczać, że posługiwał się różnymi nazwiskami. Gdziekolwiek się pojawił, nikt nie mógł być pewnym swego konia, swoich siodeł na bobry, w ogóle swojego mienia i nigdy nie udało się ukrócić jego występków. Był bowiem tak przebiegły, że drugiego takiego ze świecą szukać po świecie. Znikał tak szybko, jak się zjawiał. Gdybym go kiedyś spotkał, to bym... słuchajcie!

New-Moon przerwał swoje opowiadanie, uniósł się trochę z ziemi i nasłuchiwał. Konie, znajdujące się w pobliżu, nastawiły uszu.

Słychać było odgłos zbliżających się kopyt końskich.

Wszyscy czterej zerwali się na równe nogi i chwycili za broń, przygotowując ją do strzału.

— Czyżby to byli Indianie? — szepnął Blount.

— Nie, to są tylko dwaj biali — oznajmił New-Moon, który pod osłoną krzaka wypatrywał zbliżających się, ludzi. — Są ubrani po meksykańsku. Zatrzymują się i obserwują nasze ślady, za którymi zdaje się aż dotąd jechali.

Porter doszedł do New-Moona, żeby także tych dwóch zobaczyć, Meksykanie siedzieli na koniach, mocno pochyleni do przodu, by lepiej widzieć ślady na trawie. Ich odzież i wyposażenie były istotnie meksykańskie: szerokie spodnie dołem rozcięte, barwne kamizelki, krótkie i szerokie kurtki ozdobione srebrnymi sznurami, powiewające czerwone chustki na szyi i także szarfy, spoza których widać było uchwyty noży i pistoletów, sombrero o szerokich rondach, no i co bardzo ważne, olbrzymie ostrogi u obuwiu. Ich konie były, jak się zdawało, w pierwszorzędnym stanie, co w tej okolicy musiało budzić zdziwienie.

— Tych nie ma się co obawiać — stwierdził cicho Porter. — Meksykańscy jeźdźcy, których możemy powitać.

Wyszedł zza krzaka i zawołał do nadjeżdżających: — Tu są ci, których szukacie, panowie! Mamy nadzieję, że nie tropicie naszych śladów w złych zamiarach!

Meksykanie najwidoczniej się przestraszyli, kiedy tak nagle zostali zagadnięci, a przy tym ujrzeli wysoką postać Jankesa. Sięgnęli do łęków po swoje fuzje.

— Zostawcie to! — uspokoił ich Porter. — Jesteśmy uczciwymi ludźmi, ze strony których nie potrzebujecie się niczego obawiać.

— Ile osób? — zapytał jeden z przybyłych.

— Cztery. Wasze fuzje na nic by się nie zdały, gdybyśmy mieli ochotę przyjąć was wrogo. Chodźcie więc spokojnie bliżej!

Obcy zamienili ze sobą po cichu kilka słów i powoli podjechali. Obejrzeliby trójkę Jankesów, podejrzliwie zlustrowali miejsce, po czym zsiadli z koni.

— Jesteście diabelnie ostrożni, panowie — powiedział Porter. — Czy wyglądamy na rozbójników?

— No cóż — rozpoczął jeden z nich, śmiejąc się. — Nie jesteście zbyt wystrojeni. A co się tyczy waszych koni, to wątpliwe, czy nadawałyby się do cyrku. Do licha! Ależ wyglądacie zmizerowani i zaniedbani, panowie!

— Czy w tej okolicy może być inaczej? Do najbliższego osiedla trzeba jechać prawie cały tydzień. Jeśli jest się tak długo w drodze jak my, to oczywiście nie ma się stosownego nastroju, żeby złożyć wizytę pani prezydentowej w Waszyngtonie. Jeśli jednak mimo to chcecie nam podać rękę, to mile was witamy!

— Spotkanie z uczciwymi ludźmi jest zawsze przyjemne, zwłaszcza w tej niebezpiecznej okolicy. Chętnie się więc zgadzamy. Najpierw przedstawimy się. Jesteśmy braćmi i nazywamy się Pellejo. Mówcie mi Carlos, a mojemu bratu Emilio! — Jankesi wymienili swoje nazwiska i podali przybyszom rękę. Porter indagował dalej: — My jedziemy ze starej Kalifornii i chcemy się dostać do Dallas. Czy moglibyśmy się z kolei dowiedzieć, jaka sprawa was sprowadziła tak blisko Llano?

— Do pustyni chcemy się nie tylko zbliżyć, lecz musimy ją przebyć. Jesteśmy zatrudnieni na farmie w pobliżu San Diego w charakterze pastuchów i otrzymaliśmy polecenie zainkasowania po tamtej stronie Llano, mianowicie w Greenville, pieniędzy dla naszego farmera. Niebezpieczna sprawa, nieprawdaż? Dlatego jedziemy we dwóch.

— Niebezpiecznie będzie dopiero w drodze powrotnej, kiedy będziecie mieli przy sobie pieniądze. To delikatne zadanie wieźć czyjeś pieniądze przez Llano. To, cośmy sobie zaoszczędzili w Kalifornii i teraz mamy przy sobie, jest naszą własnością. Nie ciąży więc na nas żadna odpowiedzialność i o tyle jesteśmy w lepszej od was sytuacji. Pomimo to nasza czwórka naradzała się, czy nie byłoby wskazane nadłożyć drogi, by ominąć pustynię. Wy natomiast chcecie przez nią jechać we dwojkę. To wielka odwaga.

— Nie tak bardzo, senior — odrzekł Carlos. — Czy znacie pustynię Llano Estacado?

— Nikt z nas ani razu jej nie przebył.

— To rozumiam waszą obawę. Kto nie zna pustyni, ten lepiej niech tamtędy nie jedzie. My dwaj natomiast przejechaliśmy Llano chyba przeszło dwadzieścia razy i jesteśmy tak obeznani z tym terenem, że właściwie o niebezpieczeństwie nie może być mowy.

— Ach, no to co innego! Chcecie się dostać do Greenville? To leży prawie na naszej drodze! Moglibyśmy się więc do was dołączyć, jeśli nie mielibyście nic przeciwko temu.

Kiedy Porter wcześniej nieopatrznie wspomniął o pieniądzach, które on i jego koledzy wieźli ze sobą, dwaj Meksykanie zamienili szybkie spojrzenia. Teraz Carlos odpowiedział niemal zbyt skwapliwie: — Absolutnie nie mamy nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, będzie nam bardzo miło, gdyż im więcej nas będzie, tym lepiej i łatwiej będzie nam stawić czoło ewentualnym niebezpieczeństwom.

— No to dobrze, senior! Jedziemy z wami i nie pożałujecie tego. Jak się przedstawia wasz plan podróży na dzisiejszy dzień?

— Mieliliśmy zamiar dojechać jeszcze dziś do Rio Pecos, może nawet aż do początku Yuaf-kai.

— Co to jest?

— To słowo pochodzi z języka Utahów i znaczy tyle co śpiewająca dolina. Fama niesie, że w tej dolinie słychać często w nocy nadprzyrodzone, nie dające się wytłumaczyć głosy. My dwaj jednak, jakkolwiek często przejeżdżaliśmy tamtędy, niczegośmy nie słyszeli. Wyście się tu pewnie już na noc rozłożyli obozem?

— Nie. Byłoby to niewybaczalne marnotrawstwo czasu. My także chcieliśmy dotrzeć do rzeki Pecos i może jechać z jej prądem, żeby ominąć Llano. Skoro jednak spotkaliśmy was, a wy chcecie nas zabrać ze sobą, to oczywiście pojedziemy przez pustynię. Czy sądzicie, że napotkamy tam Indian?

— Chyba nie. Takiego spotkania należałoby się raczej spodziewać tutaj. Skoro dotychczas nie widzieliśmy żadnego czerwonoskórego, to tym bardziej później nie należy się tego obawiać. Ci hultaje nie kręcą się tu teraz, gdyż niedawno zakopali wojenne topory.

— To miło słyszeć. A jak się przedstawia sprawa z tak zwanymi sępami pustyni? Ci mają być o wiele niebezpieczniejsi od Indian.

— Phy! Nie dajcie sobie tego wmówić! Wiecie już, jak często byliśmy na Llano, ale jeszcze nigdy nie mieliśmy szczęścia zobaczyć któregoś z tych sępów, żyjących tylko w wyobraźni głupich i strachliwych ludzi.

— A ten tak zwany upiór pustyni Llano Estacado?

— To też urojenie, nie mające sobie równego. Bajka dla dzieci! Llano jest pustynią jak inne. Jest tam dużo piasku i nie ma żadnej wody. Grunt jest tak nieurodzajny, że nawet upiory na nim nie rosną. Jeśli chodzi o brak wody, to bardzo łatwo temu zaradzić, gdyż jest tam dość kaktusów, których sok nadaje się do picia. Nie ma więc żadnego powodu, żeby się bać pustyni.

— Opowiadano mi coś wręcz przeciwnego. Ponieważ jednak znacie tę okolice, wierzę naturalnie waszym słowom. Jeżeli nie macie ochoty trochę tu odpocząć, to jesteśmy gotowi zaraz wyruszyć.

— Najlepiej będzie, jeżeli pojedziemy dalej. Miejmy nadzieję, że wasze konie wytrzymają.

— Są o wiele lepsze, niż wyglądają. Z ich powodu nie potrzebujemy zwlekać.

Wygląd obydwóch Meksykanów nie budził podejrzeń. Mimo to należało uważać za nieostrożność, że Jankesi tak szybko i bez sprawdzenia tożsamości oraz prawdomówności obcych, zdecydowali się jechać z nimi. Tylko jeden z całej czwórki nie był taki ufny, mianowicie New-Moon.

Ten przydomek otrzymał z uwagi na to, że jego okrągłe oblicze przypominało księżyc w pełni. Może był bardziej doświadczony i bystrzejszy od swoich trzech towarzyszy. Kiedy jeźdźcy ruszyli w kierunku nurtu rzeki, jechał z tyłu za innymi i cały czas obserwował Meksykanów. Nie miał oczywistego powodu, żeby im nie ufać, ale jakieś nieokreślone przecucie mówiło mu, że w stosunku do nich trzeba zachować ostrożność.

Jechali wzdłuż prawego brzegu rzeki Toyah. Nic nie wskazywało na to, że pustynia Llano Estacado jest blisko. Wszędzie rosła trawa, krzaki i drzewa. Pod wieczór natknęli się na takie skupisko drzew, że tworzyło ono niemal las, przez który płynęła rzeczka, wpadająca do Rio Pecos. Wody rzeczki Toyah Creek niosły dużo ziemi i piasku, które odkładały się potem w Rio Pecos. Na skutek tego tworzyła się prawdziwa ławica i ciągnęła się w poprzek i na ukos w dół rzeki Pecos, która w tym czasie toczyła niewiele wody. Ława piaskowa była poprzerywana tylko w wąskich miejscach, które pozwalały na przepływ strumienia. W ten sposób powstawał bród, łatwy do przebycia, ponieważ tylko te wąskie miejsca trzeba było przepłynąć.

Było zaledwie wczesne popołudnie i dlatego postanowiono jeszcze tego dnia przepłynąć się przez rzekę i zatrzymać się na nocleg po jej drugiej stronie, w dolinie Yuaf-kai. Konie płynęły wspaniale, więc mężczyźni przedostali się na drugi brzeg w dobrym stanie. Jedyne spodnie namokły trochę dołem. Skierowali się na północ i przejechali obok miejsca, gdzie teraz kolej Teksas-Pacyfik przecina Rio Pecos. Potem cała grupa podążyła ku wzgórzom, u stóp których zieleńiły się trawy i zarośla, podczas gdy ich zaokrąglone wierzchołki były gołe. Tam otwierał się wąski parów, przez który płynął mały, płytki strumyk. Meksykanie wprowadzili całą grupę do wąwozu. Był on dość głęboki, lecz ściany nie wznosiły się stromo i woda nie miała dużego spadku. Grunt porośnięty był trawą, a po obu bokach parowu pieniała się tuż przy skałach bylica-piołun. Był to znak, że niedaleko już do strefy nieprzyjaznej dla roślinności. Później skalne ściany cofały się nieco, dno doliny zasypane było odłamkami skał oraz grubym żwirem. Tylko w bezpośrednim pobliżu wody było jeszcze trochę skąpej murawy.

— Czy nie było lepiej przenocować w dolinie Rio Pecos? — spytał Blount. — Tam mieliśmy paszę dla koni oraz dość drewna i gałęzi na ognisko. Tu w wąwozie jest tego coraz mniej, im dalej się zapuszczamy.

— Poczekajcie tylko, senior! — uspokajał go Carlos Pellejo. — Dalej w górze znajduje się miejsce, które znakomicie nadaje się na rozbić obozu. Będziemy tam za kwadrans.

Po upływie tego czasu dolina nagle się rozszerzyła, tworząc prawie okrągły kocioł, o średnicy mniej więcej trzystu metrów. Dolinę otaczały strome ściany skalne, w których zdawało się nie było żadnego przejścia. Wkrótce jednak Jankesi zauważyli właśnie naprzeciwko siebie wąską, głęboką szczelinę, przez którą można się było zapewne wydostać.

Z tego kotła wypływał strumyk. Miejsce, w którym źródło biło z ziemi, znajdowało się niżej od otoczenia. Tak więc woda tworzyła mały staw, obramowany gęstym żywopłotem. Po drugiej stronie sadzawki, w pobliżu tła skalnego, można było zauważyć grupę egzotycznych roślin. Były to twory od dwóch do pięciu metrów wysokości, podobne do żyrandoli. Zdawały się nie mieć gałęzi ani liści, a na ich stromo sterczących ramionach rozmieszczone były liczne bulwy, przypominające figi. Była to kolonia kaktusów, których owoce, podobne do fig, były jadalne. Emilio Pellejo wskazał na nie i oznajmił: — Tam narwiemy sobie deseru na kolację, a przy stawie jest dość trawy i zielonych liści dla naszych koni. Chodźcie, senores!

Emilio Pellejo puścił swego konia kłusem w kierunku źródła. Inni pojechali za nim. Zaledwie sześć długości konia dzieliło ich od zarośli, gdy zabrzmiało głośne „stać!” — Natychmiast okiełznali konie. — Kto, tu? — zapytał Porter, wyęzając wzrok w kierunku krzaków, skąd padło wezwanie do zatrzymania się.

— Biali myśliwi — zabrzmiała odpowiedź. — Kim jesteście? — Podróźni. — Skąd przybywacie? — Z Kalifornii. — Dokąd macie zamiar się udać? — Na drugą stronę do Teksasu, a mianowicie do Dallas. — Przez Llano? — Tak. Spróbujemy zawrzeć z wami znajomość, panowie.

Krzaki rozchyliły się. Najpierw ukazały się dwie lufy karabinowe, a potem wychynęli z zarośli ich właściciele. Jeden z nich był krępyim mężczyzną z twarzą okoloną brodą, a drugi blondynem, młodzieńcem bez zarostu, który zapewne miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Wzajemne podobieństwo tych dwóch mężczyzn pozwalało przypuszczać, że są ojcem i synem. Mieli odzież ze skóry i kapelusze z szerokimi rondami.

— Do diabła! — zdziwił się Porter. — Ileż waszych oddziałów stacjonuje tam nad wodą? — Nie mamy żadnych, sir. — To jesteście sami? — Tak. — I odważyliście się wyjść przeciwko sześciu dobrze uzbrojonym myśliwym z wycelowanymi karabinami? — Phy! —

odparł starszy. — Mamy dubeltówki. Czterech z was zrzucilibyśmy tą bronią z siodła, a na dwóch pozostałych wystarczyłyby rewolwery. A więc chodźcie zgodnie nad wodę!

Sześciu jeźdźców usłuchało wezwania i zsiadło z koni nad brzegiem stawu. Pasły się tam konie tych dwóch obcych, gdyż była tam świeża zielona trawa. Miejsce, na którym leżał popiół, wskazywało, że tutaj paliło się ognisko. Tu też obaj usiedli.

Nie wyglądali jak nowicjusze na dalekim Zachodzie. Ojciec robił wrażenie doświadczonego i dzielnego myśliwego, a z młodocianej twarzy jego syna biła taka spokojna powaga, że od razu można się było domyślić, iż mimo swego młodego wieku przeszedł już twardą szkołę życia. Grupa myśliwych przypatrywała im się ciekawie i z pewną nieufnością. Wreszcie wszyscy dosiedli się do tych dwóch i wyciągnęli swój prowiant, składający się z wędzonego mięsa.

— Czy zechcielibyście nam powiedzieć, sir, jak długo już tu jesteście? — spytał Porter, podejmując tym samym rozmowę.

— Od wczorajszego wieczoru — odpowiedział starszy myśliwy.

— Już od wczoraj? Wygląda na to, że macie zamiar tu dłużej zabawić.

— Tak też jest istotnie.

— Ależ sir, ta okolica jest niebezpieczna! Nie nadaje się do rozbijania tu namiotu.

— Nam się podoba, sir. Mamy tam na górze spotkanie. Ci, których oczekujemy, przybędą przez Llano i przez tę dolinę. Ponieważ stawiliśmy się na miejscu za wcześnie, czas nam się dłużył i wyjechaliśmy aż tu naprzeciw naszym przyjaciółom.

— Kiedy przybędą?

— Za dwa lub trzy dni.

— Jeżeli chcecie tak długo czekać, to możecie się spodziewać spotkania z Apaczami i Komanczami!

— Tym się nie przejmujemy. Żyjemy z nimi w zgodzie. Zresztą jest u nas także jeden Indianin, który starcza za całą ich gromadę.

— A więc jednak nie jesteście sami, lecz w trójkę! Gdzie jest ten człowiek?

— Odjechał, żeby się rozejrzeć po okolicy, ale wkrótce wróci.

— Mówicie, że ma być tyle wart, ile cała gromada Indian? To musiałby być wybitnym myśliwym, co najmniej takim jak Old Shatterhand. Znacie go?

— Tak, ale to nie on. — A kto?

— Zobaczycie, jak wróci. Niech się wam osobiście przedstawi. Ja się nazywam Baumann, a ten młody człowiek, to Martin, mój syn.

— Dziękuję, sir! Skoro wymieniliście swoje nazwiska, winniście też poznać nasze. Ja się nazywam Porter; Blount i Falser to ci dwaj, a ten o ciemnej księżycowej twarzy nosi przydomek New-Moon. Ci dwaj Meksykanie spotkali nas dzisiaj. Są z farmy znajdującej się w okolicy San Diego i chcą przebyć Llano, aby po drugiej stronie zainkasować pieniądze dla ich pana, u którego są zatrudnieni w charakterze starszych pastuchów. Nazywają się Carlos i Emilio Pellejo.

Ile razy wymieniał nazwisko, wskazywał na jego właściciela, któremu Baumann dokładnie się przyglądał. Baumann najdłużej zatrzymał wzrok na obu Meksykanach. Jego brwi ściągnęły się, a broda lekko drgnęła. Potem zwrócił się do Carlosa: — Wasza farma leży w okolicy San Diego? Czy można wiedzieć, jak się nazywa?

— Estanza del Cuchillo.

— A jej właściciel?

— Nazywa się senor ... senor Montano.

Carlos zatrzymał się przed wymienieniem nazwiska swego rzekomego pracodawcy, jakby je sobie musiał dopiero przypominać.

Baumann, nie wyrażając jeszcze swojego podejrzenia słowami, pytał dalej: — A wy jesteście starszymi pastuchami albo robotnikami rolnymi senora Montano?

— Tak.

— Czy on zatrudnia jeszcze więcej takich starszych pastuchów?

— Nie. My jesteśmy jedynymi.

Teraz Bauman wyciągnął zza pasa rewolwer, jakby chciał się nim tylko bawić i rzekł, podczas gdy jego syn również sięgnął po swój pistolet: — Sądzę, ludzie, że kłamiecie!

Meksykanie zerwali się, wyciągając noże zza pasów. — W tej chwili to odwołacie, senor! — zagroził Carlos.

Bauman siedział spokojnie dalej, kierując jednak lufę swej małej tak niebezpiecznej broni na mówiącego, i rzekł ostrzegawczo: — Nie próbujcie zbliżyć się do mnie choćby o krok, w przeciwnym razie trafi was moja kula, a waszego brata kula mego syna. Z chwilą, gdybyście przypadkiem sięgnęli po wasze pistolety lub wykonali jakikolwiek podejrzaną ruch, zostaniecie przy dźwiękach muzyki wyprawieni na drugi świat. Nazywam się Baumann. To nazwisko jest wam zapewne nieznane. Indiańskie plemiona Siuksów nazywają mnie *Matopoka*, Komancze zowią mnie *Vila-yalo*, Apacze nadali mi imię *schoschinskisk*, myśliwi, używający języka hiszpańskiego wołają mnie *el cazader del oso*, a mówiący po angielsku *bear-Hunter*. Wszystkie te nazwy oznaczają jedno, mianowicie łowcę niedźwiedzi. Może przypominacie sobie teraz, żeście już kiedyś o mnie słyszeli.

— Co takiego? Wy, sir, jesteście łowcą niedźwiedzi? — zawołał New-Moon. — Mam na myśli tego Niemca, który w pobliżu Czarnych Gór miał sklep, a oprócz tego uprzykrzał życie niedźwiedziom?

— Tak, to ja, sir.

— Oczywiście dużo o was słyszałem. Czy to nie was Siuksowie schwytali i zawlekli do gorących źródeł nad jeziorem Yellowstone?

— Istotnie mi się to przydarzyło. Old Shatterhand i Winnetou uwolnili mnie. Mój syn był u nich.

— Opowiedziano mi o tym. Cieszę się, że was spotkałem i mam nadzieję, że ta mała różnica zdań między wami a tymi senorami zaraz się wyjaśni. Czy możecie udowodnić, że wasze zarzuty są słuszne?

— Tak. Żaden farmer nie posłałby przecież swoich jedyńskich doświadczonych pastuchów na Llano. Tego możecie być pewni. Jednego potrzebuje stale na farmie. Jeżeli drugi miałby rzeczywiście inkasować pieniądze, to farmer dodałby mu jednego lub prawdopodobnie kilku młodszych pastuchów dla ochrony. Poza tym właśnie teraz, przebywaliśmy kilka tygodni w okolicy między El Paso a Albuquerque. Wstępowaliśmy na każdą farmę i do każdej hacjendy, ale nigdzie, a zwłaszcza pod San Diego, nie napotkaliśmy ani farmy del Cuchillo, ani farmera o nazwisku Montano.

— To ominęliście naszą posiadłość — wyjaśnił Emilio.

— Nie sądzą. A nawet gdyby tak było, byłbym słyszał o tej farmie i jej właścicielu. Schowajcie noże i siadajcie spokojnie. Grozić sobie nie pozwolę. Nie przepędzę was z obozowiska, ponieważ przyszlście z ludźmi, których uważam za uczciwych. Jak się zachowacie, tak

będziecie traktowani. Na skraju Llano nigdy nie zawadzi być ostrożnym i każdy wie, że tu bardziej obawiać się trzeba białych niż czerwonych.

— Czy uważacie może, że jesteście sępami pustyni Llano Estacado?

— Na to pytanie odpowiem wam przy rozstaniu. Wtedy będę was już znał, podczas gdy teraz sąd mój o was może się opierać tylko na przypuszczeniach. Jeżeli jesteście porządnymi ludźmi, czego bym sobie oczywiście życzył, to na pewno rozejdziemy się jak przyjaciele. Dwaj Meksykanie spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Dla realizacji ich ukrytych zamiarów wskazane było, żeby uderzyć w ton pojednawczy. Dlatego Carlos rzekł: — Wasze ostatnie słowa złagodziły trochę przykrość, jaką nam sprawiło to, co mówiliście poprzednio. Ponieważ jesteście uczciwymi ludźmi, mamy pewność, że wkrótce uświadomicie sobie, jak krzywdzące dla nas były wasze podejrzenia.

Carlos usiadł, a jego brat poszedł za jego przykładem. Baumann posłał syna do kępy kaktusów, żeby narwał trochę ich owoców, podobnych do fig. Owoce te mieli spożyć wszyscy na deser.

Podczas gdy jedli, zapadła noc i mężczyźni rozpalili niewielkie ognisko. Drewna opałowego znalazło się pod dostatkiem. Niebawem czekały ich cuda śpiwającej doliny.

Kotlina, jak już wiadomo, odgradzona była od równiny wysokimi skalnymi ścianami. Prądy powietrzne, które na zewnątrz mogły występować z całą siłą, tutaj z trzech stron nie miały dostępu. Tylko z czwartej strony, z której weszli do kotliny Jankesi z Meksykanami, mógł się przedostać do środka podmuch powietrza. To jednak tylko wówczas było możliwe, jeśli wiatr wiał dokładnie w tym kierunku i był tak silny, że nie rozptywał się w dolnej części kotliny.

Teraz właśnie po zapadnięciu zmroku dał się odczuć ruch powietrza, nadchodzący ze wzmiankowanego kierunku. Ten strumień powietrza rozprzestrzenił się w górę wzdłuż skalnych ścian i tylko jego znikoma częśćka znajdowała ujście przez wąską szczelinę, tworzącą wylot kotliny na Llano. Prąd powietrza nie wchodził do kotliny uderzeniowo, lecz stopniowo. Czuło się go wyraźnie, a jednak nie poruszał płomieniem ogniska. Nie powodował najmniejszego odgłosu ani żadnych gwizdów czy wycia wichury, a mimo to ucho go łowiło. Przy tym oddychało się całkiem inaczej niż poprzednio; czy lżej czy trudniej, tego rzecz szczególna, nie sposób było powiedzieć. Kaktusowe figi zostały zjedzone i syn łowcy niedźwiedzi poszedł po nowe. Zaledwie minął krzaki, dał się słyszeć jego głos: — Co to jest? Chodźcie tu tylko panowie! Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziałem!

Podążyli na jego wezwanie. Kiedy przeszli między wodą a krzakami, oczom ich ukazał się zaskakujący widok. Cała kotlina pogrążona była w głębokiej ciemności, gdyż blask nikłego ogniska nie przebijał przez krzaki. Tam jednak gdzie rosły kaktusy, widać było liczne pęki płomieni, które lśniły dziwnie bladym, bezbarwnym blaskiem.

Wszystkie kaktusy, sterczące niby świeczniki, dźwigały na sobie dużo takich wiązek. Każde ramię kandelabru zdawało się mieć taki płomyk na swoim spiczastym zakończeniu. Było to cudowne, prawie widmowe zjawisko.

— Co to może być? — spytał Porter.

— Ja także tego nigdy nie widziałem! — odpowiedział Falser. — Można by się tego niemal bać.

Wtem rozległ się za nimi głęboki, dźwięczny głos: — To jest *kisniribisarzhe-ko*, płomyki Wielkiego Ducha, które zapala on, jeśli chce ostrzec swoje dzieci.

— O rany! Kto tam jest za nami? — zawołał przerażony Emilio Pellejo. — Czyśmy wpadli w zasadzkę?

— Nie — uspokoił go łowca niedźwiedzi. — To mój towarzysz, któregośmy oczekiwali. Nadszedł niezauważony, jak to jest w jego zwyczaju.

Spojrzeli za siebie. W obrębie krzaków, tuż przy ogniu, zatrzymał się jeździec. W jaki sposób mógł i to w dodatku na koniu przedostać się przez zarośla, nie będąc słyszonym? Siedział na wspaniałym karym koniu, osiodłanym poindiańsku i w indiańskiej uprzęży. Indiański był również ubiór jeźdźcy i jego wygląd, zwłaszcza twarz, bez cienia zarostu. Za to na plecy spadały mu w wielkiej obfitości długie, czarne włosy. W ręce trzymał dubeltówkę, której drewniane części nabijane były srebrnymi gwoździami.

Jankesi i Meksykanie wydali okrzyki zdumienia i zachwytu. — Kim jest ten Indianin? — zapytał Porter. — Czy jest ich tu jeszcze więcej?

— Nie, on jest sam — odparł Baumann. — To jest Winnetou, wódz Apaczów.

— Winnetou, Winnetou! — podawano sobie z ust do ust. Apacz zsiadł z konia, nie zwracając uwagi na pełne podziwu spojrzenia, wyszedł zza krzaków, wskazał na płomyki i powiedział: — Z uwagi na to, że blade twarze znajdowały się wewnątrz kotliny, nie zauważyły, co się działo na zewnątrz. Aby się o tym dowiedziały, Wielki Manitou zsyła im ten ognisty totem. Winnetou nie wie, czy umieją go odczytać.

— Co się właściwie stało? — zapytał Blount.

— *Nakate n'yul iltshi* przeszedł na Llano. Winnetou widział go na północy. Biada tym, którzy się z nim spotkali. Już zapewne nie żyją!

— Tornado, huragan? — zapytał łowca niedźwiedzi. — Jaki obrał kierunek?

— Stąd prosto na wschód wzbil się w powietrze piasek i zaległa ciemność, jak w środku nocy. Słońce objęło ciemność promieniami czerwonymi jak krew. Winnetou widział, jak noc przesunęła się szybko na północny wschód, gdzie potem zniknęła.

— To tornado przesunęło się z południa na północ?

— Tak jak mój brat mówi.

— Niech Bóg mnie ma w swojej opiece! Chyba nie spotkało naszych przyjaciół!

— Przeczucia Winnetou są czarne jak oblicze burzy. Nasi przyjaciele są mądry i doświadczeni, a Old Shatterhand wie, jakie znaczenie ma każdy powiew. Huragan *nakate n'yul iltshi* nadchodzi jednak nagle, nie wysyłając przedtem żadnego posłańca, który by go zapowiedział. Najszybszy koń nie jest w stanie przed nim ujść. Old Shatterhand musiał mniej więcej dziś dotrzeć do Llano, a kopyta jego wierzchowca dotknęły piasku właśnie w tej okolicy, dokąd leciał sęp wichury. Być może, że mój serdeczny przyjaciel leży zagrzebany wraz ze swoimi towarzyszami pod zwałami piasku.

— To byłoby straszne. Musimy tam jechać i to bezzwłocznie. Wsiadajmy szybko na konie!

Winnetou ruchem ręki zrobił gest odmowy: — Niech mój brat się zanadto nie śpieszy. Jeśli Old Shatterhand znajdował się w środku huraganu, to jest martwy i nasza pomoc jest spóźniona. Jeśli natomiast był wówczas na skraju burzy, to mu się nic złego nie stało. Grozi mu tylko niebezpieczeństwo zabłądzenia, gdyż huragan zmienia oblicze Llano całkowicie. Musimy wyjechać Old Shatterhandowi naprzeciw, lecz nie teraz nocą, bo i na nas spojrzę pustynia innymi oczami. Tylko dzienne światło może być naszym przewodnikiem. Kto chce znaleźć zabłąkanego, musi uważać, żeby sam nie zabłądził. Dlatego niech moi bracia siadają znów przy ogniu. O brzasku wyruszymy w drogę.

Wyciągnął się przy ognisku, a inni poszli za jego przykładem. Mimo woli zachowali pewien odstęp, na znak szacunku dla jego osoby. To poszanowanie dla sławnego wodza było także przyczyną, że przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. W końcu jednak u New-Moona zwyciężyła chęć zaspokojenia ciekawości. Chciał wiedzieć, kim są oczekiwani przez Apacza ludzie. Zwrócił się więc do Baumanna: — Jak słyszę, jest to Old Shatterhand, z którym macie się spotkać, sir?

— Tak, to on, ale nie sam. Jeszcze inni mężowie chcieli przybyć z nim razem.

— Co to za ludzie?

— Gruby Jemmy i Długi Davy, o których chyba już musieliście słyszeć.

— Naturalnie, że znam tych dwóch westmanów, jakkolwiek tylko z opowiadań i relacji innych ludzi. Czy ktoś jeszcze towarzyszy Old Shatterhandowi?

— Tak. Jest z nim jeszcze dwóch, których być może także znacie, ponieważ słyszeliście o wyprawie Old Shatterhanda w okolice Yellowstone. Są to Hobble-Frank i Murzyn Bob. Winnetou zaprosił nas swego czasu, kiedy żegnał się z nami nad rzeką Yellowstone, żebyśmy kiedyś wspólnie z nim odwiedzili pastwiska Apaczów. Ja pospieszyłem ze swoim synem wcześniej od innych na to wezwanie, gdyż miałem po drugiej stronie w okolicy Gór Zielonych coś do załatwienia. Old Shatterhand i jego towarzysze są już w drodze i jak słyszeliście, jesteście poinformowani o czasie i kierunku ich podróży.

— Szkoda, wielka szkoda, że my musimy już jutro rano ruszyć w dalszą podróż. Tak chętnie bym poznał waszych przyjaciół.

— To niestety nie jest możliwe, gdyż wybieracie się na drugą stronę, do Dallas. Zresztą my wyruszamy wcześniej rano. Ale — kontynuował Bauman — powiedzcie mi proszę, sir, jak doszliście do waszego czarnego, i popalonego oblicza, a tym samym do waszego przezwiska!

— Jedno i drugie zawdzięczam jednemu z największych łajdaków jaki kręcił się po dzikim Zachodzie i może dziś jeszcze tu się włóczy, mianowicie Stealing-Foxowi.

— Temu łotrowi? Dłuższy czas już zresztą nic o tym draniu nie słyszałem. Chciałbym go kiedyś spotkać!

— Wy także mieliście już z nim do czynienia? — spytał New-Moon.

— On ze mną. Skradł kiedyś moją kasę i pozbawił mnie wszystkich moich oszczędności. Ten złodziej nazywał się Weller. Ze wszystkiego jednak, czego się później dowiedziałem, mogłem wywnioskować, że to był ten osławiony Stealing-Fox. Nie mogłem nigdy trafić na jego ślad, jednakże niedawno słyszałem w Nowym Meksyku, że on jeszcze żyje. Nazywa się teraz Tobias Preisegott Burton i chciał pod maską pobożnego misjonarza mormonów zwabić jakichś podróżników na pustynię. Jeden z podróżnych rozpoznał go i zażądał wyjaśnień, a on się wówczas szybko ulotnił.

— Niech skonom! — zawołał New-Moon. — Gdybym był przy tym! Bardzo pragnę się z nim rozprawić!

— Czy on nastawał na wasze życie?

— Zarówno na moje życie, jak i na moją własność. To zdarzyło się w stanie Colorado nad rzeczką Timpas Creek. Przybyłem tam z Arizony, gdzie blisko źródeł Navajo zrobiłem dość dobry interes i miałem przy sobie ładną paczkę banknotów, na które zamieniłem złoty pył i nuggety. Po drodze przyłączył się do mnie zastawiacz sideł, który tak samo jak ja podążał do fortu Aubrey nad Arkanzasem. Wygląd i zachowanie się tego człowieka budziły zaufanie, a ponieważ w pojedynkę jedzie się niechętnie przez Dzikie Zachód, ucieszyłem się z jego towarzystwa.

— Powiedzieliście mu pewnie, że macie przy sobie pieniądze? — dowiadywał się Baumann.

— Ani mi przez myśl to nie przeszło. On to jednak pewnie odgadł, gdyż pewnej nocy przydybałem go jak skrycie badał moje kieszenie, przy czym na całe szczęście się obudziłem. Tłumaczył się, że rzekomo jęczałem przez sen i przyszło mu do głowy, żeby mi odpiąć marynarkę, abym mógł lepiej oddychać. Naturalnie nie wierzyłem w tę opowiadkę i od tego czasu miałem się przed nim na baczności. Co to znaczy, możecie sobie wyobrazić!

— Oczywiście! Znajduje się człowiek sam z hultajem na odludziu. Chce się i trzeba spać, a jednak ciągle musi człowiek mieć napiętą uwagę, żeby nie ponieść szkody. To trudne zadanie. Pchnięcie nożem lub kulka i po dobytku i życiu!

— Hm, ten szelma był wszakże w gruncie rzeczy tchórzem. Kradł i oszukiwał, ale do przelewania krwi brakowało mu odwagi. Nad rzeczką Timpas Creek zrobiliśmy postój. Dzień był gorący, tylko silny wiatr łagodził trochę upał. Byłem namiętym palaczem i właśnie nabiłem sobie świeżo fajkę, wiecie, taką krótką z dużą żyłkowaną główką, która może pomieścić ćwierć woreczka tabaki. Umyślnie wybrałem fajkę z taką pojemną główką, żeby nie musieć jej ciągle napychać. Już miałem ją zapalić, wtedy ten człowiek powiedział, że słyszał głos indyka w zaroślach. Natychmiast odłożyłem fajkę, chwyciłem fuzję i odszedłem, żeby ustrzelić tego ptaka. Nigdzie jednak nie było śladu indyka, lecz zamiast niego upolowałem oposa. Wróciłem z nim po mniej więcej trzydziestu minutach. Ten hultaj zabrał się zaraz do wypatroszenia zwierzęcia i zdarcia zeń skóry. Ja natomiast sięgnąłem po fajkę, żeby ją zapalić. Nie udawało mi się to, gdyż wiatr był bardzo silny. Położyłem się więc na brzuchu twarzą ku ziemi, zasłoniłem głowę od strony wiatru kapeluszem i skrzesałem ognia. Tym razem się udało. Przyłożyłem palącą się hubkę do tabaki, pociągnąłem kilka razy... syk, huk, ogień uderzył mi w twarz i wokół głowy. Równocześnie ten łotr złapał mnie z tyłu za kark, przygniótł mi głowę do ziemi, a drugą ręką sięgnął mi do kieszeni na piersiach. Byłem tak przerażony, że udało mu się wydrzeć mi portfel. Złapałem go jednak za ramię i przytrzymałem. Byłem od niego silniejszy, lecz chwilowo oślepiony. Trzymał mój portfel z jednej strony, ja z drugiej i ciągnęliśmy go ku sobie. Portfel, który się przy tym przeciąganiu otworzył, przedarł się na dwie części. W ten sposób upadliśmy w dwie przeciwne strony. On miał jedną połowę portfela, ja drugą. Wówczas zerwałem się i wyciągnąłem nóż. Szczęśliwym trafem miałem oczy na sekundę przymknięte, kiedy ogień buchnął mi w twarz. W przeciwnym razie byłbym całkowicie utracił wzrok. Powieki były jednak poranione. Mogłem je unieść tylko odrobinę. To mi jednak wystarczyło, by zobaczyć tego łajdaka. Natarłem na niego z nożem. To dodało mu odwagi. Podniósł swoją strzelbę z ziemi i wymierzył do mnie.. Kłując ból zamknął mi oczy; byłem zgubiony. Padł strzał, a raczej padł jakiś strzał, lecz ku mojemu zdziwieniu nie zostałem trafiony. Przetarłem oczy, otworłem je z wysiłkiem... hultaja nie było. Natomiast po drugiej stronie rzeczki ktoś zawołał rozkazującym tonem: — Stój, morderco! — Zaraz potem usłyszałem tętent oddalającego się szybko konia, len łotr uszedł z połową mojego portfela, a razem z połową moich pieniędzy.

— Dziwne! — rzekł Baumann. — Więc go spłoszono?

— Tak — przytaknął New-Moon. Znany westman o przezwisku Juggle-Fred znajdował się w pobliżu i słyszał mój strzał do oposa. Szedł przeciwnym brzegiem rzeczki w kierunku odgłosu strzału i zauważył nas właśnie w chwili, kiedy ten hultaj do mnie celował. Fred wypalił i ranił go w ramię, po czym łotr rzucił strzelbę i pognał do swego wierzchowca, aby jak najprędzej umknąć. Juggle-Fred poszedł po swojego konia i przeszedł z nim do mnie przez rzeczkę. Jego pojawienie się we właściwym czasie uratowało mi życie. O ściganiu złodzieja nie mogło być mowy, gdyż znajdowałem się w opłakanym stanie, a Fred nie mógł mnie opuścić, ponieważ twarz moja

wymagała dzień i noc okładów z zimnej wody. Popasaliśmy nad rzeczką Timpas Creek przeszło tydzień. Nacierpiałem się strasznie, straciłem znaczną sumę pieniędzy, lecz byłem rad, że uratowałem przynajmniej wzrok.

— Jak się ten drań wtedy nazywał?

— Henry Fox. Później w forcie Aubrey dowiedziałem się, że był to osławiony Stealing-Fox.

— Przypuszczalnie podczas waszej nieobecności napełnił główkę fajki prochem strzelniczym.

— Tak. I żeby mnie zmylić, posypał z wierzchu odrobiną tytoniu. A żeby mieć na to czas, wmówił mi, że słyszał indyka. Wiedział, że natychmiast pójde szukać ptaka, gdyż byłem lepszym myśliwym od niego. Był wysoki i szczupły, a rysów jego twarzy nie zapomnę. Wiem, że go natychmiast rozpoznam, jeśli go spotkam.

Dwaj Meksykanie przysłuchiwali się opowiadaniu New-Moona z napięciem, często spoglądając na siebie znacząco i jak im się zdawało niepostrzeżenie. Był jednak ktoś, kto ich dokładnie obserwował... Winnetou.

Siedział z oczyma pozornie obojętnie utkwionymi w mieniącej się powierzchni stawu. Od czasu do czasu jednak spod długich, gęstych rzęs rzucał na Meksykanów bystre spojrzenie. Apacz nie ufał im. To było pewne.

Syn łowcy niedźwiedzi chciał poprzednio przynieść jeszcze trochę owoców kaktusowych, lecz odwiódł go chwilowo od tego zamiaru widok dziwnych wiązek świetlnych. Meksykanie byli z tego zadowoleni. Starali się o to, by móc zamienić ze sobą kilka słów po kryjomu, a to byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby odeszli od ogniska. Dlatego Emilio Pellejo wstał teraz i powiedział: — Mieliliśmy jeszcze apetyt na owoce kaktusa, lecz nikt ich nie przyniósł. Czy pójdziesz po nie ze mną, Carlosie?

— Oczywiście — odpowiedział zapytany, podnosząc się szybko z ziemi. — Chodź!

Łowca niedźwiedzi chciał się sprzeciwić. Odgadł, że ci dwaj zamierzają się skrycie porozumieć. Chciał temu zapobiec. Już miał otwierać usta, gdy zobaczył odpowiedni ruch ręką Apacza, nakazujący milczenie.

Bracia oddalili się. Ledwie krzaki za nimi się zwały, Winnetou powiedział cicho:

— Tym dwom białym źle z oczu patrzy i knują coś złego. Winnetou dowie się, co zamierzają.

Bezgłośnie przemknął przez krzaki ku przeciwniejszej stronie.

— On także im nie ufa? — zapytał Porter. — Założę się, że to ucziwi ludzie.

— Prawdopodobnie przegrałbyś zakład — odpowiedział New-Moon. — Nie podobali mi się od pierwszego wejrzenia.

— To jeszcze nic nie znaczy. Nie dowierzać komuś można dopiero wówczas, gdy się ma dowody, że nie zasługuje na zaufanie.

— Ci dwaj istotnie budzą podejrzenie. — Wyjaśnił łowca niedźwiedzi. — Żaden farmer nie wysyła jednocześnie swoich dwóch najlepszych pastuchów. Przypatrzcie się ich koniom, sir! Czy wyglądają, jakby odbyły drogę z San Diego aż tu? Jest to odległość, jeżeli dobrze oceniam, przynajmniej trzystu mil angielskich. Konie, po odbyciu takiej trasy przez prawie dziką okolicę, inaczej wyglądają. Przypuszczam, że te zwierzęta niedaleko stąd mają swoją stają kwaterę i założyłbym się o tysiąc dolarów, że ci dwaj są kompanami, a zwłaszcza informatorami sępów pustyni Llano Estacado.

— Coś podobnego! — zawołał Porter zaskoczony. — To byśmy się rzeczywiście dostali w znakomite towarzystwo! Ci ludzie mają nas przeprowadzić przez Llano. Możliwe, że nie zasługują na nasze zaufanie.

Wtem odezwał się również Martin Bauman, który ze względu na swój młody wiek dotychczas milczał: — Oni naprawdę na to nie zasługują, panie Porter. Jestem gotów powiedzieć im to w oczy.

— Tak? Jaką podstawę macie, młody człowieku, żeby tak źle o nich myśleć?

— Czy nie widzieliście spojrzeń, jakie ze sobą wymieniali, kiedy była mowa o Stealing-Foxie?

— Nie. Słuchałem opowiadania, a nie patrzyłem na ludzi.

— Za to ja obserwowałem ich wnikliwie, ponieważ mój ojciec nie miał do nich zaufania. Mogłem to łatwo robić nie zauważony, gdyż na takiego młodego a ich zdaniem niedoświadczonego chłopca nie zwracali najmniejszej uwagi. Widziałem, że ich spojrzenia wędrowały tam i z powrotem i często się spotykały, z czego należy wnosić, że dobrze znają Stealing-Foxa.

— To zasługuje na uwagę. Ten lis rzekomo się tu teraz kręci, żeby zwabiać ludzi na pustynię. Jeśli ci dwaj go znają, to można to zrymować, jakkolwiek ten rym nie brzmi zbyt pięknie dla ucha. Wydaje mi się, że nadciąga coś, co może być dla nas bardzo złe w skutkach. Te widmowe płomyki na kaktusach, to dla mnie też sprawa niezupełnie czysta. Nie jestem przesądny, lecz takie zjawiska nie są przypadkowe. Zawsze coś znaczą.

— A mianowicie?

— Że atmosfera jest naładowana elektrycznością.

— Naładowana elektrycznością? Tego nie rozumiem. To dla mnie zbyt naukowe. Wiem co prawda, że można się dać elektryzować; ale ogień, płomień, w dodatku na kaktusach? Czy chcecie to może również przypisać elektryczności?

— Oczywiście, panie Porter. Czyż błyskawica nie jest także zjawiskiem ognistym?

— Pewnie, i to jakim!

— Przyczyną błyskawicy jest elektryczność, czego chyba nie potrzeba wyjaśniać. Co się tyczy płomyków, które dopiero co widzieliśmy, to widzą je również marynarze na masztach, rejach i stengach statków. Widuje się je na wierzchołkach wież kościelnych, drzew i piorunochronów. Te wiązki światła nazywają się ogniem świętego Elma lub także Kastorem i Polluksem. Powstają przez emanowanie elektryczności. Słyszeliście chyba o upiorze pustyni Llano Estacado?

— Więcej, niżbym tego pragnął.

— Czy opowiadano wam również, że nocą ta tajemnicza istota zjawia się w obramowaniu płomieni?

— Tak, ale nie wierzę w to.

— Śmiało możecie w to wierzyć. Znalazłem się kiedyś nocą w stanie Montana na rozległej równinie. Wokoło błyskało, ale do burzy nie doszło. Nagle na koniuszkach końskich uszu pojawiły się małe płomyki. Wyciągnąłem ku nim ręce i oto na końcach moich palców pokazały się podobne, przy czym doznałem w palcach jakiegoś dziwnego uczucia. Podobnie przedstawia się sprawa z upiorem pustyni. Kiedy jedzie przez Llano, jego tułów jest najwyższym punktem na równinie. Jeśli jest ciemno, a atmosfera wykazuje duże napięcie elektryczne, wokół jego ciała widoczny jest ogień świętego Elma.

— Wierzycie więc w upiora pustyni Llano Estacado?

— Tak.

— I uważacie go za człowieka?

— A za cóż by innego?



— Hm! Dużo o nim słyszałem, nie zadałem sobie jednak trudu, żeby pomyśleć o tym zjawisku. Teraz jednak, mając przed sobą podróż przez Llano, chciałbym naturalnie wiedzieć, co sądzić o tym upiorze. Jest przecież nawet możliwe, że się człowiekowi podczas tej podróży pokaże. Co wtedy trzeba robić?

— Gdybym ja go spotkał, podałem mu rękę i przywitał go jako dobrego człowieka. Jest mianowicie...

Baumann nie dokończył zdania, gdyż właśnie wrócił Winnetou. Przybył szybko, bezgłośnie, wśliznął się jak wąż w poblizze ogniska i usiadł na swoim miejscu.

Przedtem, gdy Meksykanie wolno szli w ciemnościach ku kaktusom, wpiersz oddalił się od nich kawałek, czołgając się na rękach i nogach, a potem wyprostowawszy się pobiegł szybko ku kępie roślin. Z powodu miękkich mokasynów, dużej sprawności fizycznej i doświadczenia, jakie posiadał, szedł tak cicho, iż kroków jego nie było słychać. Przybył do celu jeszcze przed Meksykanami i ukrył się pomiędzy wysokimi świecznikami krzewów kaktusowych. Było w dodatku tak ciemno, że Meksykanie mogli zbierać owoce jedynie przy pomocy dotyku. Płomyki bowiem na kaktusach teraz znikły.

Właśnie kiedy Winnetou się schował, nadeszli dwaj bracia. Rozmawiali ze sobą. Winnetou słyszał każde słowo. W każdym razie musieli już po drodze pewne rzeczy uzgodnić, gdyż to o czym teraz mówili było jakby dalszym ciągiem rozmowy.

— Już ja temu tak zwanemu łowcy niedźwiedzi odpłacę za jego obraźliwe słowa — groził Carlos. — W każdym razie będziemy mieli trudniejsze zadanie, niż przypuszczaliśmy. Wskutek pojawienia się Apacza, sprawa przybiera inny obrót...

— Niestety! Ten nie da się nabrać na mylnie poutykane paliki.

— Najrozsądniej będzie zamordować ich, kiedy będą spali.

— Sądzisz, że to jest możliwe? Wszyscy patrzą na nas podejrzliwie. Będą więc uważali. Wątpię, czy któryś z nas wyznaczony zostanie do trzymania straży.

— Masz rację; będą się mieli na baczności i wykluczą nas z warty. Zobaczymy jednak, czy nie da się tego zrobić. Naprzód nie można nic postanowić. Jeśli się zdarzy, że zasną, to możemy się posługiwać tylko nożami, cicho i bezszelestnie, dźgać prosto w serce.

— A jeśli się nie uda wykonać tego planu?

— To byłoby głupio. Pomyśl tylko, siedem koni, w tym to wspaniałe zwierzę Apacza, do tego cała broń i wszystkie pieniądze. Tylko my dwaj do podziału. To by była gratka! Jeśli się jednak nie powiedzie, trzeba będzie poprosić kumpli do pomocy. Znajdziemy jakiś pretekst, żeby się odłączyć od grupy. Winnetou uda się z obydwoma Baumannami na spotkanie z Old Shatterhandem, a Jankesi pojedą z nimi, ponieważ w nas stracili przewodników. My pojedziemy naprzód aż do naszej niecki zbójczej, gdzie na pewno znajdziemy kogoś na posterunku, kto by mógł sprowadzić naszych kompanów. Wtedy z pewnością uda nam się dostać całą grupę, łącznie z Old Shatterhandem i wszystkimi jego towarzyszami. Teraz już musimy wracać do ogniska, w przeciwnym razie ich podejrzania się spotęgują. Mój kapelusze jest pełen owoców.

— Mój także.

— No to chodź!

Odeszli; ale jeszcze przed nimi wymknął się Winnetou. Ostrożnie, nie robiąc najmniejszego hałasu, zatoczył półkole, dotarł szczęśliwie do ogniska i usiadł. Dwom łotrom nie mogło nawet przyjść na myśl, że zostali podsłuchani. Zaczęli rozdzielać kaktusowe figi. Wszyscy je brali za wyjątkiem Winnetou. Odmówił przyjęcia poczęstunku ze słowami: — Wódz Apaczów nie spożywa niczego, co pochodzi z rośliny zwanej sumakiem.

— Ze sumaka? — spytał Emilio Pellejo zdziwiony. — Czyż nie znacie fig kaktusowych, że porównujecie je z trującymi owocami sumaka?

— Winnetou nazywa te figi owocami sumaka, ponieważ są trujące.

— Trujące? Dlaczego te jadalne owoce miałyby teraz nagle być szkodliwymi?

— Ponieważ znajdowały się w rękach, przynoszących zazwyczaj nieszczęście i śmierć. — Winnetou wyrzekł te słowa zawierając ciężką obrazę tak spokojnie, jakby to była zwykła odpowiedź.

— Do diabła! — zawołał Emilio. — Mamy pozwolić sobie ubliżać? Żądam odwołania tych słów.

— Phy! — prychnął Apacz i zrobił pogardliwy gest. W tym odezwaniu i geście była taka pewność siebie, że dwaj Meksykanie uważali za wskazane ponownie ustąpić. Nawet gdyby wódz Apaczów sam jeden siedział naprzeciw nich, nie byłiby skłonni rozpocząć z nim otwartej walki. Byli tu wszakże jeszcze inni, którzy w każdym wypadku stanęliby po stronie Apacza. Z tego powodu Carlos zwrócił się uspokajającym tonem do swojego brata: — Bądź cicho! Po co niezgoda! Słów Indianina nie należy kłaść na wagę złota.

— Masz słuszość. Dla świętej zgody przyjmijmy, że słowa te w ogóle nie zostały wypowiedziane!

Winnetou nic na to nie odpowiedział. Wyciągnął się na trawie, zamknął oczy i udawał, że ma zamiar spać.

Ten krótki zatarg, chociaż wydawało się, że już załagodzony, zaniepokoił innych. Skoro Winnetou powiedział takie słowa, to zapewne musiał podsłuchać i wie, że ci dwaj knują coś złego. Jakież mogli mieć zamysły? Nic o tym nie mówił. Było to dowodem, że przynajmniej w tej chwili nie należy się niczego obawiać. Jednakże wzbudzone podejrzenie pogłębiło się, a w jego następstwie nikt nie okazywał ochoty do dalszej rozmowy. Zaległo milczenie tak wymowne, jakby nieufność wypowiedziano słowami.

Łowca niedźwiedzi i jego syn poszli za przykładem Winnetou, kładąc się spać. Inni zrobili to samo. Po krótkim czasie wydawało się, że wszyscy śpią. Ale bynajmniej tak nie było. Obaj Meksykanie nie spali, myśląc o swoim planie mordy, a inni — z powodu podejrzeń, jakie powzięli.

## 8. ŚPIEWAJĄCA DOLINA

Tak minęło chyba przeszło pół godziny.

Gdyby nawet w grupie podróżnych, znajdujących się w kotlinie, nie nastąpiło oziębienie wzajemnych stosunków, to i tak nikt by nie mógł oka zmrużyć. Atmosfera tak była naładowana elektrycznością, że jej napięcie było wprost dotykalne. W krzakach ledwie dały się złowić uchem jakieś ciche trzaski. Zerwał się łagodny wiatr, który z każdą chwilą narastał i poruszał gałęziami, tak że wzajemnie się dotykały. Z końców gałązek zdawały się przeskakiwać ledwie widzialne, maleńkie iskierki.

Nagle wszyscy poderwali się z ziemi. Rozległ się dźwięk zupełnie osobliwy, jakby wysoko ponad ich głowami uderzono w dzwon. Ten dźwięk trwał może z pół minuty, narastał, opuszczał się nad krzaki i przebrzmiewał tuż nad wodą.

— Co to było? — spytał New-Moon. — Przecież tu nie ma kościołów z dzwonami! Gdybym nie wiedział, że...

Traper przerwał w pół zdania. Odezwał się drugi dźwięk, wyższy od pierwszego. Zdawał się wychodzić z puzonu, wolno nabrzmiewał i stopniowo zmniejszając siłę, zamierał. Tak nie potrafiłby zagrać największy wirtuoz gry na trąbie.



— To jest yuaf-kai-umpare, głos śpiewającej doliny — wyjaśnił wódz Apaczów.

— Znowu słyszeć! — stwierdził łowca niedźwiedzi. — Słuchajcie!

Przez powietrze przeleciało jakby lekkie westchnienie. To westchnienie stało się określonym dźwiękiem o szczególnej czystości. Miał on barwę ośmiostopniowej, głównej piszczałki organów, trwał chwilę, a potem rodził się nad nim drugi, łagodniejszy, który jeszcze trwał, kiedy pierwszego już nie było słyszeć.

To zjawisko dźwiękowe było całkiem osobliwego rodzaju. Budziło lęk, a jednak swoją wzniosłością wzruszało. Wydawało się, jakby niewidzialny trębacz wypróbowywał swój instrument, oczywiście instrument nie występujący w żadnej orkiestrze.

Wszyscy milczeli, nad słuchując, czy ten cud się nie powtórzy. I rzeczywiście! Dał się odczuć powiew, który przeleciał nad krzakami i poprzez krzewy, niosąc ze sobą całe szeregi szybko po sobie następujących dźwięków, tak samo czysto jak poprzednio do siebie dostrojonych. Niższe tony brzmiały każdorazowo dłużej i tworzyły z wyższymi, szybciej przebrzmiewającymi, regularnie po sobie następujący szereg, który składał się zawsze z tych samych dźwięków naturalnej gamy, lecz w najrozmaitszych inwersjach trójdźwięku oraz siedmio- i dziewięciodźwiękowych akordów.

Nie było niczego, co by się dało porównać z tymi dźwiękami. Żaden znany instrument nie mógł wydawać tonów o takiej szlachetności, do których przyłączyły się inne, zdawałoby się wychodzące z najsubtelniejszej krtani, z najdelikatniejszych warg.

Niebawem zabrzmiało majestatycznie, jak z szesnasto- lub nawet trzydziestodwustopniowej piszczałki organowej. Ponad tym unosiły się dźwięki wysokie, łagodne i jasne, jak głosy organowe „Vox humana” lub „Aeolina”, a pomiędzy tymi dwoma zmieniały się w różnej wysokości i wzruszającej ekspresji głosy kornetu, puzonu, gamby i akordeonu. Raz brzmiało to wyraźnie i jasno, innym razem trochę głucho. A jednak wszystkie te określenia nie są w stanie oddać istoty, barwy i działania tych tonów, które wypełniały dolinę i jakby złączone w jeden wąski strumień, płynęły wysoko nad nią.

Słuchający nie mieli odwagi się odezwać. Nawet podstępni Meksykanie czuli się wzruszeni tą sferyczną muzyką rozbrzmiewającą pod potężną kopułą nocnego nieba, którą zdawały się dźwigać sterczące wokół strome skały. Nawet najbardziej prostacki umysł nie mógłby się obronić przed odczuciem świętego dreszczu.

Do tego doszło teraz jeszcze inne zjawisko, nie słuchowe lecz wzrokowe.

Wydawało się, że sklepienie niebieskie odplynęło wyżej, jakby się oddaliło. Nieliczne gwiazdy na firmamencie zdały się mniejsze niż zwykle. I na tym niebie, tam gdzie południowym krańcem spoczywało na skale, ukazała się nagle promieniejąca jasnożółtym światłem tarcza, wielkości księżyca w pełni. Obwód tarczy był wprawdzie ostro odgraniczony od tła nieba. Tarcza jakby z niego wyrastała i zdawała się prościutko i coraz szybciej zbliżać do doliny.

Zjawisko to stale się powiększało i coraz wyraźniej było widać, że to nie płaska tarcza, lecz kula.

Kontury kuli zacierały się coraz bardziej. Wytryskiwały z niej drgające promienie podobne do błyskawic i utworzył się ogon, który był o wiele jaśniejszy i świecił intensywniej niż ogon komety.

Kula nie była już żółta jak poprzednio. Zdawała się składać z płynnego ognia, który skrzył się najrozmaitszymi barwami i sypał iskrami. Wirujące kolory ognia stwarzały pozory, że kula kręci się wokół własnej osi. Szybkość, z jaką posuwała się ku dolinie, coraz bardziej wzrastała i budziła lęk. Potem jakby zatrzymała się na kilka chwil w locie tuż nad środkiem doliny. Nagle dał się słyszeć huk, jakby kilka armat wystrzeliło równocześnie. Kula rozpadła się na niezliczone kawałki, które spadając traciły swój blask. Ogon był jeszcze widoczny przez kilka sekund. Coś chlasnęło o powierzchnię stawku i woda trysnęła wysoko w górę, jakby z dużej wysokości spadło do niej coś ciężkiego. Ludzie zostali opryskani.

Teraz niebo było znowu ciemne jak przedtem. Gwiazdy stały się znowu widoczne jak znikające małe punkty i pełny, potężny dźwięk, składający się z kilku oktaw, przeleciał jednogłośnie nad głowami wystraszonych ludzi.

Tylko Winnetou zachował i tym razem swój zwykły spokój. Nie było takiego wydarzenia, które by go mogło wyprowadzić z równowagi.

— *Ku-assinih*, kula ognista — powiedział. — Wielki Manitou zrzucił ją z nieba i cisnął na ziemię.

— Kulę ognistą? — zapytał Blount. — Tak, to wyglądało jak kula. Ale widzieliście ten ogon? To był smok; to był zły duch, który grasuje o północy.

— *Schi-ischklo* — śmiech mnie bierz! — odparł Apacz pogardliwie, odwracając się od zabobonnego człowieka.

— Tak, to był on! — Porter przytaknął swojemu towarzyszowi. — Nigdy go jeszcze nie widziałem, lecz słyszałem, jak inni o nim opowiadali. Moja babka widziała kiedyś, jak wśliznął się do komina sąsiada, który za pieniądze zapisał swoją duszę diabłu.

— Nie wystawiajcie się na pośmiewisko, sir! — wtrącił się łowca niedźwiedzi. — Nie żyjemy przecież w mrokach średniowiecza, kiedy się jeszcze wierzyło w smoki i upiory, albo raczej kiedy się głupim wmawiało, że one istnieją, żeby cwaniacy mogli z tego ciągnąć korzyści.

— Co wtedy istniało, istnieje także jeszcze teraz! A może chcecie być mądrzejsi ode mnie? — zapytał Porter ostro.

— Na Jowisza! Nie uważam się bynajmniej za mądrego. Dawniej mniemano, że wszystkie zjawiska, których nie można wytłumaczyć, są dziełem szatana. Teraz jednak chwała Bogu nauka zrobiła takie postępy, że można się obejść bez diabła i jego sławnej babki.

— Ach tak! Wy pewnie także należycie do tych oświeconych i tak zwanych uczonych?

— Nie jestem uczonym, ale że kula ognista nie jest diabłem, to wiem.

— Czym więc jest właściwie?

— Niczym innym, jak częścią płonącego i znajdującego się bądź to w stadium powstawania, bądź to w stadium zanikania ciała niebieskiego, które wędrując po swoim torze, znalazło się tak blisko ziemi, że zostało przez nią przyciągnięte.

— Ciało niebieskie? A więc gwiazda? Kto też wam to wmówił?

— Nikt mi tego nie wmówił, lecz powiedział mi o tym sam Old Shatterhand. Siedząc wieczorami przy ognisku, często rozmawialiśmy o takich na pozór niezrozumiałych sprawach i zjawiskach, a on wszystko interpretował w sposób naturalny. Czyż nie słyszeliście, że tu coś wpadło do wody?

— Słyszałem, widziałem i nawet odczułem. Wszakże wszyscy zostaliśmy obryzgni wodą.

— Jeżeli więc wasz pogląd byłby słuszny, to należy przyjąć, że diabeł wpadł do tego stawu, a ponieważ go nie wyciągnęliśmy utonął.

— Diabeł naturalnie nie tonie. Zjechał od razu do piekła.

— To może się tam przy ogniu wysuszyć po tym zmoczeniu się w stawie, żeby się nie przeziębził i nie dostał kataru. Nie, sir! Gdybyśmy mogli spuścić wodę ze stawu, to zobaczylibyśmy na dnie dziurę, w której tkwi meteor, czyli kawałek żelaza z meteoru, z którego składała się ognista kula.

— Kawałek żelaza? Hm! To przecież mógł nas zabić!

— Oczywiście. Mieliśmy szczęście, że wpadł do wody.

— Hm! Czy Old Shatterhand wyjaśnił wam również istotę dźwięków, które słyszeliśmy poprzednio?

— O uaf-kai nie mówiliśmy. Przypominam sobie jednak, że mówił o przełęczy Sackbut, która znajduje się w górach Rattlesnake. Kiedy wiatr wieje prosto przez wąski, głęboko wcięty wąwóz, słyszy się dźwięki, wychodzące jakby z puzonu. Instrumentem jest parów, a wiatr muzykantem.

— To wyjaśnienie brzmi naturalnie dość wietrznie, lecz i w tym wypadku nie chcę się z wami spierać. Wierście sobie w co chcecie, a ja też będę myślał, co mi się podoba!

— Łowca niedźwiedzi ma rację — potwierdził Winnetou. — Jest więcej dolin, w których rozbrzmiewają takie dźwięki, a wódz Apaczów widział już też kawałki żelaza, które wielki duch zrzucił z nieba. Dobry Manitou wyznaczył każdemu ciału niebieskiemu jego tor i jeśli ognista kula ze swego toru zejdzie, to musi się rozbić. Spróbuję znaleźć w wodzie ślad żelaznego odłamka. — Apacz wypowiedział to zdanie dziwnie podniesionym głosem. Potem oddalił się, idąc brzegiem stawku i znikł w ciemności nocy. Pozostali usiedli i czekali na jego powrót. Nie padło ani jedno słowo. Tylko Martin Baumann zwrócił się szeptem do swojego ojca: — Co się stało Winnetou? Mówił głośno, kładąc nacisk na każde słowo, jakby chciał, żeby go jeszcze ktoś poza nami słyszał. To że chce poszukać żelaza, które spadło, to był naturalnie tylko wykręt.

— Zapewne! — potwierdził łowca niedźwiedzi. — Założę się, że w pobliżu jest ktoś, kto nas podsłuchuje. Znając Apacza, mogę powiedzieć, że zauważył podsłuchującego i poszedł, żeby go schwytać. Oczekamy!

Długo nie trzeba było czekać. Już po kilku minutach w krzakach za siedzącymi dał się słyszeć szelest, jakby jakiś zwierz przedzierał się przez zarośla. Rozległ się krótki, trwożliwy okrzyk i zaraz potem wyszedł z krzaków Winnetou, prowadząc jakiegoś Indianina.

Jakiegoż bystrego wzroku trzeba było, żeby w ciemności odkryć podsłuchiawca, ukrytego w zaroślach! Tylko takiemu człowiekowi jak Winnetou mogło się udać podejść go i tak go złapać, że nie mógł stawić oporu.

Otoczono ich. Schwytany uzbrojony był tylko w nóż, który mu Winnetou odebrał. Indianin był mały i szczupły. Twarzy jego nie można było rozpoznać ze względu na panujące ciemności. Oczy Winnetou przyzwyczajone były do mroku, widział więc, kogo ma przed sobą.

— Dlaczego mój młody czerwony brat nie przyszedł do nas otwarcie? — zapytał. — Przyjęlibyśmy go zyczliwie.

Młody Indianin nie odpowiadał. Apacz mówił więc dalej: — Mój brat jest sam sobie winien, że został schwytany. Nic mu jednak nie grozi. Oddaję mu jego nóż. Niech wraca do swoich i powie im, że będą mile widziani i mogą odpocząć w naszym towarzystwie.

— Uff! — zawołał Indianin zdziwiony, odbierając swój nóż. — Skąd wiesz, że nasi wojownicy znajdują się w pobliżu?

— Winnetou musiałby być chłopcem, gdyby o tym nie wiedział.

— Winnetou, wódz Apaczów? — padło zdumione pytanie. — I ty zwracasz mi mój nóż? Czy sądzisz, że jestem Apaczem?

— Nie. Mój młody brat nie nosi barw wojennych; lecz przypuszczam, że jest synem Komanczów. Czy twoi wojownicy odgrzebali topór wojenny przeciwko Apaczom?

— Nie. Ostrza strzał wojennych tkwią w ziemi, lecz między wami a nami nie panuje przyjaźń.

— Winnetou jest skłonny rozniecić ogień i wypalić z wami fajkę pokoju. Nie pyta, dlaczego twoi bracia przybyli do „śpiewającej doliny”. Oni wiedzą, że każdy, kto się w niej znajdzie, odpoczywa tu nad wodą. Dlatego zatrzymali się poniżej tego miejsca i wysłali cię, żebyś zbadał, czy tu ktoś jest. Nieprawdaż?

— Tak — potwierdził Komancz.

— Jeśli znów kiedyś będziesz leżał w krzakach, aby podsłuchać obcych wojowników, to opuść powieki, gdyż twoje oczy cię zdradziły. Ilu jest twoich braci?

— Dwa razy dziesięć.

— To idź i powiedz im, że oczekuje ich Winnetou i osiem bladych twarzy i że przyjmą ich jak przyjaciół! To że cię Apacz schwytał, możesz przemilczeć. On tego nie powie.

— Dobroć wielkiego wodza cieszy moje serce. Niczego nie przemilczę, lecz powiem prawdę, aby moi bracia byli przekonani, że zostaną dobrze przyjęci! Być odkrytym przez oko Winnetou nie jest hańbą. Zapamiętam sobie jednak radę, którą mi dał.

Koło stojących osób rozwarło się i Komancz odszedł.

Biali, a zwłaszcza dwaj Meksykanie, byli zdania, że to zbyt odważna, żeby tak od razu zezwolić na zbliżenie się dwudziestu Komanczów. Apacz jednak wyjaśnił dość stanowczo: — Winnetou wie, co robi. Jeśli wojownicy Komanczów jadą do „śpiewającej doliny”, to ich wyprawa nie może dotyczyć walki z Apaczami. Po drugiej stronie tej doliny znajduje się grób jednego z ich największych wodzów. Prawdopodobnie jadą tam, żeby odprawić przy grobie coroczną uroczystość żałobną. My natomiast rozpalimy ognisko, aby wyraźnie widzieć ich twarze. Dla pewności przyjmujemy ich nie tu, lecz na zewnątrz, przed krzakami.

Rozniecono ogień od nowa. W tym czasie Winnetou wyciągnął łowcę niedźwiedzi i Martina przed zarośla i poinformował ich po cichu:

— Te dwie blade twarze nie są tymi, za których się podają. Należą do sępów pustyni Llano Estacado i chcą nas tu pomordować.

Winnetou przypuszcza, że Komancze wybierają się na Llano. Ci dwaj nie mogą się o tym dowiedzieć. Dlatego Winnetou opowiadał, że po drugiej stronie doliny znajduje się grób, co oczywiście nie jest prawdą.

Nie mógł mówić dalej, ponieważ teraz podeszli inni, którzy tymczasem rozpalili tak wielkie ognisko, że jego blask przedzierał się nawet przez krzaki i oświetlał dostatecznie przestrzeń poza nimi. Wszyscy naturalnie mieli przy sobie broń, na wypadek gdyby Komancze, wbrew przekonaniu Winnetou, nie zachowali się przyjaźnie.

Wkrótce dał się słyszeć tętent koni. Zbliżyli się oczekiwani. Zatrzymali się w niewielkiej odległości. Ich przywódca zsiadł z konia i podeszedł powoli. Winnetou wyszedł mu naprzeciw i podał mu rękę ze słowami: — Witamy wojowników Komanczów. Winnetou nie pyta, czego tu szukają. Wie, że chcą odwiedzić grób swego wodza, aby potem spokojnie wrócić do swoich wigwamów.

Apacz powiedział to głośno, po cichu jednak szybko dodał: — Mój brat zechce to potwierdzić. Winnetou pomówi z nim później w cztery oczy.

Wskutek tego bystry Komancz odpowiedział: — Moja ręka ściska z radością rękę Winnetou, który jest największym wojownikiem Apaczów, a jednak zawsze wysłannikiem pokoju. Jesteśmy gotowi, wypalić z nim kalumet, gdyż nie znajdujemy się na ścieżce wojennej i chcemy tylko uczcić pamięć zmarłego wodza.

— Winnetou wierzy zapewnieniu swojego brata i zaprasza go wraz z jego wojownikami do wypalenia fajki pokoju.

Obydwaj wodzowie uściśli sobie ręce. To starczyło tymczasem i było dowodem, że Komanczowie nie mają żadnych złych zamiarów. Ich przywódca Winnetou poprowadził do ognia, a jego ludzie poszli za nim. Najpierw jeszcze porozdzielali się na trawiastym brzegu małego stawu, i uwiązali konie, żeby się pasły i napiły wody. Potem również zbliżyli się pojedynczo do ogniska. Było tam dość ciasno, gdyż wolna przestrzeń między krzakami a wodą nie była zbyt szeroka. Trzeba było uisnąć ramię przy ramieniu, by utworzyć krąg, pośrodku którego zajęli miejsca Winnetou i wódz Komanczów. Jeden z Komanczów musiał dłużej zatrzymać się przy swoim koniu. Podszedł teraz także do ogniska. Zanim usiadł, rozejrzał się wokoło. Kiedy jego wzrok padł na braci Pellejo, coś na kształt błyskawicy drgnęło w jego ciemnej twarzy i zawołał: — *Uff! husihakard tsari ordiétza ihkard* — co za psy tu siedzą!

Z uwagi na to, że krąg siedzących jeszcze się nie uporządkował i każdy był zajęty sobą, nie wszyscy usłyszeli okrzyk Indianina. Jednakże przywódca Komanczów usłyszał. Wstał szybko i zapytał: — *unosu mabuni husihakard* — kogo widzisz?

— *Ojet, pijánovit, wuapo-u-sap* — sępy pustyni Llano Estacado.

— *Ordiétza hak* — gdzie są?

— *Eh, ojet yutaivo* — tam siedzą. — Mówiąc to, wskazał na dwóch Meksykanów.

Ponieważ pytania i odpowiedzi rzucane były głośno i w gniewnym zdziwieniu, zwróciły uwagę wszystkich obecnych. Przy słowach „sępy Llano Estacado” Komancze się poderwali. Patrząc groźnie, chwycili za swoje noże. Sytuacja nie była już taka pokojowa, jak poprzednio.

Biali nie zrozumieli słów, gdyż nie znali narzecza Komanczów. Widząc jednak groźne miny czerwonych, podnieśli się również i sięgnęli do broni.

Tylko Winnetou siedział spokojnie dalej i powiedział władczo: — Moi bracia zechcą się nie niepokoić! Jeżeli czerwoni mężowie widzą pośród nas dwóch swoich wrogów, to zapewniam ich, że my z tymi ludźmi nie mamy nic wspólnego. Z ich powodu nie powinna przelać się między nami ani jedna kropla krwi. Co wojownik Komanczów im zarzuca?

Winnetou powiedział to gwarą będącą mieszaniną hiszpańskich, angielskich i indiańskich słów, którą posługiwano się w tej okolicy. Komancz odpowiedział w tej samej gwarze, którą wszyscy rozumieli: — Polowałem w górach Apache Mountains i zauważyłem ślad dwóch jeźdźców, za którym pojechałem. Zobaczyłem ich siedzących pod drzewami i podczołgałem się tam, żeby posłyszeć ich słowa. Mówili o pustyni Llano Estacado, przez którą za kilka dni ma jechać duża grupa białych ludzi. Sępy pustyni chcą się zebrać, ażeby napaść tych ludzi. Ze słów tych dwóch wynioskowałem, że należą do sępów pustyni i pytałem swojej duszy, czy mam ich zabić. Mądrość nakazała mi pozostawić ich przy życiu, gdyż tylko wówczas było możliwe...

Chciał powiedzieć coś, czego zdaniem Winnetou nie powinni byli usłyszeć Meksykanie. Dlatego Winnetou mu przerwał mówiąc: — Winnetou wie, co jego brat jeszcze chce powiedzieć i słyszał wystarczająco dużo. Czy rozpoznałeś teraz tych ludzi tak dokładnie, że nie może być mowy o omyłce?

— To są oni!

— Co wobec tego oskarżenia mają do powiedzenia obie blade twarze?

— Że jest głupim kłamstwem — bronił się Carlos Pellejo. Nie byliśmy wcale w górach Apache.

— To są oni — obstawał wódz Komanczów przy oskarżeniu wypowiedzianym przez wojownika — ponieważ my...

— Mój brat pozwoli mi przemówić — wpadł mu szybko w słowo Winnetou, ażeby zapobiec nierozważnemu pośpiechowi.

Komancz jednak zdenerwował się tym, że mu przerwano, co uchybia indiańskiej uprzejmości. Nie był na tyle bystry, żeby pojąć, co jest tego powodem i zawołał gniewnie: — Dlaczego nie mam mówić? Kto toleruje u siebie morderców, staje się sam podejrzanym. Czyżby wódz Apaczów zwał nas tu po to, żeby dopuścić się wobec nas zdrady?

Wtedy Winnetou odłożył całą swoją broń, wstał i rzekł: — Czy mój brat kiedykolwiek słyszał, że Winnetou jest zdrajcą? Słowo Apacza jest jak skała, na której się stoi pewnie. Mój brat zechce mi towarzyszyć, zatrzymując broń przy sobie. Howgh!

Opuścił krąg i wyszedł powoli przez krzaki na otwartą przestrzeń. Komancz namyślał się chwilę i poszedł za nim. Poza zaroślami Winnetou ujął go pod ramię, odprowadził kawałek na bok, przystanął i powiedział:

— Mój brat mnie nie zrozumiał. Winnetou był już tutaj, kiedy przybyli biali. Obserwował ich i dowiedział się, że ci dwaj Meksykanie są sępami pustyni. Przyznaje więc rację wojownikom Komanczów. Ale dlaczego te jadowite węże mają wiedzieć, że zostali rozpoznani? Musielibyśmy ich wówczas zabić, a przecież rozsądniej będzie, jeśli im chwilowo jeszcze pozwolimy żyć. Niech myślą, że Komancze idą do grobu swego wodza. Mnie jednak zechce mój brat powiedzieć, dlaczego szedł ich śladem.

Komancz czuł się zawstydzony: — Gwiazda Ognista, wódz Komanczów — zaczął swe wyjaśnienie — wybrał się ze swoim synem Żelazne Serce na wschód do miasta białych. Wracają przez Llano i są zapewne teraz pośrodku pustyni. Muszą spotkać karawanę i sępy, które na nią napadną. Dlatego wyruszyliśmy szybko w drogę, aby wyjechać im naprzeciw i zaopiekować się nimi. Te dwie blade twarze zostawiliśmy przy życiu, aby ich śladem trafić do sępów. Nad rzeczką Toyah Creek ślad ich połączył się ze śladem dalszych czterech białych, których musieliśmy uważać za ich współników. Teraz spotkaliśmy Winnetou. Co wódz Apaczów zamyśla uczynić?

— Pojadę z wami, gdyż oczekuję przyjaciół, którzy mają przybyć przez Llano i nic nie wiedzą o planowanej przez sępy napaści. Złoczyńcy mają swoje legowisko w dolinie morderców. Ponieważ nie wiem, gdzie to miejsce się znajduje, pozwolę Meksykanom uciec, aby — nie wiedząc o tym — byli moimi przewodnikami.

— Kim są ludzie, których oczekujesz?

— Old Shatterhand i jeszcze kilka bladych twarzy.

— Old Shatterhand, ten sławny wojownik białych? Jeśli pozwolisz, pojedziemy z tobą.

— Winnetou cię nawet o to prosi. Zdaje się, że tym razem zgraja sępów zbiera się, by się porządnie obłowić. Trzeba wykorzystać tę okazję, by zlikwidować zbójców za jednym zamachem. Myślę...

Przerwał, gdyż z zarośli odezwały się głośne krzyki i wołania. Padło kilka strzałów i rozległ się szybki tętent koni po drugiej stronie obozowiska.

Winnetou i przywódca Komanczów natychmiast pospieszyli z powrotem. Przedzierając się przez krzaki, ujrzeli ożywiony obrazek. Komancze stali w pogotowiu, żeby spiesznie odjechać. Po Meksykanach nie było śladu. New-Moon, Porter, Blount i Falser stali jak wryci, nie wiedząc co począć. Łowca niedźwiedzi natomiast siedział w towarzystwie syna spokojnie przy ognisku i zawołał do Winnetou: — Hultaje ulotnili się!

— Jak to było możliwe? — zapytał Apacz.

— Skoczyli tak nagle na swoje konie, że już byli za krzakami, zanim ktoś z nas zdążył chwycić za broń. Widocznie od przybycia Komanczów coś podejrzewali, gdyż ich konie były już odwiązane od palików.

— Niech uciekają! Jadą na swoją zgubę, a z nimi zginą wszyscy ich kamraci. Wojownicy Komanczów zechcą zsiąść z koni i pozostać! Z brzaskiem natomiast opuszczają „śpiewającą dolinę”, aby zapolować na ludzkich drapieżników pustyni Llano Estacado!

## 9. MASKA SPADA

Mój miły, mój miły,  
Dziecię drogie ty,  
Ma radość i śmiech mój,  
Mój ból i me łzy!

Tak brzmiała w porannej ciszy stara, rzewna kołysanka, śpiewana zazwyczaj w stanie Tennessee. W takt piosenki poruszały się gałęzie migdałowców i drzew wawrzynowych, a setki kolibrów skakały jak barwne iskry wokół starej Murzynki, która siedziała samotnie nad wodą.

Słońce wychynęło właśnie spoza niskiego horyzontu, a jego promienie jak pasma błyszczącej przedzy muskały przezroczystą wodę. Sęp królewski zataczał wysoko w powietrzu swoje kręgi. Nad brzegiem stawu konie jak smakosze skubały jakieś szczególnie soczyste źdźbła trawy, a na wierzchołku cypryśnika siedział drozd, przysłuchując się z przechyloną na bok główką piosence Murzynki. Gdy skończyła śpiewać, naśladował ostatnie słowa zwrotki.

Nad niskimi palmami o liściach pierzastego kształtu rozpościerały swoje wierzchołki wysokie drzewa kadzidłowe oraz topole. Pod ich kopułami, olbrzymie, mieniące się kolorowo ważki uganiały się za muchami i innymi drobnymi owadami, a za domkiem, stojącym w pobliżu wody, kłóciła się o złociste ziarna kukurydzy chmara papużek.

Z zewnątrz nie można było zobaczyć, z czego domek jest zbudowany, gdyż zarówno jego ściany jak i dach okryte były pnąciami się gałązkami, liśćmi i kwiatami czerwono prążkowanej passiflory, której żółte, słodkie, podobne do kurzego jaja owoce jaśniały żywo spoza gęstwiny wciętych, obwisłych liści. To wszystko robiło wrażenie strefy tropikalnej. Człowiek znajdując się tam mógł sądzić, że przebywa w jakiejś dolinie południowego Meksyku lub środkowej Boliwii, a przecież to małe jezioro i ta chata obrośnięta passiflorą i ta bujna roślinność podzwrotnikowa znajdowały się nie gdzie indziej, jak właśnie pośrodku straszliwej pustyni Llano Estacado. To właśnie była owa tajemnicza woda, o której tyle mówiono, nigdy jej nie oglądając.

Mój listku sercowy  
I życie wśród gwiazd,  
Nadziejo, rozkoszy  
I dniu pełen trosk!

— śpiewała dalej Murzynka.

A drozd-szyderca znów naśladował dźwięki ostatnich słów zwrotki.

Śpiewająca nie zwracała na ptaka uwagi. Wpatrywała się w starą fotografię, którą trzymała oburącz i w przerwach między wierszami piosenki przykładła do zwiędłych warg.

Wiele, bardzo wiele też spadło na tę podobiznę i dużo całusów tak ją wytarło, że tylko bardzo bystremu oku udało się rozpoznać, kogo lub co ten obrazek przedstawia. A była na nim owa Murzynka z chłopcem-Murzynkiem na ręku. Na fotografii brakowało głowy dziecka. Została scałowana i myta łzami.

— Ty być mój dobry, kochany Bob! — powiedziała czule. — Mój mały Bob. Ja, twoja matka. Pani być dobra i miła, dać zrobić swoją fotografię, a jak przyjść fotograf, pani dać zrobić fotografię Sanny i jej małego Boba. Potem, jak pani umrzeć, pan sprzedać Bob. Och! pan być zły pan! Sanna dużo płakać, kiedy pan powiedziec, że chcec sprzedać mojego kochanego Boba. Sanna bardzo prosić o kochanego małego Boba, ale pan powiedziec: »Na co głupiej murzyńskiej kobiecie mały Bob!?«... Zły pan odjechać na koniu i zabrać moje kochanie! Matka Sanna jeszcze tylko mieć zdjęcie Boba. Zachować je, kiedy sama zostać sprzedana; zachować je, kiedy dobry massa Bloody-Fox ją tu przywieźć i zachować je nadal, aż stara Sanna umrzeć i nie zobaczyć więcej Boba, który pewnie zostać tymczasem dużym, silnym Murzynem i także nie zapomnieć zacnej kochanej matki Sanny. Och, mój miły, mój miły, ma radość i... — Sanna przerwała wymienianie słów kołysanki i nad słuchując podniosła głowę, której śnieżnobiałe, kędzierzawe włosy dziwnie odbijały od ciemnej cery. Uwagę jej zwrócił odgłos zbliżających się kopyt końskich. Zerwała się, schowała fotografię do kieszeni perkalowej spódnicy i zawołała: — O Jessus, Jessus, jak Sanna się cieszyć! Fox nareszcie przyjść znowu. Dobry Bloody-Fox znów tu być. Ja mu zaraz dać mięso i upiec ciasto z kukurydzy!

Pospieszyła ku domowi, lecz nie zdążyła jeszcze dojść, kiedy wymieniony zjawiał się pod drzewami. Był błądy i wyczerpany. Koń jego był spocony i szedł zmęczony potykając się. Zarówno po jeźdźcu jak i jego wierzchowcu widać było wyjątkowe wyczerpanie.

— Witam was, massa! — powitała go stara. — Sanna zaraz przynieść jedzenie. Sanna szybko zrobić!

— Nie Sanno — odparł, zeskakując z siodła. — Napełnij wszystkie węże wodą! To teraz jest najważniejsze.

— Dlaczego węże? Dla kogo? Dlaczego massa Fox nie jeść? On musieć być przecież głodny!

— Rzeczywiście jestem głodny, lecz wezmę sobie sam, co potrzebuję. Ty nie masz na to czasu. Musisz napełnić węże, z którymi zaraz znów ruszam w drogę.

— Jessus, Jessus! Już znowu w drogę? Dlaczego starą Sannę zawsze zostawiać samą pośrodku wielkiego, rozległego Estacado?

— Ponieważ w przeciwnym razie cała karawana emigrantów zginie z pragnienia. Ci ludzie zostali przez sępy pustyni sprowadzeni na bezdroża.

— Dlaczego massa Fox ich nie poprowadzić lepiej?

— Nie mogłem do nich dojść, gdyż otacza ich tak wielka liczba sępów, że nie mogłem zaryzykować zbliżenia się do nich.

— To sępy zabić tych biednych, dobrych emigrantów!

— Nie. Z północy jadą odważni i silni myśliwi, na pomoc których na pewno mogę liczyć. Jakaż to jednak pomoc, jeśli nie ma wody! Ci ludzie umarliby nawet, gdyby się ich udało wyrwać z sępich szponów. A więc wody, wody, wody, Sanno i to szybko! Obladuję węzami z wodą wszystkie konie. Tylko karego muszę tu zostawić. Jest zanadto zmęczony.

Fox zbliżył się do domku i wszedł przez drzwi gęsto obrośniętą passiflorą. Wnętrze domu stanowił jeden pokój. Jego ściany ulepione zostały z trzciny i delikatnego mułu ze stawu oraz pokryte długą, suchą trzcina. Nad piecem, ulepionym z gliny, otwierał się komin,

wykonany z mułu i trzciny. Pod otworem kominowym wisiał żelazny kocioł. W każdej z trzech pozostałych ścian było małe okno, wolne od wijących się roślin.

Pod sufitem wisały kawałki suszonego mięsa, a na ścianach rozmaite rodzaje broni używanej na Zachodzie. Podłoga wyłożona była skórami. Dwa łóżka składały się z rozpiętych na palach rzemieni, na które zarzucone zostały skóry niedźwiedzie. Największą ozdobę pokoju stanowiła kudłata skóra białego bawołu, przy której pozostawiono czaszkę zwierzęcia. Skóra wisiała naprzeciwko drzwi, a po obu jej stronach tkwiło w ścianie chyba przeszło dwadzieścia noży, w rękojeściach których wycięte były rozmaite znaki.

Stół, dwa krzesła i drabina, sięgająca sufitu, to jedyny sprzęt tego domu.

Bloody-Fox przystąpił do bawolej skóry i pogłaskał ją mruczając: — Maska upiora a obok noże morderców, którzy padli od jego kuli... jest ich już dwadzieścia sześć. Kiedyż jednak odnajdę tego, który bardziej od innych zasługuje na śmierć? Być może nigdy. Phy, jeszcze mam nadzieję, gdyż złoczyńcę ciągnie zazwyczaj jego sumienie do miejsca, w którym popełnił zbrodnię. Teraz muszę coś zjeść i trochę wypocząć.

Zdjął z powały kawałek wędzonego mięsa, zjadł je spiesznie, rzucił się na posłanie i przymknął oczy, naturalnie nie po to, żeby spać. Jakież obrazy przesuwały się przed oczyma duszy tego tak jeszcze młodego człowieka?

Po upływie pół godziny weszła do pokoju Murzynka Sanna i zameldowała, że węże są napełnione. Fox zeskoczył z posłania i podniósł jedną ze skór leżących na podłodze. Odśloniło się małe ukryte zagłębienie, z którego wyjął obitą blachą skrzyneczkę. Zawierała ona amunicję, którą napełnił woreczek, jaki miał u pasa. Potem korzystając z drabiny, wspiął się ponownie pod sufit i zaopatrzył się w mięso. Wreszcie wyszedł nad jezioro, na brzegu którego leżało osiem dużych, napełnionych wodą skórzanych węży, spiętych po dwa szerokimi skórzanymi pasami i licznymi rzemieniami. Zawartością tych węży Bloody-Fox uratował od śmierci z pragnienia już niejednego zabłąkanego w pustyni podróżnego.

Nad jeziorem stało pięć koni. Jeden został osiodłany i otrzymał uprzęż, zdjętą ze zmęczonego karego. Inne konie zostały objuczone węzami z wodą i to w ten sposób, że pas skórzany leżał na grzbiecie zwierzęcia, a z prawej i lewej strony zwisało po jednym wężu. Całe to urządzenie przymocowane było do konia rzemieniami. Wszystkie konie były tak połączone ze sobą, że cugle jednego spięte były z podogonowym rzemieniem drugiego i wierzchowcem, na którym jechał na przedzie Bloody-Fox.

Przy tych przygotowaniach pomagała Murzynka. Widać było u niej pewne doświadczenie w tej sprawie. Nie po raz pierwszy bowiem tym się zajmowała. Teraz powiedziała: — Massa Fox ledwie tu, już znowu w niebezpieczeństwie. Co się stać ze starą biedną Sanną, jeżeli massa Fox być kiedyś zastrzelony i nie wrócić?

— Wróć, Sanno — uspokoił ją. — Moje życie znajduje się pod potężną opieką. Gdyby tak nie było, to już bym dawno nie żył, wierz mi!

— Ale Sanna zawsze tak całkiem sama! Nikogo nie mieć z kim ona mówić, tylko konie i papużki i fotografię małego Boba.

— No, może przyprowadzę tym razem towarzystwo. Mam się spotkać z ludźmi, którym chętnie pokażę swoje gospodarstwo, chociaż dotychczas nikomu o nim nie mówiłem. W tym towarzystwie jest również Murzyn, któremu na imię Bob, tak samo jak twojemu kochanemu chłopcu.

— Murzyn Bob? O Jessus, Jessus! Mieć on może matkę, która się nazywa Susanna, ale wołać ją Sanna?

— Tego nie wiem.

— Być on sprzedany z Tennessee do Kentucky?

— Nie pytałem go.

— W końcu to być mój mały chłopiec?

— Jak możesz myśleć, że właśnie ten jest twoim Bobem! Nie ludź się! Jak już mówiłem, może przyjadę z nim i wtedy będziesz mogła sama z nim porozmawiać. Bądź zdrowa, Sanno. Opiekuj się karym!

— Być zdrów, massa! O Jessus, Jessus, teraz Sanna znowu sama! Przyprowadzić Murzyna Boba, przyprowadzić!

Bloody-Fox pożegnał ją serdecznym skinieniem głowy i ruszył z całym zaprzęgiem w drogę, znikając szybko pod drzewami.

Cyprisy, sosny i topole rosły od dawna nad wodą, natomiast drzewa migdałowe i laurowe zasadził Bloody-Fox, tak samo jak lasek kasztanów, migdałowców i pomarańcz, przez który teraz przejeżdżał. Za laskiem rozciągał się pas gęstych, szybko rosnących krzewów, których przeznaczeniem było chronić małą oazę przed wiatrem i piaskiem. Od jeziora przeprowadził Fox wąskie rowy, żeby nawodnić zarośla, które tam gdzie się kończyła wilgoć gruntu, szybko przechodziły w pelzające przy ziemi gatunki kaktusów. Za nimi natomiast zaczynała się już naga, bezroślinna powierzchnia piasku pustyni Llano Estacado.

Tu gdzie można było rozwinąć konieczną szybkość, Fox puścił konie cwałem. Wkrótce cały zaprzęg widoczny był w dali już tylko jako ciemny punkt.

O połowę dnia jazdy konnej na północny zachód od domku spowitego passiflorą, tego samego dnia w południe zmierzała przez pustynię na północny wschód pokaźna grupa jeźdźców. Przodem jechał Winnetou z wodzem Komanczów, dalej łowca niedźwiedzi ze swoim synem Martinem. Za nimi podążali, jadąc obok siebie New -Moon, Porter, Blount i Falser, a zamykali kawalkadę wojownicy Komanczów.

Jechali w milczeniu. Oczy ich błądziły z lewa na prawo, jakby czegoś szukały, lub patrzyły przed siebie, badawczo lustrując leżącą przed nimi piaszczystą przestrzeń. Przeważnie jednak wszyscy kierowali wzrok ku obydwom przywódcom, a zwłaszcza ku Winnetou, siedzącemu w siodle w ten sposób, że z jednej strony zwisał z konia i mógł dokładnie obserwować ślad, za którym wszyscy podążali. Chodziło o ślad braci Pellejo, który miał ich zaprowadzić do doliny morderców.

Nagle Winnetou zatrzymał swego wierzchowca Iltschi i zeskoczył z siodła. W lekkim piasku wyciśniętych było więcej śladów, niż dotychczas. Wyglądało to tak, jakby kilka koni kręciło się w kółko. Ślady stóp także były widoczne. Zapewne jeźdźcy, którzy tu się zatrzymali, zsiadli z koni, by przyjrzeć się jakimś śladom.

Podczas gdy cała grupa stanęła, Winnetou badał każdą piędź gruntu na stratowanym miejscu. Schylony ku ziemi przeszedł powoli kawałek w prawo. Powróciwszy, powiedział do wodza Komanczów tak, żeby wszyscy mogli usłyszeć: — Tu dwie blade twarze odkryły jakiś ślad i zsiadły z koni, żeby go odczytać. Ślad pochodzi od koni, powiązanych jeden za drugim. Gdyby na każdym koniu siedział jeździec, nie byłyby w ten sposób powiązane. Musiał to więc być zaprzęg pięciu koni z jednym jeźdźcą, który siedział na pierwszym wierzchowcu. Ten jeździec był tu ze swoim zaprzęgiem przed trzema godzinami. Dwaj Meksykanie wpadli na jego trop przed dwiema godzinami i pojechali za nim. Moi bracia mogą zobaczyć, że brzegi śladów są jeszcze częściowo ostre, częściowo już zapadnięte.

Wódz Komanczów, który również zsiadł z siodła w celu zbadania śladów, potwierdził zdanie Winnetou.

Teraz zeskoczył z konia także łowca niedźwiedzi, Baumann. Głęboko schylony ku ziemi obszedł powoli zryte miejsce, a potem skierował się w prawo, idąc jeszcze dalej niż uprzednio Winnetou. Wreszcie przykucnął, jakby miał zamiar obejrzeć dokładniej jakieś miejsce, przywołał Winnetou i pokazał mu je: — Tutaj jakiś jeździec zsiadł z konia. Co go do tego zmusiło?

Winnetou powiódł wzrokiem w prawo wzdłuż śladu i zastanawiał się: — Ten człowiek jest bladą twarzą, jak wnoszę z jego stóp i prawdopodobnie młody. Gubił jak widać wodę. Od tego miejsca wyciek wody ustał. Musiał więc zsiąść tutaj, żeby uszczelnić beczkę lub wąż, wieszony ze sobą.

— Czy mój czerwony brat sądzi, że to była tylko jedna beczka lub jeden wąż?

— Tylko z jednego pojemnika wyciekała woda, ale on wiozł ich osiem. Cztery konie były nimi obciążone. Każde zwierzę dźwigało po dwa węże. Pierwszy koń był wierzchowcem.

— Na co tyle wody? Dla siebie i konia tyle przecież nie potrzebował.

— Nie. Musiał jechać do takiego miejsca, gdzie woda była potrzebna wielu ludziom. Albo jest to jeden z sępów, który ma napić innych rabusiów i ich zwierzęta na Llano, albo jest to uczciwy człowiek, który chce innym uczciwych ludzi ratować od śmierci z pragnienia.

Musi on, wiedzieć, że tacy ludzie znajdują się na Llano. Kto by to mógł być?

— Może to karawana białych, na których zamierzano napaść.

— Sądzę, że mój brat trafił w sedno. Dosiądźmy znów koni i jedźmy szybko za śladami, które tutaj się zlewają.

Wskoczyli na siodła i przyspieszyli jazdę wzdłuż połączonych śladów, które teraz nie prowadziły już na północny wschód, lecz prosto na północ.

Nie było nic prócz piasku, w którym ślad się ostro odciskał. Tylko tu i ówdzie mijali miejsca, gdzie przez piasek przebijała naga skała. Przeważnie jednak odnosiło się wrażenie, że pustynia jest dnem jeziora, które wyschło przed setkami lat. Niekiedy mogli zauważyć w dali po lewej i prawej stronie od obranej drogi szarobrunatne pasy. Były to pasma kaktusów, przez które nie można się przedostać. Jechali dalej i dalej.

Siady stawały się coraz świeższe. Był to dowód, że coraz bardziej zbliżano się do ściganych.

Pod wieczór grupa jeźdźców dotarła do miejsca, gdzie ślady były ponownie liczniejsze, nie dlatego, że doszły nowe, lecz z tego powodu że tu się zatrzymano. Winnetou zsiadł z konia, żeby to miejsce zbadać. Szedł kawałek na północ, wrócił i skierował się na wschód. Po powrocie do grupy oznajmił: — Człowiek z wodą pojechał w kierunku północno-zachodnim. Dwaj Meksykanie rozważali tutaj, czy jechać za nim, pojechali jednak na wschód. Za kim my podążymy?

— Wódz Apaczów najlepiej zadecyduje — oświadczył przywódca Komanczów.

— Wobec tego Winnetou wyjawi swoje zdanie. Ci, do których zmierza blada twarz, znajdują się na północnym wschodzie. To jest niewątpliwie dobry człowiek, który spieszy ludziom z pomocą. Moglibyśmy jechać za nim, żeby go ostrzec. Ponieważ jednak Meksykanie tak ostro zбочyli z jego śladu, należy przyjąć, że dolina morderców znajduje się tu, w pobliżu. Wybrali się tam, żeby się spotkać z sępami i powiadomić ich o śladzie człowieka z wodą. Popędzą za nim, aby udaremnić jego pomoc. My chcemy jechać do doliny morderców i dlatego musimy podążać za tropem Meksykanów. Czy mój czerwony brat się z tym zgadza?

Komancz skinął głową na znak zgody i skręcili na wschód. Gdyby byli popędzili konie, to zapewne byłoby się udało dość rychło dopaść Meksykanów. Nie było to jednak zamiarem Winnetou. Im prędzej by ich dogonił, tym trudniej by mu było dowiedzieć się, gdzie się znajduje dolina morderców. Dlatego trzymał grupę stale w równej odległości za ściganymi.

Nieco więcej niż dzień jazdy konnej na północny wschód od domu Bloody-Foxa przez głęboki piach pustyni Llano posuwał się długi tabor. Składał się z dwunastu wozów, zaprzęgniętych w woły. Wozy te jechały w pewnych odstępach jeden za drugim, a towarzyszyli im uzbrojeni jeźdźcy. Wozy były mocno zbudowane. Każdy ciągnęło sześć do ośmiu wołów, które powoli wlokły ciężkie bagaże. Zwierzęta były zmęczone i wyczerpane, po koniach też było widać, że ledwie już mogą udźwignąć jeźdźców. Języki wisały im z pysków, robiły bokami i nogi im drżały.

Woźnice szli osłabieni obok potykających się wołów. Opuścili głowy i zdawali się nie mieć już nawet sił na trzaskanie batem, żeby pobudzić zwierzęta do ostatniego wysiłku. Ludzie i zwierzęta robili wrażenie karawany, która jest bliska śmierci z pragnienia i wycieńczenia. Nawet chełpliwy adwokat Leader, który wraz ze swymi kompanami dołączył do karawany, spuścił z tonu.

Tylko koń jadącego na przedzie przewodnika wykazywał świeżość ruchów, jakby wcale nie był zmęczony. Jeździec natomiast siedział w siodle tak samo ciężko przechylony do przodu jak inni, jakby również cierpiał z powodu okropnego braku wody. Kiedy jednak posłyszał głos skargi z ust którejś z kobiet lub dziecka jadących na wozach, prostował się mimo woli, a wokół jego ust bez warg igrał uśmiezek diabelskiego zadowolenia.

Człowiek ten miał na sobie ciemne skórzane ubranie i kapelusze z szerokim rondem, z którym to ubiorem nie harmonizował czcigodny wyraz jego twarzy i okulary. Był to Tobias Preisegott Burton, rzekomy misjonarz mormonów. Zaoferował karawanie swoje usługi jako przewodnik i starał się teraz usilnie, by powierzonych swej pieczy ludzi doprowadzić do niechybnej zguby.

Jeden z uczestników karawany spał właśnie swego konia ostrogami, tak że biedne zwierzę rozpaczliwym wysiłkiem wyniosło go do boku konia Burtona. — Nie może tak dłużej trwać — powiedział. — Ludzie od przedwczoraj nie otrzymali ani łyku wody, bo resztę trzeba było zachować dla zwierząt. A ta reszta także skończyła się wczoraj rano, gdyż z ostatnich dwóch beczek woda wyciekła w niepojęty sposób.

— Spowodował to upał — wyjaśnił Burton. — Klepki beczek się rozeschły.

— Nie, to nie to. Zbadałem beczki. Dopóki w beczce jest woda, klepki szczelnie do siebie przylegają. Beczki zostały przedziurawione i woda w nocy cicho i niepostrzeżenie z nich wyciekła. Jest wśród nas ktoś, kto dybie na nasze życie.

— Niemożliwe! Kto po kryjomu pozwala wyciec wodzie z beczek, musi przecież sam zginąć z pragnienia!

— Też sobie tak pomyślałem, lecz mimo wszystko tak jest. Nie mówiłem o tym nikomu, żeby nie powiększać ogólnych zmartwień i trosk. Obserwowałem każdego potajemnie, lecz niczego nie zauważyłem, z czego mógłbym wnioskować, kto to zrobił. Nasze zwierzęta są bliskie śmierci. Ledwie się trzymają na nogach. Kobiety narzekają, dzieci wołają o wodę... na próżno, gdyż nie ma już ani kropli. Popatrzcie w górę! Nad naszymi głowami unoszą się sępy, jakby wiedziały, że niedługo padniemy ich pastwą. Czy jesteście pewni, że znajdujemy się na właściwej drodze?

Burton był tym, który nocą przedziurawił obie beczki wody. Przy tym sam się napił i napoił swego konia. Poza tym napełnił wodą duże naczynie blaszane, które starannie owinięte w skórę przytroczył do siodła, żeby z zapadnięciem ciemności po kryjomu orzeźwić siebie i konia.

— Naturalnie — odparł na pytanie, wskazując na paliki, które w pewnych odstępach tkwiły w piasku. Widzicie tu przecież nasze drogowskazy, na których możemy całkowicie polegać.

— Z pewnością? Słyszeliśmy, że sępy Llano wyciągają niekiedy paliki i wtykają je w kierunku, prowadzącym podróżnych na manowce.

— Tak, to się dawniej przytrafiało; teraz jednak już się nie zdarza, gdyż ukrócono uprawiany przez tych łajdaków proceder. Zresztą dokładnie znam tę okolicę i wiem, że jedziemy właściwą drogą.

— Dziś rano powiedzieliście, że znajdujemy się w najstraszniejszym miejscu Llano. Dlaczego poutykano paliki właśnie przez tę okolicę. Gdzie indziej doszlibyśmy zapewne do dużych pól kaktusów, których owoce zawierają tyle wilgoci, że moglibyśmy orzeźwić siebie i nasze zwierzęta.

— Nadłożylibyśmy znacznie drogi. Ażeby was uspokoić, zapewniam was, że jeśli się pospieszymy, to wieczorem dojedziemy do takiego pola. Jutro dotrzemy do źródła, które zakończy naszą biedę.

— Jeśli się pospieszymy? Przecież widzicie, że to jest niemożliwe, aby zwierzęta posuwały się szybciej!

— To zatrzymajmy się, żeby wypocząły.

— Nie, nie, tego nam robić nie wolno. Jeśli się raz zatrzymamy, to już potem nie ruszymy zwierząt z miejsca. Jeśli się raz położą, to już więcej nie wstaną. Musimy je ciągle popędzać, żeby się wlokły dalej, aż do kaktusów, któreście wspomnieli.

— Jak chcecie, sir! Ja cierpię nie mniej od was, lecz na pociechę widzę, że krótko przed nami tą samą drogą jechali inni. Przypatrzcie się śladom, na które natknęliśmy się dziś rano! To była liczna gromada jeźdźców. Ludzie ci nie zapuściliby się w tym kierunku, gdyby nie byli pewni, że jest właściwy. Nie mamy się czego obawiać. Jutro o tym czasie będzie po wszystkim.

Mówiąc to Burton miał rację, gdyż według jego obliczeń planowany napad na karawanę miał nastąpić jeszcze przed podanym przez niego terminem. Nie powiedział oczywiście, że wspomniana grupa jeźdźców składała się z jego kamratów, którzy przestawili paliki w fałszywym kierunku. Zaśmiał się w duchu, kiedy Leader dał się uspokoić jego dwuznacznymi słowami.

Między domkiem Bloody-Foxa a doliną morderców rozciągało się pole kaktusów. Jego długość wynosiła kilka godzin szybkiej jazdy konnej; prawie tyle samo wynosiła też jego szerokość. Było nie do przebycia. Żaden koń, żaden jeździec nie mógł się przedrzeć przez kaktusy. To był powód, dla którego Bloody-Fox, jadąc ze swojego domku, nigdy nie obrał tego kierunku i wobec tego nigdy nie dotarł do niecki zwanej doliną morderców. Pędził teraz zachodnim krańcem tego kaktusowego pola na północ. Gdyby potem na północnym końcu pola zбочzył na wschód, musiałby bezwarunkowo odkryć to wgłębienie gruntu, które stało się zgubą wielu ludzi. On jednak był przekonany, że ci, których zamierzał ratować, znajdują się na północny wschód od niego i dlatego obrał ten kierunek.

Z nieba lał się żar. Fox czuł dokuczliwe gorąco. Jego konie złane były potem; nie dawał im jednak wytchnienia. Jechał bez wypoczynku, nieustannie obserwując skraj widnokrzęgu.

Wtem na północno-wschodniej stronie horyzontu pojawiły się liczne ciemne punkty. To pewnie ci emigranci — pomyślał Fox. Spiał wierzchowca ostrogami i głośnym nawoływaniem zachęcił konie do szybszego biegu, tak, że pędziły przez równinę jak burza.

Co prawda Fox już po krótkim czasie zauważył, że ma przed sobą tylko jeźdźców bez wozów, lecz sądził, że tworzą oni przednią straż emigrantów i dlatego jechał prosto w ich kierunku.

Dopiero kiedy się bardziej do nich zbliżył, zastanowiła go pokaźna liczba jeźdźców, lecz również ich zachowanie się. Oni go także zauważyli. Zamiast go spokojnie oczekiwać, podzielili się na trzy grupy. Jedna stała w miejscu, a dwie pozostałe podążyły w kierunku Bloody-Foxa, jedna z prawej, druga z lewej strony, jakby miały zamiar otoczyć go i odciąć mu odwrót. Fox wyprostował się w siodle i ogarnął wzrokiem położenie.

— O niebios! — wykrzyknął. — Jest ich przeszło trzydziestu. Tak liczna nie może być przecież straż przednia emigrantów! Mają ze sobą kilka koni jucznych, obładowanych palikami. Do diabła! To są sępy pustyni Llano, a ja wjechałem im prosto w szpony! Chcą mnie schwytać. Z tyłoma nie mogę podjąć walki. Muszę uciekać!

Bloody-Fox zawrócił i popędził z powrotem. Ponieważ jednak miał połączone ze sobą w zaprzęgu konie, nie mógł rozwinąć odpowiedniej szybkości, tym bardziej że zwierzęta były już niezmiernie zmęczone. Ścigający przybliżali się w oczach. Fox popędzał swego konia jak tylko mógł, lecz wierzchowca wstrzymywały konie juczne. Szarpały cugle i rzemienie oraz wierzgały kopytami. To powodowało zwłokę, która mogła być zgubną, gdyż prześladowcy pędzący na przedzie znajdowali się już prawie w odległości strzału. Wtem pękł rzemień podogonowy wierzchowca, do którego przymocowane były cugle pierwszego jucznego konia, i cztery konie dzwigające węże napełnione wodą skrzyły nagle w bok.

— Są stracone i woda również! — zgrzytnął Fox zębami. — Ale zaraz zbirom odpłacę.

Uspokoił swego wierzchowca i osadził go w miejscu. Przykładając dubeltówkę do oka, wycelował. Padły dwa strzały i dwaj prześladowcy jadący na przedzie zwalili się z koni.

— Teraz naprzód! Już mnie pewnie nie dogonią. Nie mogę teraz dla ginących z pragnienia ludzi nic innego zrobić, jak tylko znaleźć Old Shatterhanda i naprowadzić go na ich ślad.

Fox, mrucząc te słowa ze złością, galopował na północ. Sępy, wściekle wrzeszcząc, goniły go jeszcze kawałek drogi. Kiedy jednak zbóje uświadomili sobie, że koń uciekiniera ma znaczną przewagę, zaniechali pościgu i wrócili do miejsca, gdzie leżeli ich zabici kamraci.

I znów mniej więcej w odległości jednego dnia jazdy konnej od chatki Bloody-Foxa, lecz na północny zachód od niej, pojawiła się jeszcze jedna grupa jeźdźców, która posuwała się na południe. Jechała wzdłuż śladów wrytych w piasek, a mianowicie śladów sępów pustyni, które wyprzedzały karawanę, aby wyciągać prawidłowo rozmieszczone paliki i wbijać je w piasek w kierunku doliny morderców.

Na przedzie jechał Old Shatterhand. Miał obok siebie młodego Komancza, Żelazne Serce. Za nimi jechali Hobble-Frank i Gruby Jemmy, a na końcu grupy Davy, Fred i Bob.

Dwaj pierwsi milczeli i nie spuszczały z oka śladu, ani odległego punktu, do którego ślad prowadził.

Pozostali nie zachowywali się cicho, a najbardziej słychać było Franka. Rozmowa toczyła się wokół przedmiotu, o którym sąsiad Franka zdawał się mieć odmienne zdanie, gdyż mały Saksończyk wywodził pouczająco: — Na sprawach naukowych znasz się jak wilk na gwiazdach. Taki pogląd jak twój jest przecież wprost niesłychany! Kula świetlna, którą widzieliśmy, miała spaść z firmamentu! Jakby firmament nie miał nic lepszego do roboty, niż oświetlać ciemne stany twojej duszy żarzącymi się kulami i raketami!

— To podaj nam twoje wyjaśnienie! — zażądał Jemmy śmiejąc się.

— Ani mi się śni!

— Dlaczego nie?

— Bobyś się stał dzięki mnie o kilka stopni Celsjusza mądrzejszy, nie poczuwając się wcale do wdzięczności.



— Albo dlatego, że sam nie umiesz tego wytłumaczyć!

— Oho! Jeśli masz o mnie takie mniemanie, to już lepiej ci to zjawisko wyjaśnię. Taka kula ognista zawdzięcza swoje powstanie siarkowemu związkowi fosforu z hubkami, które niekiedy...

Jego naukowy wywód przerwał okrzyk Old Shatterhanda. Myśliwy wskazał ręką na południe i powiedział: — Stamtąd przybywa jakiś jeździec! Trzeba wielkiej odwagi, żeby jechać tędy samotnie i trzeba doskonale znać pustynię Llano Estacado.

— Któż to może być? — spytał Fred. — Zdaje się, że jedzie w naszym kierunku.

Old Shatterhand okiełznał konia, wyjął lunetę z kieszeni siodła, nastawił ją na jeźdźca, który zbliżał się wyciągniętym galopem, opuścił lunetę i oświadczył: — To może być Bloody-Fox, o którym mi opowiadaliście. Zaczekajmy tu na niego!

Po krótkim czasie Fox rozpoznał poszczególne osoby oczekującej go grupy. Kiwał ręką na powitanie i wołał już z daleka: — Co za szczęście, że was spotykam, panowie! Muszę prosić o szybką pomoc.

— Dla kogo? — zapytał Old Shatterhand.

— Dla karawany emigrantów, przeważnie Niemców, której najprawdopodobniej jeszcze dziś w nocy grozi napad „sępów”. — Mówiąc to podjechał, zatrzymał konia i podał rękę Old Shatterhandowi. — Nie mylę się chyba — kontynuował — że mam przed sobą Old Shatterhanda. Cieszę się, sir, że was poznałem. Jestem Bloody-Fox.

— Nareszcie mam okazję uściskać wam rękę — odwzajemnił się myśliwy. — Dużo o was słyszałem. Co się tyczy karawany wychodźców, to jest to ta sama, której szukamy. Gdzież ona jest?

— Na południowym wschodzie stąd. Zdaje się, że zmierza prosto w kierunku wielkiego pola kaktusów.

— Nie znam tego pola.

— Jest to największe pole kaktusów na całym Llano. Naliczyłem trzydziestu dwóch „sępów” i dwóch z nich zastrzeliłem. Wyciągali paliki i wbijali je w kierunku, prowadzącym do pola kaktusów. Tam nie ma żadnego przejścia. Z tego można z całą pewnością wnioskować, że emigranci mają tam zostać zamordowani.

— Wiele czasu nam potrzeba, żeby dogonić tych ludzi?

— Galopem, przeszło trzy godziny.

— Wobec tego naprzód! Nie traćmy czasu. Rozmawiać możemy także podczas jazdy.

Cała grupa popędziła przez równinę lotem błyskawicy. Bloody-Fox jechał u boku Old Shatterhanda i opowiedział mu o spotkaniu z sępami pustyni i utracie czterech koni. Myśliwy popatrzył na niego z boku i powiedział ze szczególnym uśmiechem: — Pięć koni macie Fox? Hm, Tu w środku Llano? Czy jest między nimi także ten koń, na którym niedawno przejechał koło nas upiór pustyni?

— To jest szósty, sir — odrzekł Fox.

— Tak też myślałem.

— Mam do was zaufanie, mister Shatterhand. Tej tajemnicy nie można przecież i tak już dłużej utrzymać, skoro musicie zobaczyć moje gniazdo upiora. Zresztą nie będę się już musiał bawić w chowanego, gdyż mam nadzieję, że uda nam się teraz nareszcie wytepić tę całą bandę do ostatniego jej członka. Brak mi tylko jeszcze jednego z nich: przywódcy bandy z tych lat, kiedy to zostałem sam jeden przy życiu.

— Kto wie, gdzie jego kości bieleją! Fox, jesteście mimo swego młodego wieku prawdziwym bohaterem. Mam dla was wiele uznania. Później będziecie nam musieli wszystko szczegółowo opowiedzieć. Już teraz jednak wiem, jaki z was człowiek i jakie niebezpieczeństwa zwalczyliście zwycięsko. Skoro macie tyle koni i możecie zjawiać się i znikać, kiedy wam się podoba, to musicie pośrodku Llano Estacado posiadać miejsce, gdzie znajdują się woda, drzewa, trawa i owoce.

— Istotnie, mam takie miejsce. Mieszkam nad małym jeziorem, po drugiej stronie wielkiego pola kaktusów.

— Nad jeziorem? A więc podanie nie kłamało! Proszę, opiszcie mi to miejsce!

Bloody-Fox uczynił zadość prośbie, a Old Shatterhand postanowił na razie nie zdradzać nikomu tej tajemnicy.

Właśnie kiedy słońce zachodziło, grupa myśliwych dotarła do śladu wozów i ruszyła za nim na południe. Nie było to trudne, ponieważ wkrótce pojawił się cienki sierp księżycy, oświetlając wystarczająco drogę. Po godzinie jazdy Old Shatterhand wstrzymał nagle swego wierzchowca i wskazał przed siebie.

— To są ci wychodźcy — wyjaśnił. — Widać ich tabor. Zatrzymajcie się tu, a ja pójde na zwiady.

Zeskoczył z konia i wsiąknął w noc. Minęło może pół godziny, kiedy powrócił i zameldował: — Z dwunastu wielkich wozów, zaprzęgniętych w woły utworzono czworobok, pośrodku którego siedzą ludzie. Nie mają nic do jedzenia ani do picia, ani też drewna do rozpalenia ogniska. Przewodnik ich zdradził, w przeciwnym razie musieliby być we wszystko zaopatrzeni. Woły leżą na ziemi i stękają. Są bliskie śmierci i na pewno jutro rano już nie będą mogły wstać. Woda, którą mamy przy sobie, nie wystarczy nawet dla ludzi. A żeby uratować zwierzęta, trzeba im koniecznie dostarczyć deszczu.

— Deszczu? — zapytał Hobbble-Frank. — Czy sądzi pan, że tu w środku Llano może pan wywołać deszcz?

— Owszem!

— Co takiego? To przechodzi wszelkie granice. Jest pan co prawda wspaniałym człowiekiem, ale nigdy bym nie przypuszczał, że potrafi pan sprowadzić chmury. Któż je zdaniem pana napędzi?

— Elektryczność. Nie mam czasu, żeby panu to teraz wytłumaczyć. Do otrzymania wody potrzebuję ognia i to możliwie dużą płonąca przestrzeń. Bloody-Fox mówił o rozległym polu kaktusowym, rozciągającym się niedaleko stąd na południu. Mam więc nadzieję, że wkrótce dostarczę państwu porządnej ulewy. Teraz jednak chodźcie!

Old Shatterhand ponownie dosiadł konia i zmierzał w kierunku taboru. Inni podążyli za nim z ciekawością.

Wozy tak zsunęto w czworobok, żeby nie mógł się przez nie przedostać żaden jeździec. Posłyszano jednak tętent zbliżających się jeźdźców. Przed taborom myśliwi zeszli z koni. Usłyszeli, że wewnątrz czworoboku ktoś zawołał: — Słuchajcie! Przybywają ludzie, Boże mój, mieliby nam spieszyć z pomocą? Czy też są to rozbójnicy?

— Nie jesteśmy zbrojnymi. Przynosimy wam przede wszystkim wodę — odpowiedział Old Shatterhand. Podejdźcie i wpuście nas!

— Do diabła! — odezwał się jakiś niechętny głos. — Miałaby... poczekajcie, ja wyjrzę!

Podszedł do wewnętrznej ściany wozów, przechylił się przez dyszel i zapytał: — Kim jesteście?

— Zwą mnie Old Shatterhand, a tu są moi towarzysze, sami uczciwi ludzie.

— Old Shat... do diabła z wami! — Człowiekiem, który ludzi niosących ratunek przyjął przekleństwem zamiast okrzykiem radości, był czcigodny przewodnik.



— Ach, to wy jesteście, mister Tobias Preisegott Burton! — powiedział drwiąco Juggle-Fred. — Ogromnie się cieszę, że was tu spotykam!

Ale Burtona już nie było. Uznał, że nie może pozostać ani chwili dłużej. Dlatego przeszedł na drugą stronę czworoboku, gdzie stał jego koń, wyciągnął szybko dyszel z jednego wozu, żeby sobie zrobić wyjście, wskoczył na siodło i uciekł.

Styszał za sobą okrzyki radości ludzi, którym gotował zgubę. — Poczekajcie tylko! — zazgrzytał zębami. — Wkrótce wrócę, a wtedy wasi zbawcy zginą razem z wami.

Burton nie potrzebował jechać daleko. Po kwadransie natknął się na swoich kompanów, tych od przestawiania palików.

Nie zmartwili się bynajmniej faktem, że Old Shatterhand zasilil grono emigrantów. Cieszyli się raczej, gdyż przez to powiększył się w ich mniemaniu spodziewany łup. Ani im przez myśl nie przeszło, że ich napad mógłby się nie udać, jakkolwiek teraz musieli się liczyć z tym, że bez walki nie pokonają swych ofiar.

Dwaj Meksykanie znajdowali się też już w gromadzie przestępców. W dolinie morderców zastali na warcie tylko jednego ze zbójów, który poprowadził ich do reszty rabusiów. Z ożywieniem opowiedzieli swoje przeżycia w „śpiewającej dolinie”, nie przeczuwając, że Winnetou i Komancze jadą ich śladami.

Apacz przybył ze swoją grupą do doliny morderców i nie zastał tam nikogo. Dolina morderców była spadzistą i dość głęboką zapadliną, na dnie której zawsze stała kałuża mętnej wody. Być może, że ta woda pochodziła z niezbyt oddalonego jeziora, nad którym mieszkał upiór pustyni. W każdym razie woda, chociaż mętna, była tu pośrodku pustego Llano rzeczą drogocenną, tak że bandyci przestawiający paliki obrali sobie to miejsce za punkt zborny. Ilekroć rozpraszali się po pustyni, zawsze tu wracali, zaś jeden z nich pełnił tu stale służbę informacyjną.

Dzisiaj człowiek ten odjechał razem z Meksykanami, dlatego Winnetou nikogo tu nie zastał. Jego bystry wzrok wskazał mu jednak wkrótce, dokąd się musi udać. Podążył śladem trzech jeźdźców i z zapadnięciem zmierzchu odkrył miejsce, w którym obozowały sępy pustyni.

Apacz zatrzymał swoją grupę. Sam położył się na ziemi i podczołgał bezszelestnie ku rabusiom. Byli oni w większości przebrani za Indian. Zobaczył jak nadjechał Burton, ten zdradziecki przewodnik, i do nich się przyłączył. Winnetou nie mógł się jednak za bardzo zbliżyć do tej zgrai, żeby nie zostać odkrytym. Nie posłyszał więc ich słów. Udało mu się przynajmniej policzyć hultajów. Potem zawrócił.

— Trzydzieści pięć sępów — oznajmił towarzyszom. — Jutro o tym czasie pożarte zostaną przez prawdziwe sępy.

— Co zamierzają? — zapytał New-Moon.

— Czyhają na łup, a ten znajduje się na północ stąd, gdyż Meksykanie pojechali w tamtym kierunku. Właśnie teraz przybył stamtąd posłaniec. Jak z jego gestów wywnioskowałem, zameldował widocznie, że mord może się rozpocząć. Moi bracia ruszą ze mną teraz na północ, gdzie na pewno spotkamy ludzi, których oni chcą zabić i obrabować.

Apacz dosiadł znów swego rumaka i pojechał wpierw z całą grupą wielkim łukiem, żeby uniknąć wzroku rozbójników. Potem cała ekipa udała się na północ.

Po krótkim czasie zobaczyli w ciemności przed sobą tabor. Stały przed nim warty. Old Shatterhand przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności. Kiedy od nadjeżdżających zażądano opowiedzenia się, Winnetou odrzekł: — Niech biali ludzie się nie niepokoją. Tu jest Winnetou, wódz Apaczów, który spieszy im z pomocą.

Do uszu zamkniętych w taborze dotarł wyraźnie jego dźwięczny głos. Ledwie przebrzmiało ostatnie jego słowo, z taboru rozległ się radosny okrzyk Hobbler-Franka: — Winnetou? Dziękuję Bogu! Gdyż tam gdzie jest Apacz, musi być również łowca niedźwiedzi i jego syn Martin! Wypuście mnie, muszę ich uściskać!

Przelazł przez wóz na zewnątrz taboru i stanął jak wryty, ujrzawszy gromadę Komanczów.

— Do licha, cóż to jest? — zapytał. — Coś mi się tu nie podoba. Niech pan tylko wyjdzie, panie Shatterhand i przypatrz się duchom, które tu błędzą konno po nocy!

Ale już Martin Bauman wisiał mu na szyi, a potem łowca niedźwiedzi wziął go w swoje ramiona. Winnetou tak samo przywitał się radośnie ze swoimi starymi znajomymi i rzekł: — To mój brat Old Shatterhand musi być tutaj. Czy nie słyszał mojego głosu?

— Ależ naturalnie. Tu jestem! — zawołał wymieniony, który z pomocą kilku osób szybko rozsunał dwa wozy i wyszedł, by powitać czerwonego przyjaciela. Za nim wyszli: Jemmy, Davy i Juggle-Fred. Posypały się pytania i odpowiedzi, ściskano się i podawano sobie ręce, lecz wszystko odbywało się bez hałasu, stosownie do sytuacji.

Młody Indianin „Żelazne Serce” stał poważny i smutny przy swoich Komanczach, którzy okazali zdziwienie, że go tu widzą.

Opowiedział im o śmierci ich wodza a swojego ojca. Słuchali w milczeniu, lecz w duchu poprzysięgli sępom śmierć.

Po powitaniach zaczął się w taborze i wokół niego cichy, lecz skrzętny ruch. Czworobok powiększono, żeby i Komancze się w nim zmieścili. Rabusie, nadjeżdżając nie powinni się byli orientować, że mają teraz do czynienia ze zwiększoną liczbą przeciwników. Konie także wprowadzono. Komancze rozdzielili między emigrantów mięso, jakie mieli dla siebie, i wodę, którą wieźli w wydrążonych dyniach, gdyż Old Shatterhand obiecał, że niedługo będzie jej większy zapas. Wody jednak nie wystarczyło, żeby zaspokoić pragnienie tych biednych ludzi.

Przy spotkaniu rozegrało się także kilka nieprzewidzianych scen, jak na przykład chwila, kiedy New-Moon rozpoznał Juggle-Freda, który go kiedyś uratował z morderczych rąk Stealing-Foxa. Wkrótce jednak wokół taboru zapanowała głęboka cisza. Co prawda nikt nie spał. Mężczyźni, którzy mieli sobie dużo do opowiedzenia, rozprawiali szeptem, tak że na zewnątrz taboru nie było nic słychać.

Old Shatterhand przejął naczelne dowództwo. Usiadł obok Bloody-Foxa, który miał mu dokładnie opisać okolicę, w jakiej się teraz znajdowali. Żadnemu z sępów nie powinna się udać ucieczka, ażeby procederowi rozbójników położyć kres raz na zawsze.

Old Shatterhanda zainteresowała szczególnie wiadomość, że obok dużego południowego pasa kaktusów istnieje nieco na wschód drugi, trochę węższy, lecz o wiele dłuższy od pierwszego. Fox oznajmił, że między tymi polami kaktusów ciągnie się na południe dość wąski pas piasku. Tą drogą można dotrzeć do jego gniazda. Prowadzi do niego zygzakowata ścieżka. Każdy, kto nie zna tego miejsca, jest przekonany o niemożności przejścia tamtędy. Dlatego pewnie nikt się dotychczas dalej nie zapuścił.

— Dobrze! — powiedział Old Shatterhand, przyjmując relację Foxa do wiadomości. — Nie może więc ująć żaden z tych hultajów.

Gdyby nasza przewaga liczebna została przez nich za wcześnie odkryta, albo gdyby po naszym ataku rzucili się do ucieczki, to zapędzimy ich między te dwa pola kaktusowe i podpalamy kaktusy. Otrzymamy w ten sposób zarazem wodę dla zwierząt.

— Ale wówczas sępy dotrą do mojego jeziora i stamtąd umkną!

— Nie, Fox, gdyż natychmiast wyruszyście tam z dziesięcioma Komanczami, aby przyjąć tych łajdaków, których my wam napędzimy. Zajedźcie w samą porę, gdyż założę się, że zaatakują nas dopiero przed świtem!

Plan ten został natychmiast wykonany. Otwarto ponownie szaniec z wozów, żeby wypuścić Foxa z Komanczami. Potem zapanowała wokoło głęboka cisza.

Warty zostały daleko na zewnątrz przed taborem i miały rozkaz, zauważywszy zbliżanie się wroga, wycofać się do środka taboru, przechodząc między kołami wozów.

Tak przeszła noc. Zbliżał się świt i zarysy wozów oraz innych przedmiotów stały się wyraźniejsze. Nie było śladu mgły porannej. Powoli rozjaśniało się i zobaczono, że rabusie zatrzymali się na koniach mniej więcej w odległości tysiąca kroków na południe.

Uważali, że ich czas nadszedł i ruszyli. Nadjeżdżali galopem, chcąc wziąć tabor szturmem.

Warty wychodźców już się schroniły do wnętrza czworoboku i wszyscy mężczyźni stali teraz po tej stronie taboru, skąd następował atak. Sępy znajdowały się w odległości jeszcze tylko stu, jeszcze osiemdziesięciu, jeszcze pięćdziesięciu kroków.

— Ognia! — zawołał Old Shatterhand. Huknęło przeszło trzydzieści strzałów. Zgraja napastników zmieniła się momentalnie w bezładną kupę. Z koni spadali zabici i ranni. Zwierzęta bez jeźdźców popędziły dalej. Inne, o ile nie były ranione lub tylko lekko ranne, zostały przez jeźdźców szarpnięciem zawrócone. Tych było zaledwie ponad dziesięć.

— Hura, hura! Old Shatterhand i Winnetou! — krzyczał Hobble-Frank.

Kiedy sępy usłyszały również imię Apacza i stwierdziły wysokość swoich strat, zawróciły szybko i uciekały na południe.

— Wychodźcie! I każdy na swoje miejsce! — rozkazał Old Shatterhand.

Dwa wozy szybko odstawiono, żeby wszyscy mogli przejść. Zgodnie z uprzednio otrzymanym zadaniem emigranci pobiegli do zabitych i rannych. Inni udali się w pościg za uciekinierami, nie spiesząc się jednak zbytnio. Tylko Davy i Jemmy rozwinęli całą szybkość swoich koni, pędząc na południowy zachód, gdzie mieli podpalić kaktusy.

Część ścigających z Winnetou na czele popędziła na wschód, aby potem zboczyć na południe i zamknąć drogę uciekającym i zmusić ich do wjechania pomiędzy pola kaktusowe. Grupa Old Shatterhanda puściła się za rabusiami klusem na południe.

Złoczyńcy wściekali się, że ich zaplanowany napad się nie udał. Pędzili w ciszy, nic do siebie nie mówiąc. Słychać było tylko przekleństwa. Zatrzymali się dopiero w dolinie morderców.

— Co teraz? — zapytał Burton, siedząc na koniu i dysząc ze zmęczenia. — Tu nie możemy zostać, bo te psy są tuż za nami.

— Naturalnie! — przytaknął Carlos Pellejo, który tak jak i jego brat nie został ranny. — Prosto przez kaktusy też nie możemy jechać, a więc na prawo! Chodźcie!

Pojechali w obranym kierunku. Niebawem zobaczyli jednak unoszący się w dali gęsty dym. — Do pioruna! — zaklął Burton. —

Wyprzedzili nas. Podpalili kaktusy. Z powrotem!

Natychmiast popędzili z powrotem na wschód, koło doliny morderców. Po dziesięciu zaledwie minutach ujrzeli przed sobą z lewej strony Old Shatterhanda, który ze swoją grupą zmierzał ku nim ukosem. To ich przejęło lękiem. Spięli konie ostrogami, by wyminąć atakujących. Wydawało się, że im się to uda.

Potem bandyci mieli zamiar skręcić w bok. Wkrótce jednak przekonali się, że to niemożliwe, gdyż ujrzeli teraz drugą połowę ścigających, która zatrzymała się dalej i zagroziła im drogę.

— To diabła sprawa! — krzyknął Emilio. — Musimy więc jednak wjechać między kaktusy!

— A czy tam jest wyjście, a nie przypadkiem ślepa uliczka? — spytał Carlos.

— Tego nie wiem. Jeszcze nigdy tam nie byłem. Nic nam jednak innego nie pozostaje.

— No to szybko, żebyśmy wyprzedzili ogień.

Tak więc w końcu pognali na południe, tak jak sobie tego życzył Old Shatterhand.

Teraz on także dał koniowi ostrogę. Z lewej strony nadjeżdżał Winnetou ze swoją ekipą, z prawej Davy i Jemmy po wykonaniu zadania i wszyscy razem pogalopowali za sępami pomiędzy pola kaktusowe w kierunku „gniazda upiora”.

Carlos Pellejo miał rację, przestrzegając przed ogniem. Pożar zbliżał się, najpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej.

Latami całymi walały się po ziemi zeschnięte na wiór liście kaktusów, które od czasu do czasu puszczały nowe pędy. Suche liście paliły się jak hubka. Płomienie lizały wpierw cicho wokół siebie. Potem zaczęły biec i skakać i wreszcie biły w niebo na wysokość domu.

Niedługo całe szerokie pole zalane było morzem ognia, którego trzask brzmiał z dala jak odległy grzmot. Wzmagające się gorąco wytworzyło prąd powietrza, który nasilał się coraz bardziej, aż zmienił się w wiatr. Im bardziej się ogień rozszerzał, im dalej posuwał się na południe, rozlewając się tam na powierzchni wielu mil kwadratowych, tym widoczniej spełniało się to, czego oczekiwał Old Shatterhand. Niebo straciło swój błękit, stało się wpierw bladeżółte, potem przybrało barwę popielatą, która coraz bardziej ciemniała, aż wreszcie zebrały się ciężkie masy, składające się już tylko z dymu. Silny obecnie wiatr skłębził je w gęste chmury, które stopniowo zdały się pokrywać cały firmament.

Powietrze paliło. Piasek zdawał się żarzyć. Przez chmury zaczęły przelatywać błyskawice. Spadło kilka pojedynczych kropel deszczu, potem padało ich coraz więcej. Wreszcie padał już naprawdę deszcz i to coraz silniej, aż w końcu dosłownie lało jak podczas tropikalnej burzy.

Ciężko rannych morderców emigranci po prostu zastrzelili, zabrali ich manatki i zdobyte na nich konie. Mieli czekać do powrotu przyjaciół, lecz... bez wody! Wtem zobaczyli ogień. Zauważyli tworzenie się chmur i poczuli spadające krople deszczu. Wreszcie stali w orzeźwiającej ulewie i znosili wszystkie jakie tylko mieli naczynia, żeby je napełnić wodą. Woły, które ledwie się jeszcze trzymały przy życiu, odzyskały siły. Ryczały radośnie; tarzały się w deszczu; napojono je; były uratowane, a z nimi cały dobytek ich właścicieli, którzy bez zwierząt nie mogliby wieźć dalej swego mienia.

Krótko po nastaniu dnia Bloody-Fox z dziesięcioma Komanczami przybył do swojego domku. Sanna nie zlekka się Indian. Ucieszyła się, że po długim okresie samotności znów zobaczyła ludzi; zapytała jednak zaraz swojego młodego pana o Murzyna Boba. Pocieszył ją, że Bob przyjedzie później i udał się do swojej chatki. Gdy wyszedł, miał na sobie białą skórę bawołą.

— *Pijänowit natscho* — upiór Llano! — zawołał na jego widok Żelazne Serce, który znajdował się w oddziale Komanczów.

Inni także wlepili oczy w Bloody-Foxa, widząc wreszcie rozwiązanie tej tak często omawianej zagadki. Nic jednak nie powiedzieli.

Bloody-Fox dosiadł znów konia i jechał z nimi dalej, opuściwszy oazę. Wraz z całą grupą zajął stanowisko na południowo-wschodnim krańcu pola kaktusowego. Jego oczy patrzyły badawczo na północ.

Teraz wyrosła tam ciemna ściana, w którą od dołu biły jasne płomienie. — Ogień napędza nam sępy — rzekł do Indianina. — Może mój czerwony brat znajdzie między nimi mordercę swego ojca.

Obydwoj trzymali fuzje gotowe do strzału.

Ściana chmur przybliżała się, a przed nią szedł zar. Powietrze z minuty na minutę stawało się coraz bardziej duszne. Do czekających ludzi ogień nie mógł się przedostać. Musiał się zatrzymać na granicy kaktusów.

— Uff! — zawołał Indianin, wskazując na północ. — Nadjeżdżają!

Istotnie sępy przybywały, lecz była ich już tylko trójka. Reszta została zlikwidowana po drodze przez ścigających ich ludzi. Konie tych trzech ociekały potem. Oni sami ledwie już mogli utrzymać się w siodle. Niedaleko za nimi widać było Old Shatterhanda i Winnetou, za którymi podążali inni. Pogoń zbliżała się. Old Shatterhand i Winnetou nie pędzili już jednak swoich koni. Widać było, że chcą tych trzech pozostawić Bloody-Foxowi i Komanczom.

Pierwszym z trzech sępów był Burton, który wysforował się przed pozostałymi dwoma. Zobaczył drzewa, istny cud na Llano i pędził wprost na nie. Fox skręcił w jego kierunku. Kiedy mormon go ujrzał, krzyknął z przerażenia i uderzył swego wierzchowca tak, że biedne zwierzę dobiło resztek sił, by dotrzeć do drzew. Nadjeżdżali dwaj pozostali. Musieli przejechać koło Indianina. Żelazne Serce poznał ich. Byli to ci, którzy brali udział w zamordowaniu jego ojca. Indianin natychmiast podniósł dubeltówkę. Gruchnęły dwa strzały i sępy spadły z koni. Żelazne Serce podjechał, by zdjąć z nich skalpy.

Tymczasem Bloody-Fox pędził za Burtonem, najgorszym ze wszystkich sępów. Gnali ku drzewom i pomiędzy nimi aż przed chatę. Jazda była tak dzika, że Fox zgubił swoją bawołą skórę. Przed domkiem padł koń rozbójnika, a on sam wyleciał z siodła. Fox w okamgnieniu stał nad nim, wyrwał nóż zza pasa i podniósł rękę do ciosu. W następnej chwili wyprostował się i krzyknął z przerażenia. Podczas upadku Burtonowi zsunęła się peruka, odkrywając jego naturalne, krótko ostrzyżone, czerwono-blond włosy. Twarz jego wskutek wielkiego wysiłku podczas szalonej jazdy była wykrzywiona i nabrzmiała, a jego wzrok szklany i nieruchomy utkwiony był w młodziana. Nie żył. Skręcił kark. Bloody-Fox rozpoznał w nim mordercę swych rodziców, Stealing-Foxa. Podczas owego napadu usłyszał to imię i to było jedyne, co zachował w pamięci.

Niebawem przygalopowali inni, a Bloody-Fox pojechał po zgubioną bawołą skórę, którą znowu przewiesił sobie przez barki. Wszyscy, za wyjątkiem Old Shatterhanda byli niezmiernie zdziwieni, ujrawszy Bloody-Foxa w skórze białego bawołu.

— Upiór... upiór pustyni Llano Estacado... to Bloody-Fox... a więc to był on! — wołali jeden przez drugiego.

Fox nie zwracał na to uwagi. Wskazał na zwłoki Burтона i powiedział: — To jest on, ten morderca! Dlatego wydawał mi się podejrzany. Teraz nie żyje, a ja nigdy się nie dowiem, kim byli moi rodzice!

New-Moon także przyjrzał się trupowi i zawołał: — To Stealing-Fox! Nareszcie jest unieszkodliwiony! Szkoda, że ten łajdak skręcił sobie kark. Teraz na zawsze będę mu winien kulkę!

— Dobrze, że nie żyje! — powiedział poważnie Old Shatterhand.— Wraz z nim zostały wyteńpione wszystkie „sępy" i na długo zapanuje spokój na pustyni Llano Estacado. A gdyby jeszcze jakiś „sęp" lub nawet kilka się pojawiło, to z tego miejsca będzie je łatwo upolować. Takiej oazy nikt się tutaj nie domyślał.

Bob był naturalnie także obecny. Nie zważał jednak ani na trupa Burтона, ani na zdekonspirowanego upióra pustyni. Jego wzrok padł na Murzynkę. Oczy ich spotkały się. Podeszła spiesźnie ku niemu: — Czy ty może być Murzyn Bob? — a kiedy przytaknął, kontynuowała: — Twoja matka się nazywa Sanna? Widzieć ty już kiedy tę fotografię, gdzie być Sanna i mały Bob?

Podążyła mu starą fotografię. Rzucił na nią wzrokiem i z okrzykiem radości zeskoczył z konia. Padli sobie w objęcia i nie byli zdolni wyrazić swego zachwytu inaczej, jak tylko urywanymi głoskami.

Pozostało jeszcze coś do dodania. Sępy zostały zlikwidowane i jeden oddział Komanczów pojechał po emigrantów. Mieli tu nad jeziorem wypocząć, a potem postanowiono przeprowadzić ich przez pustynię. Ogień powoli wygasł, nie znajdując dalszej pożywki, a po rozległym polu kaktusów pozostał tylko popiół.

W „gnieździe upióra" natomiast panował ożywiony ruch. Bloody-Fox był bohaterem dnia. Musiał opowiedzieć szczegółowo swój osobliwy życiorys. Jego relacja zawierała niemal same przykre wydarzenia. Mimo to powziął mocne postanowienie pozostania tu na zawsze, ażeby nie dopuścić do ponownego zagnieżdżenia się „sępów" na pustyni. Sanna i Bob postanowili zostać z nim.

Opowiadanie Foxa tak zainteresowało westmanów, że nawet gadatliwy zazwyczaj Hobbler-Frank nie przerwał mu ani razu. Kiedy jednak potem mały Saksończyk spacerował wokół jeziora z Jemmy, Davym i Fredem, Juggle-Fred zapytał go:

— No co, Frank, teraz znaleźliśmy się w krainie upióra. Czy jeszcze ciągle twierdzisz, że upiór pustyni Llano Estacado jest naprawdę upiorem?

— Milcz! — bronił się zapytany. — Jeśli się raz pomyliłem, to przecież gdzie indziej istnieje dość upiórów i czego nie widzi rozum tak zwanych rozumnych, to widzi każdy Saksończyk, jeśli się tylko coś takiego zdarzy.

— Tak, Saksonia, a zwłaszcza Moritzburg, to najsilniejsze z uczuć! — zaśmiał się Fred.

— Zostaw uczucia w spokoju, stary kuglarzu! Nie znasz mnie jeszcze. Moja osoba musi przecież w każdym wzbudzić wysoki szacunek. Nieprawdaż, Jemmy?

— Oczywiście! — przytaknął Gruby Jemmy, uśmiechając się.

— Słyszysz?! A właściwie to wszystko macie mnie do zawdzięczenia, bo gdybym na farmie Helmersa nie spotkał się z Bloody-Foxem, nigdy byście nie odkryli upióra Llano. Tego uznania muszę się koniecznie już teraz domagać. Zadaniem przyszłych pokoleń będzie ułożyć z żelaza lub wykuć w marmurze mnie i upióra, aby moje imię tak samo lśniło złotymi zgłoskami tutaj, jak tam w Parku Narodowym Yellowstone, gdzie mam nadzieję świat wkrótce podziwiać będzie mój pomnik.